

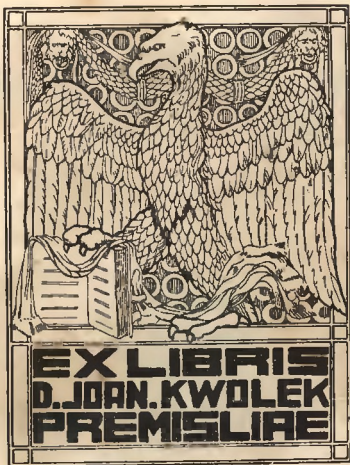
E. T. A. HOFFMANN

POWIEŚCI  
FANTASTYCZNE

WYDAŁO  
WYDZIAŁ  
WYDAWCTWA  
WARSZAWY



N



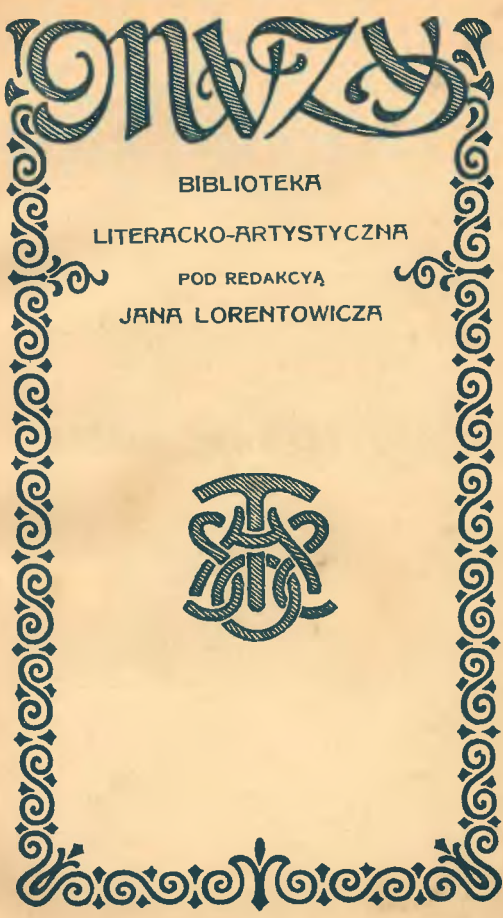
# OWZ

BIBLIOTEKA

LITERACKO-ARTYSTYCZNA

POD REDAKCYĄ

JANA LORENTOWICZA



10

**POWIEŚCI FANTASTYCZNE.**





E. T. A. HOFFMANN.

E. T. A. HOFFMANN

# POWIEŚCI FANTASTYCZNE

SŁOWO WSTĘPNE I UKŁAD

A. LANGELO

TOM I.



WARSZAWA

NAKŁAD I Druk TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW  
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I SPÓŁKA  
H. ALTENBERG — LWÓW.



K 339418  
715611

1.06/1047/9





## E. T. A. HOFFMANN.

---

Do najmniej uprawianych u nas w literaturze dziedzin należy fantastyczność. Henryk Rewuski w pewnej seryi traktuje historye o duchach, ale po prostu jako bajki dla starych dzieci; Jan Potocki swą bardzo bujną opowieść „Rękopis znaleziony w Saragosie“, pełną przygód dziwnych, na arabski sposób zakrojonych, kończy racjonalistycznym wykładem, który wszystkie czarnoksiężstwa opowiadania tłumaczy w sposób naturalny; Bohdan Dziekoński, najbardziej skłonny do fantastyczności—występuje jako okultysta, nie zaś jako marzyciel i wizjoner, odczuwa-

jący tajemnicze analogie zjawisk — niezależnie od doktryny.

Stworzyć świat nowy, barwniejszy od rzeczywistości, a jednak rzeczywisty jako marzenie, jako wizya, jako opętanie duszy — oto jest motyw istotny literatury fantastycznej. Nie jest ona ani dydaktyczną, ani symboliczną, ani allegoryczną: to kraina odmienna, choć styczna do czystej fantasmagoryi. W świecie wyobraźni jest pewna prawda o kolorycie specjalnym — prawda psychologiczna. Czasami, jak u E. A. Poe'go fantastyczność przybiera cechy, rzekłbyś, matematyki; czasami kaprys nieskończony, bezustanne poszukiwanie różności, samoironia, wreszcie wprost igraszka — kieruje fantastą; rzeczywistość go nie zadowala, na tle rzeczywistości codziennej — tworzy on inną, niekoniecznie doskonalszą i wyższą, ale odmienną, szczególną, barwniejszą; w tragiczności — tragiczniejszą, w radości — radośniejszą; prawa natury są przedstawione albo raczej ulegają jakimś wyż-

szym, poza naturą bytującym, prawom: bezład pozorny zdarzeń, które się ukazują oku fantastyka, ma w sobie utajoną logikę, że tak powiemy, innej płaszczyzny.

Takim fantastykiem był Ernest Teodor Amadeusz <sup>1)</sup> Hoffmann (1776—1822), pisarz niemiecki, największy fantast z fantastów; nawet w owym okresie romantycznym, kiedy to w Niemczech żyli i pisali: Jean Paul, Tieck, Novalis i inni tego typu autorzy — odznaczał się najbujniejszą pomysłowością i kolorowością fantazyi.

E. T. A. Hoffmann ur. się w Królewcu w r. 1776 d. 24 Stycznia. Ojciec jego był sędownikiem i nie zbyt dobrze żył ze swą żoną, córką Doerfera, kobietą chorą, choć nader zacną. Rodzice rychło się rozeszli, zwłaszcza, gdy ojciec otrzymał stanowisko w Insterburgu (Instruciu) i przeniósł

---

<sup>1)</sup> Właściwie trzecie imię Hoffmanna było Wilhelm, ale w późniejszych latach przybrał on sobie, ku czci Mozarta, — imię Amadeusz.

się do tego miasta. Matka z dzieckiem pozostała w Królewcu. Brat jej, również sędownik — mieszkał z nią razem i pierwszy zajmował się wychowaniem dziecka. Był to pedantyczny dziwak, który nie mało tyranizował chłopca, ale zato uczył go początków muzyki, co bardzo wpłynęło na rozwój jego talentu. Pocięgą dość smutnych pierwszych lat życia Hoffmanna — była jego ciotka, osoba stosunkowo młoda, pełna dobrego humoru—oraz brat jego babki, stary justycyaryusz Vötöry, którego Hoffmann później odmalował w powieści „Majorat“. Dziad ten był, jak to widać z nazwiska, pochodzenia węgierskiego—i w ten sposób, Hoffmann, jak większość ludzi wybitnych, nie był czystej krwi jednorasowej: był pół-Niemcem, pół-Węgrem.

W ósmym roku życia zaczął chodzić do szkoły, której rektorem był Wannowski, mąż uczony, a którego Emanuel Kant zaszczycał swą przyjaźnią. Hoffmann początkowo nie należał do najlepszych uczniów,

zwłaszcza łacina i grecki szły mu nie-  
szczególnie; chętnie natomiast oddawał  
się muzyce, której go uczył organista  
Podbielski oraz malarstwu, w czem mi-  
strzował mu niezgorszy malarz królewie-  
cki Seeman. Tu w szkole znalazł również  
przyjaciela: był to nieco starszy młodzie-  
niec, Teodor Hippel, który później został  
towarzyszem ministra v. Hardenberga  
i nieraz w ciężkich okazyach ratował  
Hoffmanna. Jeszcze w szkole będąc, do-  
pomagał Ernestowi w nauce języków kla-  
sycznych. Z innych kolegów godni uwagi:  
Faber — muzyk oraz malarz, Matuszew-  
ski, później emigrant w Paryżu.

W r. 1793 wstąpił Hoffmann za poradą  
rodziny na fakultet prawny, co go stra-  
szliwie nudziło; słuchał też Kanta, ale  
wyznawał, że nic go nie rozumie. —  
Próbował pisać powieści, romanse awan-  
turnicze, jak „*Cornaro*“ (w 3 tomach) lub  
„*der Geheimnisvolle*“, które zaginęły. Na  
te czasy przypadła pierwsza jego miłość  
— do zamężnej uczennicy swej Kory

Hatt, co stanowiło dramat jego życia aż do małżeństwa w r. 1802.

Te wspomnienia rodzinnego miasta znajdujemy później w jego opowieściach np. miłość do Kory w „Nocy Św. Sylwestra“ i t. d. — Jako t. zw. auskultator sądowy pojechał do drugiego brata swej matki, Doerfera w Głogowie, na praktykę sądowniczą. Dom tego urzędnika w małym, ciuchem mieście stanowił oazę życia umysłowego i artystycznego: zamięłowanie literatury i muzyki kwitło tu w pełni; — tu Hoffmann miał okazję rozwinąć zwłaszcza swój talent muzyczny i nawet pierwsze kompozycje zaczął układać. Jednocześnie dużo pracował nad malarstwem; ponieważ miał w sobie pewien zmysł ironii — nęciła go karykatura na wzór Hogartha lub znów fantasmagorye Jakóba Calłota. Ten ostatni rysownik oddziałał bardzo silnie na wyobraźnię Hoffmanna — i pierwsze swoje utwory literackie Hoffman określał jako *Fantasiestücke in Callo's Manier*.



W czasie swego pobytu w Głogowie młody jurysta odbył podróż do Drezna i do Pyrmont, gdzie w domu gry stracił znaczną sumę w opowiadaniu „Szczęście w grze”—zachowało się wspomnienie tej podróży. — W r. 1798 pierwszy raz był w Berlinie, gdzie zdał egzamin asesorski i gdzie się spotkał z Hippelem. — Późtem wyznaczono go do służby w nowonabytych terytoryach pruskich, mianowicie w Poznaniu. Tu Hoffmann, dzięki swoim talentom i dowcipowi, stał się ulubieńcem towarzystwa. Miał też niemało stosunków w domach polskich; zwłaszcza zbliżył się z rodziną Trzcińskich. W roku 1802, w kwietniu poślubił Maryę Teklę Michalinę Trzcińską, której nazwisko przełożył na niemiecki: Rörer; i krewni jej też się przezwali Rörer-Trzynsky. Z opowiadań żony swej ułożył nowelę: *Das Gelübde* (Ślub).

Na balu maskowym r. 1803 Hoffmann wypuścił cały szereg b. zabawnych karykatur, ośmieszających różne osobistości



miasta Poznania, między innemi zaś ówczesnego gubernatora, generała v. Zastrow. Ponieważ tajemnica autorstwa tych karykatur rychło się wydała — rząd miejscowy postanowił ukarać Hoffmanna i przeniósł go na gorsze stanowisko, do Płocka. Brak towarzystwa wcale dobrze oddziałał na młodego artystę, który jeszcze nie wybrał sobie zawodu.

W Płocku Hoffmann głównie uprawiał muzykę; mianowicie dla sąsiedniego opactwa (w Czerwińsku?) komponował msze, oratoria, sonaty. Dzieła te są dziś nieznane; ponieważ jednak archiwum opactwa Czerwińskiego znajduje się w bibliotece Zamoyskich w Warszawie, możliwem jest, że te dzieła muzyczne spoczywają tam wśród innych pamiątek i byłoby to wdzięczne zadanie dla którego z naszych artystów-muzyków wydobyć te utwory z pyłu zapomnienia.

W r. 1804, z tytułem radcy Hoffmann z żoną i małą córeczką oraz dwunastoletnią kuzynką z Poznania (później żoną

Leczyckiego?) przybył do Warszawy, przydzielony do komisji rządowej.—Warszawa uczyniła na Hoffmannie kolosalne wrażenie, jako pełne ruchu i ożywienia, piękne i bogate miasto stołeczne. Referendarz komisji rządowej, zwierzchnik Hoffmanna, Hitzig okazał się dla niego bardzo życzliwym: otworzył mu swoją bibliotekę i popierał różne jego dążenia, głównie zaś zamiar stworzenia w Warszawie Towarzystwa Muzycznego. Pierwiastkowo Towarz. mieściło się w pałacu Ogińskich, później jednakże przeniesiono je do pałacu Mniszków, gdzie Hoffmann sam ornamentował sale *al fresco*. D. 3 sierpnia r. 1806 Warszawa, dzięki Hoffmannowi, pierwszy raz usłyszała dzieła Glucka, Mozarta, Haydna, Cherubiniego.

Niedługo jednakże trwało panowanie pruskie w Warszawie. Wkrótce po bitwie pod Jeną — wkroczyła do Warszawy armia francuska, z ks. Józefem i Wybickim na czele. Imieniem cesarza Napoleona rząd pruski został rozwiązany. Założono

księstwo Warszawskie. Sądy oddane zostały w ręce polskie. — Urzędnicy pruscy musieli kraj opuścić. Hoffmann jednakże tak polubił Warszawę, że jeszcze w niej pozostał; póki miał pieniądze (z indemnizacji francuskiej), siedział w stolicy: oglądał rewje napoleońskie, śpiewał u Bernardynów, dalej pracował nad Towarz. muzycznym.

W końcu jednak doszedł do ostatecznej nędzy — skorzystał więc z okazji, że skarb pruski wysyłał Francuzi pod eskortą swego wojska i wraz z tą ekspedycją udał się do Poznania, a potem do Berlina.

Rodzina jego przedtem już była w Poznaniu, ale spadły z etatu Hoffmann nie miał środków utrzymania. Okres berliński z r. 1807 był najnieszczęśliwszy w jego życiu.

Raz nawet zmuszony był przyjąć pięć talarów zapomogi w towarzystwie „dla królewskich urzędników rządowych w Poznaniu i Warszawie“. Nadto ówczesny *Allgemeiner Anzeiger der Deutschen*

(urzędowy) ogłosił liryczne „wezwanie do przyjaciół ludzkości z powodu surowego położenia urzędników niemieckich w Warszawie“.

Ostatecznie Hoffmann znalazł posadę dyrektora orkiestry w teatrze w Bydgoszczy. Pensyi miał 30 flor. miesięcznie, ale i tę wypłacano mu nieregularnie. Wówczas jednak poraz pierwszy zaczął drukować swoje utwory muzyczne; nadto wydał album kolorowe p t. *Wojsko polskie*. Uzyskał w mieście liczne lekcye śpiewu. Skomponował *Requiem* i *Miserere*. Pisywał do *Leipziger Musik-Zeitung* oraz do *Elegante Welt*. W r. 1810 umarła mu córka, a prawie jednocześnie umarł jego wuj, Otto Doerfer, z Królewca, po którym otrzymał 500 talarów. Na r. 1812 przypada początek jego działalności literackiej. Były to głównie studia muzyczne lub opowiadania na tle muzycznym (*Ritter Gluck, Don Juan, Kreisleriana* i t. d.). Rzeczy te wraz z innemi wyszły później pod ogólnym tytułem: *Fantasiestücke in Cal-*

*lot's Manier. Blätter aus dem Tagebuche eines reisenden Enthusiasten* — z przedmową Jean Paula Richtera.

Odtąd, ciągle jeszcze pracując jako dyrektor muzyki i kompozytor <sup>1)</sup>, przeważnie jednak poświęcił się literaturze. Do dzieł muzycznych bardzo ważnych Hoffmana należy opera *Undine* podług poematu de la Motte Fouqué; opera ta miała średnie powodzenie, ale kilka lat temu wznowiona—obudziła wielkie zainteresowanie: Hoffmann okazał się tu niezrozumianym poprzednikiem Ryszarda Wagnera. Opuściwszy Bydgoszcz, Hoffman przeniósł się do Drezna i Lipska, które miały wspólny teatr pod dyрекcyą Secundy. Z owych czasów pochodzi ciekawy opis oblężenia Drezna przez armię francuską.

---

<sup>1)</sup> Griesebach zaznacza, że w ciągu maja, czerwca i lipca 1808 r. Hoffmann ułożył *Canzoni per quattro voci alla capella*, a mianowicie 1) Ave maris stella w F dur, 2) De profundis clamavi w E moll, 3) Gloria patri w C dur, 4) Salve redemptor w A moll, 5) O Sanctissima w F dur, 6) Salve regina w D moll.

Tu były napisane *Złoty garnek, Magnetyzer, Automaty, Prinzessin Blandina i i. nowele* — wreszcie pierwsza większa powieść: *Eliksiry dyabelskie*.

Opuściwszy Saksonię, Hoffmann przeniósł się do Berlina, (1814), gdzie Hitzig utworzył księgarnię. Tu — na przemiany już to zamożny, już w nędzy—Hoffmann zaczął się oddawać pijaństwu; alkohol zwolna go przeżerał. Otrzymał zresztą posadę rządową, jednakże wieczory i noce przepędzał głównie po szynkowniach i winiarniach. W Berlinie stworzył sobie Hoffmann kółko przyjaciół, do którego należał księgarz Hitzig, de la Motte Fouqué, Chamisso, Contessa, Tieck, aktor Devrient i i. Tu powstawały różne projekty literackie, jak np. wydanie zbiorowej książki dla dzieci, którą ułożyli razem: de la Motte Fouqué, Contessa i Hoffmann. Ten ostatni dał tu śliczną powiastkę p. t. *Myśli król i dziadek do orzechów*, którą Alex. Dumas, ojciec, przerobił na francuski. — Ponieważ kółko to zebrało się po raz pierw-



szy, w winiarni u zbiegu Charlottenstr. i Französischestr. (Lutter i Wegener) d. 14 listopada, w dzień św. Serapiona—członkowie klubu nazwali się *Serapionsbrüder*. Mieli oni za obowiązek opowiadać sobie rozmaite historye. Nadto Hoffmann malował i z kartonu wycinał różne figurki, występujące w tych opowiadaniach.

Zaznaczę tu mimochodem, że Hoffmann, jak wogóle romantycy niemieccy, był zupełnie obojętny w rzeczach politycznych. Mimo to w r. 1815 wypuścił broszurę bezimienną p. t. *Der Dey von Elba in Paris*, o ucieczce Napoleona z Elby; broszura ta jednak zaginęła tak, że dotąd jej nie odnaleziono i nie przedrukowano.

W winiarni Luttera i Wegenera powstał cały szereg opowiadań, znanych pod ogólnym tytułem: *Serapions-brüder*. Tu należą t. zw. *Nachtstücke*, *Majorat*, *Ślub*, *Człowiek z Piasku*, *Meister Floh*, *Prinzessin Brambilla*, *Klein Zaches*, wreszcie długa powieść *Kater Murr* i t. d.

W r. 1821 Hoffmann był pełny najle-



pszych nadziei, ale w r. 1822 rozchorował się śmiertelnie; skutkiem życia bezładnego i nadużyć alkoholycznych nastąpiło wycieńczenie organizmu i paraliż niemal całkowity.

Jakiś czas jeszcze humor i fantazya mu dopisywały: dyktując, ułożył kilka ostatnich fragmentów, jak *Narożne okno*, *Wyzdrowienie* oraz krótki urywek *Naiwność*. Kilka opowiadań, jak *Neueste Schicksale eines abenteuerlichen Mannes* oraz *Der Feind* — pozostało nie wykończonych.

Umarł w Berlinie d. 25 Czerwca 1822 r.

Na grobowcu jego, który mu wystawili przyjaciele, zaznaczono, że był znakomity jako pisarz, jako muzyk, jako malarz.

Istotnie we wszystkich tych trzech kierunkach wykazał Hoffman talent niepospolity, ale najświetniejszy był w opowiadaniu fantastycznym; chociaż miał w tym rodzaju poprzedników, to jednak sam w tym typie stworzył własny odcień fantasmagoryi, która słusznie zowie się hoffmannowską.

Francuzi, bardzo wrażliwi na piękno literackie, pierwsi wcześniej niż sami Niemcy, ocenili wartość Hoffmanna, który należy do t. zw. *auteurs français*, t. j. choć cudzoziemców, zaliczonych jednak do literatury francuskiej. — Zachwycił się nim Alfred de Musset, G. de Nerval, Teofil Gautier, Honoryusz Balzac, Georges Sand, Baudelaire i i. — Tłumaczyli go różni, a między innemi Alex. Dumas, ojciec, przerobił jego *Dziadka do orzechów*. Również b. upowszechniony jest Hoffmann we Włoszech, a na język angielski tłumaczył go nie byle kto, bo Tomasz Carlyle.

Po polsku Hoffmann mało jest znany dotychczas; brak zmysłu fantastyczności sprawił, że pierwszy zbiór tłumaczeń tego autora, wydany p. t. *Powieści E. T. A. Hoffmanna, tłum. z oryg. M. Er. Wereszczyński, Warszawa, nakład H. Natanson, 1859* — zawiera właśnie te utwory, w których, mimo piękność, istota hoffmannowskiego talentu — fantastyczność — występuje słabiej. (*Dola gra-*

*czy, Fermata, Signor Formica, Doża i Dogaressa*). Dopiero w *Kłosach* (r. 1867) drukuje Józef Pracki przekład *Majoratu*, a Felicyan Faleński przekład noweli *Sandmann* p. t. *Człowiek w piasku*. Przed kilku laty wyszły w Bibl. Dzieł Wyborowych *Dyable Eliksięry*, a w Bibl. Złoczowskiej tomik zawierający *Pannę de Scudery* oraz *Kopalnie Falańskie*. Wreszcie wydany został *Złoty Garnek* w przekładzie J. Kleczyńskiego (1907). Kilkakrotnie też wychodziła *Historya Dziadka do orzechów*, jako arcydzieło literatury dla dzieci.

W niniejszym zbiorku korzystamy z niektórych dawnych tłumaczeń; pozostałe są naszego pióra.

*A. Lange.*

## MAJORAT.

---

Niedaleko od brzegów morza Bałtyckiego — stoi zamek dziedziczny rodziny Her..., który zowią Her...burg. Okolica jest surowa i pustynna. Zaledwie tu i owdzie na piaszczystym gruncie dostrzeżesz garści trawy. Zamiast tych ogrodów, jakie zazwyczaj zdobią siedziby pańskie, ponad gołym murem widać tylko jakiś nędzny gaj sosnowy, którego żaloba ponura i nieustanna zda się lekceważyć uśmiechniętą szatę wiosny. W tym lasku zamiast wesołego świergotu ptasząt, słyszać tylko monotonne krakanie kruków albo świst mew — zapowiedź burzy.

W pewnej odległości przecież natura zupełnie inną tu przybiera postać. Jesteś przeniesiony, niby pod działaniem laski czarnoksiężkiej — pomiędzy kwitnące po-

la i żyzne doliny. Ujrzysz tu obszerną, bogatą wieś, nad którą góruje wielki dom zarządzającego tem dominium. Na końcu miłego gaju grabowego — znajdują się fundamenty wielkiego pałacu, który zamierzał zbudować jeden z dawniejszych właścicieli tej posiadłości. Jego spadkobiercy, wyjechawszy do swych dóbr w Kurlandyi, nie dokończyli budowy tego gmachu, a baron Roderyk von Her..., który powrócił, by się osiedlić w rodowem gnieździe swych ojców, wolał, przy swoim usposobieniu ponurem i mizantropijnem, mieszkać w starym zamku samotnym, niżli dokończyć tego, który zaczął był niegdyś. Rozkazał odrestaurować, o ile to było możliwe, zrujnowaną siedzibę swych przodków i zamknął się w niej wraz z oburkliwym intendentem i małą liczbą służebników. Rzadko jeno pokazywał się we wsi. Natomiast często błędził konno tu i owdzie brzegiem morza — i jak ludzie powiadali, wydawało się zdaleka, że baron rozmawia z morzem, że słucha łoskotu i szumu fal, rzekłbyś — rozumiał się dobrze z tajemniczym duchem morza. Na najwyższej wieży zamku, kazał zbudować swą pracownię i umieścił w niej wielką lu-

netę oraz całkowity zbiór narzędzi astronomicznych.

Codziennie, zwróciwszy oczy ku morzu, obserwował okręty, rysujące się na dalekim widnokręgu, niby mewy o białych, rozpostartych skrzydłach. W noc gwiazdziste, oddawał się tu, wraz ze swym starym rządcą — pracom astronomicznym, albo, jak go podejrzewano — astrologicznym. Wogóle przypuszczali ludzie, że baron Roderyk poświęcał się naukom tajemnym, inaczej mówiąc, czarnej magii — i że skutkiem pewnej nieudanej operacyi, która uraziła jeden z domów panujących, zmuszony był opuścić Kurlandę. Najlżejsze wspomnienie dni, które przepędził w tej prowincyi, budziło w nim uczucie zgrozy i wszystkie nieszczęścia swego życia przypisywał winie przodków, jaką popełnili, opuszczając zamek pradiadowski.

By związać przyszłość rodziny z tym zamkiem, postanowił z niego zrobić majorat. Panujący książę przystał na projekt tej fundacyi tem chętniej, że w ten sposób utrwałała się w okolicy familia znakomita, mająca już rozgałęzienia w prowincjach zagranicznych. Jednakowoż



ani syn barona, ani posiadacz majoratu, który jak dziad nosił imię Roderyka—nie mogli w zamku pozostać; obaj mieszkali w Kurlandyi. Mając usposobienie lekkie i wesołe, zda się — niedowierzali tej ponurej siedzibie, obranej przez Roderyka. Ten miał dwie biedne ciotki, stare panny, którym ofiarował w swych dobrach mieszkanie oraz środki egzystencyi. Mieszkały one wraz ze staruszką służącą w ciepłym apartamencie bocznego skrzydła zamku, a prócz nich i starego kucharza, który zajmował wielką izbę podziemną w pobliżu kuchni, nie było w obszernych salach budynku nikogo więcej, jedynie tylko żył tam stary gajowy, który zarazem spełniał urząd odźwiernego. Inne osoby ze służby dworskiej mieszkały na wsi, u zarządzającego majątnością.

Na schyłku jesieni, kiedy już pierwsze śniegi zaczynały padać, kiedy nadchodził czas polowania na wilki i dziki — milczący i opuszczony zamek ożywiał się na nowo. Przybywał wówczas z Kurlandyi baron Roderyk z żoną, z ciżbą krewnych i przyjaciół, na pojazdach stosownych do polowania. Szlachta z okolicy i lubownicy igrzysk myśliwskich z sąsiedniego



miasta przybywali jednocześnie — i zamek ledwie, że mógł pomieścić przybyłych gości. We wszystkich piecach i kominach ogień płonął od rana do wieczora; kucharze pracowali bez wytchnienia; wesoła gromada panów i służby krążyła po schodach; tu słychać było brzęk szklanic, śpiewy myśliwskie, tam melodey taneczne, wszędzie hałaśliwe śmiechy i krzyki radości. W ciągu pięciu lub sześciu tygodni zamek stawał się raczej wspaniałą gospodą, leżącą nad ludnym gościńcem — niżli pańską rezydencją.

Baron Roderyk poświęcał, ile możności, te parę tygodni sprawom poważnym. Usunąwszy się od wrzawy swych gości, wypełniał obowiązki pana majoratu. Nie tylko kazał sobie zdawać ścisły rachunek ze swych dochodów, ale badał jeszcze każdy projekt udoskonaleń gospodarczych, słuchał najdrobniejszych skarg swoich poddanych — i starał się wszystko uporządkować, wyrównać wszelką krzywdę i niesprawiedliwość. Uczciwie mu w tych wysiłkach pomagał stary adwokat V..., jak niegdyś jego ojciec, plenipotent interesów domu Her..., justycyarsz dóbr, jakie rodzina miała w tej pro-

wincyi. Na osiem dni przed przybyciem barona, adwokat zazwyczaj udawał się do zamku.

W r. 179., nadszedł moment, gdy wier-ny V... miał, podług zwyczaju, udać się, do siedziby barona. Miał on wówczas lat 70 i, jakkolwiek nie mało zachował świe-żości i energii, sądził jednak, że byłby mi: użyteczny w jego pracy jaki młody po-  
mocnik. Pewnego razu rzekł mi ze śmie-chem: „Bratanku mój, (jestem właściwie jego wnukiem stryjecznym i noszę jego nazwisko), sądzę, że byłoby dobre dla ciebie posłuchać szumu wiatrów morskich i pojechać ze mną do Her... Możesz mi być zresztą bardzo pomocny w trudnych zajęciach, i napisawszy rano jaki przy-  
jemny akt sprawozdawczy, mógłbyś po-tem spróbować życia myśliwskiego, ćwi-  
czyć się w sztuce spotykania oko w oko z szarym wilkiem albo głodnym dzikiem i celnym wystrzałem spotkane bydlę po-  
łożyć“.

Zbyt wiele słyszałem o wrzawnych po-  
lowaniach w Her...; byłem zbyt przywią-  
zany do swego szanownego a doskonałe-  
go dziada stryjecznego, by nie przyjąć

skwapliwie tej propozycji. Wprawny już poniekąd w rodzaj zajęć, jakie stryj prowadził, obiecywałem sobie ułatwić mu swą gorliwością część jego trudów. Na-  
zajutrz, obwinawszy się w ciężkie futra, toczyliśmy się do zamku Her... śród zamieci śnieżnej, zapowiadającej zimę.

Po drodze stryj mi opowiadał różne dziwne historye o baronie Roderyku, założycielu majoratu, który pomimo, że mój stryj był jeszcze wówczas bardzo młody, wybrał go za swego plenipotentą i wykonawcę testamentu. Mówił mi o surowej i dzikiej naturze barona, którą, zdaje się, ten przekazał w spadku całej rodzinie a która coraz bardziej budziła się w baronie obecnym, choć ten w pierwszych latach zapowiadał się jako charakter łagodny i słaby. Mówił mi, że powinienem się pokazać człowiekiem stanowczym i śmiałym, aby znaczenia nabrać w oczach pana; w końcu opisał mi mieszkanie, jakie sobie raz na zawsze wybrał w zamku — ciepłe, wygodne i tak oddalone od innych, że możemy dowoli usunąć się całkowicie od wrzawy towarzystwa. Mieszkanie składało się z dwóch małych izb, pokrytych gustownem obiciem, pomiesz-

czonych w pobliżu sali sądowej, naprzeciw mieszkania dwóch starych panien.

Po szybkiej, choć uciążliwej podróży, ciemną nocą przybyliśmy do Her... Przejeżdżamy wieś. Była niedziela. Dom zarządzającego jaśniał oświetlony od góry do dołu; słychać było odgłos walca, dźwięki wesołych pieśni — a ten widok i te śpiewy sprawiły, że jeszcze smutniejszy i pustszy wydawał się nam budynek, w którym mieliśmy się zatrzymać.

Wiatr morski jęczał ponuro i głucho — a smutne sosny, zbudzone ze swej drzemki, odpowiadały mu żalosną skargą. Ponad otchłanią śniegu — unosiły się nagie, czarne ściany zamku. Wrota były zamknięte. Krzyk, trzaskanie z bicia, uderzenia młotka — nic nam nie mogło tych drzwi otworzyć; żadnego światła byś nie dojrzał; możnaby rzec, że wszystko zamarło.

Stary mój stryj krzyknął głosem surowym i groźnym:

— Franciszku, Franciszku! gdzież ty jesteś? Do stu dyabłów, rusz-że się. Marzniemy tu na dworze. Śnieg nam twarz ścina. Do pioruna! Czy przychodzisz?

Jakiś pies podwórzowy zaczął wyć, ukazało się chwiejne światelko, słyszeć się dało dzwonienie kluczy — i ciężkie wrota zazgrzytały na rdzawych zawiasach.

— Ach, pozdrowieni bądźcie, pozdrowieni bądźcie, panie plenipotencie. Co za brzydki czas!

Temi słowy witał nas Franciszek, wysoko podnosząc latarnię, tak że całe jej światło padło mu na pomarszczoną twarz, jeszcze wykrzywioną w tej chwili w sposób szczególny życzliwym uśmiechem. Powóz wjechał na dziedziniec, zeszliśmy na ziemię — i wtedy mogłem widzieć jak całość osobliwą starego sługę, przybranego w odwieczną liberyę dworską z galonami. Na szerokie, blade czoło opadały mu dwa loki siwych włosów; dolna część twarzy miała silne kolory, właściwe myśliwcom, i pomimo wydatnych mięśni, które jego fizyonomii nadawały pozór szczególnej maski, w jego oczach i w kroju ust był wyraz poczciwości nieco mazgajowatej.

— A zatem, mój stary Franciszku, — rzekł stryj, strząsając w przedpokoju śnieg ze swego futra, — czy wszystko gotowe? Dywany w moim pokoju wytrze-



pane? łóżka przygotowane? palono w piecu ogień wczoraj i dzisiaj?

— Nie — odparł Franciszek bardzo spokojnie. — Nie, panie sędzio, nic z tego nie przygotowano.

— Ależ, na miły Bóg—zawołał stryj— toć pisałem dość w czas; przybywam ściśle w dniu oznaczonym. Co za niedbalstwo! Izby moje są pewnie zimne jak lodownie.

— Pewno, panie sędzio — odparł Franciszek, obrywając starannie szczypcami ogarek, na knocie świeczki i depcząc go nogami. — Widzi pan, po co to mielibyśmy zapalać ogień? Wiatr i śnieg przenikają do tych izb przez potłuczone szyby i...

— Jakto?—zawołał stryj, przerywając Franciszkowi i odrzuciwszy poły swego płaszcza, skrzyżował ramiona. Jakto? szyby potłuczone, i ty, strażnik domu nie wprawileś ich na nowo?

— Nie, panie sędzio, — odrzekł stary sługa z tym samym spokojem. — Nie łatwo wejść do waszego mieszkania z powodu masy kamieni i cegieł, co je zapełnia.

— Do stu dyabłów! Skądże w mojem mieszkaniu kamienie i cegła?



— Spełnienia życzeń, młody paniczku! — rzekł teraz Franciszek do mnie z grzecznym ukłonem, w chwili gdym kichnął. Poczem dodał: — Te kamienie i tynki pochodzą z muru, który tu runął podczas wielkiego rozwalenia się domu.

— Czy mieliście tu trzęsienie ziemi? — zawołał stryj gwałtownie.

— Nie, panie sędzio, — odparł z uśmiechniętą twarzą Franciszek — ale trzy dni temu, ciężkie sklepienie sali audyencyjalnej runęło z wielkim hałasem.

— Co za piekło! Stryj, człowiek prędko i gwałtowny z natury, już chciał zakląć potężnie, ale podnosząc prawą rękę do góry a lewą zdejmując z głowy swą czapkę z lisiego futra, zatrzymał się — i zwrócił się do mnie z żywym wybuchem śmiechu:

— Prawdziwie, mój bratanku, nie należy o nic pytać, gdyż dowiemy się jeszcze, że cały zamek zapadł się pod ziemię.

— A czemuż — dodał, zwracając się do Franciszka — nie przyszło wam do głowy, oczyścić i ogrzać inny pokój? Czyż nie mogliście przygotować na prędcie sali audyencyjalnej w głównym budynku?

— Tak właśnie zrobiliśmy — rzekł stary



Franciszek, ukazując schody z miną zadowoloną, i powoli wchodził na stopnie.

— Patrzcież tego dziwaka! — rzekł stryj, idąc za nim. Ruszyliśmy po przez długie, sklepione kurytarze, których mrok w tajemniczy sposób oświećlała latarnia w rękach Franciszka. Kolumny, kapitele, arkady, zdawały się w naszych oczach krążyć po powietrzu. Obok nas sunęły olbrzymie cienie, snując się wzdłuż murów po szczególnych portretach, które zdawały się poruszać, drgać, migotać. Tajemnicze głosy — rzekłbyś — szemrały w odgłosie naszych kroków: „Nie budźcie nas, nie budźcie nas! nas, co tu śpimy snem zaklętym, zawieszeni na tych starych kamieniach“. W końcu, przeprowadziwszy nas przez długi szereg izb ciemnych i zimnych, Franciszek otworzył nam salę, w której żywy ogień kominka powitał nas, iskrząc się wesoło. Czułem się doskonale z chwila, gdyśmy weszli do tego pokoju. Co do stryja, ten zatrzymał się pośrodku sali, obejrzał ją dokoła i głosem poważnym, niemal uroczystym, rzekł:

— Tu będzie izba sądowa.

Franciszek, podnosząc światło tak, że-

śmy na ścianie zobaczyli plamę szeroką jak drzwi, odpowiedział żałośnie:

— Tu już był sąd!

— Cóż to ci przychodzi do głowy? — rzekł stryj, zdejmując futro i przybliżając się do komina.

— Tak mi się przypomina — odparł Franciszek. Zapalił świece i otworzył salę sąsiednią, która była przygotowana dla nas. Po chwili stół obficie nakryty stał przy kominku. Stary sługa przyniósł dobrze przyrządzone potrawy, rzecz nader miła dla stryja i dla mnie, oraz wielką wagę ponczu, przyrządzoną na sposób północny. Znużony podróżą, stryj mój udał się do swej sypialni natychmiast po wieczerzy. Nowość i osobliwość tej wyprawy, smak ponczu — cały szereg wrażeń zbyt silnie oddziaływały na mnie, abym mógł pomyśleć o spaniu. Franciszek zabrał stół, podsycił ogień i pożegnał mnie przyjaznym ukłonem.

---

Siedziałem sam w wysokiej, obszernej sali rycerskiej. Śnieżyca ustała, wicher ucichł, niebo się wypogodziło, i jasny księż-

żyć w pełni spływał przez duże okrągłe okno, magicznym pokrywając blaskiem wszystkie ciemne tego osobliwego gmachu zaułki, których skąpe światło świecy i komina dosięgnąć nie mogło. Jak się to jeszcze trafia w starożytnych zamkach, ściany i sufit sali ozdobione były w szczególny sposób: pierwsze pokryte ciężkimi drewnianymi taflami, drugie zaś fantastycznymi obrazami i snycerską robotą połączaną lub na szaro pomalowaną. Z wielkich obrazów, po większej części przedstawiających dzikie sceny polowania na niedźwiedzie i wilki, wyskakiwały rznięte z drzewa głowy ludzi i zwierząt, przyprawione do malowanego ciała, tak, iż, zwłaszcza przy migotliwym i drżącym blasku od ognia i księżyca, całość straszliwą ożywiała się prawdą. Między tymi obrazami były wizerunki naturalnej wielkości, postacie w myśliwskim stroju kroczących rycerzy, zapewne przodków pana domu. Malowidła i rzeźby szarawą pokryte farbą, wyraźnie nosiły piętno swej długowieczności, tembardziej więc raziło jaśniejsze i puste miejsce na ścianie, w której było dwoje drzwi prowadzących do przyległych komnat; przekonałem się

zaraz, że i tam drzwi być musiały, które później zamurowane zostały, i dlatego właśnie nowy mur tak się różnił od innych ścian dawniej pomalowanych i rzeźbą ozdobionych.

Któż tego nie wie, jak pobyt w miejscach niezwykłych, zdolny jest tajemniczą siłą opanować naszego ducha, jak najleniwsza nawet wyobraźnia budzi się wśród tej doliny otoczonej dziwaczniemi skałami lub w ponurych murach kościoła i przeczuwa rzeczy nigdy wprzód niewidziane? Dodać jeszcze muszę, że miał lat dwadzieścia i wypilem kilka szklanek mocnego ponczu, a łatwo pojąć, jak dziwnie mi się zrobiło na sercu w owej sali recerskiej. Wyobraźmy sobie ciszę nocy, wśród której słychać tylko szum morza i osobliwsze świsty nocnego wiatru, niby tony potężnych organów poruszanych ręką duchów; przelatujące chmury, niby jasne, świecące olbrzymy zdawały się ciekawie zaglądać przez drżące szyby sklepionych okien. W samej rzeczy, z przestachu, który mną wstrząsał, przeczuwałem, że teraz rozpoczynają się widocznie obce rządy. Uczucie to podobne było do zimnego dreszczu, jakiego z przyjemno-

ścią doznajemy, gdy nam kto opowiada żywo i obrazowo jaką powieść o strachach. Nadto przyszło mi na myśl, że nigdy w lepszym usposobieniu nie można czytać książki, którą wówczas, jak każdy hołdujący romantyzmowi, miałem w kieszeni. Był to Szyllera „Duchowidz“ (Geisterseher). Czytałem i czytałem, i coraz bardziej rozpalala się moja wyobraźnia. Stałem na przecudnym opisie ślubnych godów u hrabiego B.; właśnie ukazała się krwawa postać Hieronima... gdy — ze strasznym łoskotem rozwarły się drzwi prowadzące do przedsionka. Przerażony skoczyłem do góry, książka mi z rąk wypadła. Ale w tej chwili wszystko ucichło, i zawstydzilem się mojego dzieciennego strachu. Być może, iż przeciągiem powietrza, lub innym jakim sposobem drzwi się otworzyły, a podrażniona moja fantazyja w naturalnym wypadku dopatrzyła czegoś strasznego.

Uspokoiwszy się, podnoszę książkę z ziemi i rzucam się znowu w poręczowe krzesło. Wtem... idzie coś z cicha, zwolna, mierzonym krokiem, idzie w poprzek sali, a idąc wzdycha i jęczy; w tych westchnieniach i jękach wyrażało się naj-

głębsze ludzkie cierpienie, boleść niepo-  
cieszona. — Ha, pomyślałem, to zapewne  
jakie biedne, chore stworzenie, zamknięte  
gdzieś na dole, a w nocy, wiadomo, jakie  
powstają złudzenia akustyczne, gdy naj-  
odleglejszy szmer zwiększa się i zdaje się  
blizkim; któżby się takimi rzeczami  
trwożył! Tak, uspokajam się na nowo,  
ale teraz... coś drapie się o nowy ten mur,  
wydając coraz głośniejsze i boleśniej-  
sze jęki, które tylko w strasznej chwili  
konania słyszeć można. — Tak, to jakieś  
biedne zamknięte zwierzę... stuknę tylko  
mocno w podłogę, i wszystko umilknie,  
albo też zwierz z dołu wyraźniej, w na-  
turalnym swym głosie da się słyszeć!  
Tak myślałem, ale krew zakrzepła mi  
w żyłach, zimny pot oblał mi czoło; zdre-  
twiały siedziałem w fotelu, nie mogąc ani  
wstać, ani wydać głosu. Straszliwe dra-  
panie ustało; kroki na nowo słyszeć się  
dały. Wtedy oprzytomniałem, życie wstą-  
piło we mnie. Podniosłem się szybko i pa-  
rę kroków postąpiłem przed siebie, lecz  
lodowy ciąg powietrza przeszedł po sali,  
i w tej samej chwili jasne światło księżyca  
padło na wizerunek jakiegoś poważnego,  
strasznie znakomitego męża, a z ust jego



słyszałem wyraźnie, wśród odgłosu fal morskich i poświstów wichru północnego głos ostrzegający: — Ani kroku dalej, jeżeli nie chcesz popaść w straszną otchłań świata duchów! Znów się drzwi z tym samym co wprzód łoskotem rozwarły; i zdało mi się, że słyszę kroki w przed-sionku; ktoś schodził na dół. Główne drzwi zamkowe zaskrzypiały straszliwie i znów się zamknęły. Potem zdało mi się, jak gdyby ktoś konia wyprowadził ze stajni, i po jakimś czasie znów go do stajni odprowadził... potem wszystko uci-chło. W tej chwili posłyszałem, jak mój dziadek stryjeczny wzdychał i jęczał w przyległym pokoju, to mi przywróciło przytomność, wziąłem świecę i poszedłem do niego. Staruszkowi widocznie śniło się coś strasznego. — Zbudźcie się, zbudźcie, zawołałem głośno, ścisnąwszy go za rękę i skierowawszy światło na twarz. Dziadek podniósł się z głuchym jękiem, spoj-rzał na mnie życzliwie i rzekł:

— Dobrze zrobiłeś kuzynku, żeś mnie obudził. Ej, szkaradny miałem sen, a temu winne te pokoje i sala, bo musiałem zamyśleć się o czasie upłynionym i o tem, co się tu działo. Ale teraz możemy już

spać na dobre. Potem okrył się kołdrą i zdało się, że zasnął. Kiedy świecę zgasiłem i udałem się do łóżka, usłyszałem, że stary modlił się po cichu.

Nazajutrz wzięliśmy się do roboty; rządca przyszedł z rachunkami, ludzie zgłaszali się z prośbą o załatwianie sporu, lub innego jakiego interesu. W południe udał się ze mną dziadek do bocznego pawilonu, aby starym baronównom z wszelką atencją złożyć uszanowanie. Franciszek nas zameldował, aleśmy dobrze wyczekać musieli, zanim wprowadziła nas do samego przybytku, jakaś sześćdziesięcioletnia, zgarbiona, w pstre jedwabie wystrojona mateczka, która się przedstawiła, jako nadworna panna ich wielmożności. Stare damy, przybrane w suknie zeszłowiecznej mody, przyjęły nas z komicznym ceremoniałem. Byłem dla nich przedmiotem wielkiego podziwienia, gdy dziadek z żartobliwą powagą przedstawił mnie, jako młodego, pomagającego mu, prawnika. Po ich minie widziałem, iż uważały dobro poddanych majoratu narażone na pewne niebezpieczeństwo, z powodu mej młodości. Całe przyjęcie u starych dam było tak komiczne, iż nieco

ochłodziłem z przestachu minionej nocy, czułem jednak w duszy, jakby mną opnowała nieznana siła, albo raczej, jakbym dotknął koła, w którem dość kroku postąpić, aby bez ratunku być zgubionym. I trzeba było mi wezwać na pomoc wszystkie siły wewnętrzne, aby się oprzeć grozie, po której chyba nieuleczalna waryacya następuje. To też nawet stare baronówny ze swemi dziwacznościami, wysoko napiętrzonymi fryzurami, ze swemi cudackimi sukniemi, przystrojonemi w pióra i kolorowe wstęgi, nie wydały mi się śmiesznemi, ale raczej posępnemi i strasznościami. W ich starych, pożółkłych twarzach, w ich zmrużonych oczach chciałem wyczytać, w ich niegodziwej francuszczyźnie chciałem usłyszeć, jakim sposobem pogodziły się z niemilami w zamku straszącemi istotami, a nawet potrafiły pozbyć się obawy i strachu. Dziadek w wesołym będąc usposobieniu, swoją ironią wplątał je w tak niedorzeczną gadaninę, iż w innym humorze nie potrafiłbym się wstrzymać od głośnego śmiechu, ale jak powiedziałem, baronówny, pomimo swego paplania pozostały dla mnie strasznościami; dziadek, co myślał, że mi sprawi przyjem-

ność, spojrzał na mnie wielce zdziwiony. Dlatego po obiedzie, gdyśmy zostali sami w swoim pokoju, nie mógł dłużej milczeć i zawołał:

— Ależ kuzynku, na miłość Boga, co ci jest? Nie śmiejesz się, nie mówisz, nie pijesz. Czyś chory, czy ci brakuje czego?

Teraz nic już nie tałem, ale mu dokładnie opowiedziałem cały przestrah przeszłej nocy. Niczego nie zamilczałem; szczególnie też, że wypilem wiele ponczu, i czytałem „Duchowidza“ Szyllerowskiego. Dodałem jeszcze: — Przyznaję, że najprawdopodobniej podrażniona i wybujała wyobraźnia moja potworzyła wszystkie te zjawiska, które tylko w moim mózgu istniały. Spodziewałem się, że stryjeczny dziadek niełitościwie mnie wyśmieję, za to widzenie duchów, tymczasem był bardzo poważny, wlepił oczy w podłogę, a potem szybko podniósłszy głowę, rzekł:

— Nie znam twojej książki, kuzynku, ale to pewna, że owego zjawienia duchów nie zawdzięczasz ani swej wyobraźni, ani działaniu ponczu. Wiedz, że to samo widziałem we śnie, czegoś ty doświadczył na jawie. Siedziałem sobie tak samo jak

i ty w fotelu przy kominie, tak mi się jakoś zwidziało, ale co tobie objawiło się w odgłosach, ja to oglądałem okiem wewnętrznym, pojmując to doskonale. Tak, ujrzałem strasznego upiora, jak wszedł i bezsilny przyczółgał się do zamurowanych drzwi, jak w rozpacz drapał się na mur, tak że krew tryskała mu z palców, jak zstąpił na dół, wyprowadził konia ze stajni i na powrót go odprowadził. Czyś słyszał, jak zapiał kogut w odległej chałupie? Wtedyś mnie obudził, i wkrótce uspokoiłem się po tem dyabelskim dziele niegodziwego człowieka, który zdoła zamącić spokojne życie.

Stary umilkł, nie chciałem stawiać dalszych pytań, pewny będąc, że mi wszystko wyjaśni, jeśli to uzna za właściwe. Jakoż po niejakej chwili, nadumawszy się długo, mówił dalej:

— Teraz kiedy wiesz, co się tu święci, będziesz-że miał odwagę dotrzymać placu tym strachom, ale razem ze mną?

— Naturalnie — oświadczyłem, — iż jestem gotów.

— W takim razie, — mówił staruszek dalej, — na przyszłą noc będziemy czuwali. Wewnętrzny głos mi mówi, że nie-

czysta siła ustąpić musi, nie tak przed moją władzą duchową, jak raczej przed odwagą, polegającą na głębokiem przekonaniu, że to nie jest z mej strony żaden zuchwały postępek, ale czyn śmiały i pobożny, gdy życie i ciało narażam na to, aby odpędzić potępieńca, który synów oddala od siedziby przodków. A więc niema co mówić o niebezpieczeństwie, ponieważ w tak silnem i zacnem przedsięwzięciu, w tak pobożnej wierze, jaką jestem przejęty, można być tylko zwycięskim bohaterem. Z tem wszystkiem, niech się dzieje wola Boża, i gdyby nieczysta siła pokonać mnie zdołała, to winieneś kuzynku oznajmić, żem poległ w świętej, chrześcijańskiej walce z duchem piekielnym, który tu swoje harce wyprawia. Ty zaś trzymaj się zdale. Tobie się nic nie stanie.

Wśród różnych drobnych zajęć nadzedł wieczór. Franciszek jak w dniu wczorajszym, zastawił wieczerzę i przyniósł nam ponczu. Księżyc w pełni przyświecał wpośród jasnych obłoków, morskie fale szumiały, a wiatr północny wył i wtrząsał trzeszczącemi szybami w oknach. Pomimo wewnętrznego wzruszenia, przymuszaliśmy się do obojętnej



rozmowy. Stary położył swój zegarek na stole. Wybiła na nim dwunasta godzina. Nagle z wielkim łoskotem drzwi się otworzyły i jak wczoraj, coś wolnym i cichym krokiem sunęło przez salę, wydając głośnie jęki i westchnienia. Staruszek pobladł, ale jego oczy błyszczały niezwykłym ogniem, podniósł się z fotelu, i jak był wysokiego wzrostu, wyprostował się cały, a wsparłszy się lewą ręką, prawą wysunął ku środkowi sali, i tu się zatrzymał; wyglądał jak wódz dający rozkazy. Coraz głośniejsze dały się słyszeć westchnienia i jęki, i straszniej jak wczoraj zaczęło drapać się po ścianie. Wtedy stary postąpił naprzód krokiem silnym, że aż drżała podłoga i zmierzał wprost ku zamurowanym drzwiom. Stał tuż w miejscu, gdzie coraz wścieklej drapało, i zawołał podniesionym, uroczystym głosem, jakiego nigdy dawniej u niego nie słyszałem:

— Danielu, Danielu! co tu robisz o tej godzinie?

Wtedy zadrapało jeszcze straszniej i okropniej, i dało się słyszeć głuche uderzenie, jakby coś upadło na ziemię.

— Szukaj łaski i przebaczenia przed

tronem Najwyższego, tam jest twoje miejsce. Wynoś się ze świata, do którego już nigdy należyć nie możesz!

Tak mówił stary z większą niż pierwiej mocą; i stało się, jakby powietrzem przeciągnął płacz stłumiony i zmieszał się z odgłosem burzy, która właśnie srożyć się zaczęła. Wtedy starzec postąpił ku drzwiom i zatrzaskał je tak silnie, że aż się rozległo w pustym przedsionku. W jego głosie, ruchach i postawie było coś nadludzkiego, co mnie głęboką bojaźnią przejęło. Kiedy usiadł w fotelu, wzrok miał osobliwie rozjaśniony, złożył ręce i modlił się po cichu. Zaledwie kilka minut upłynęło, zapytał mnie głosem tkliwym, za serce chwytającym, który jemu tak był właściwy:

— No i cóż kuzynku?!

Przestrachem, grozą, trwogą i świeżą bojaźnią przejęty, padłem na kolana i gorącemi zrosiłem łzami podaną mi rękę. Starzec objął mnie w ramiona i przyciskając do serca, czułym rzekł głosem:

— No, teraz możemy spać swobodnie, kochany kuzynku!

Tak się też i stało, i gdy następnych nocy nie wydarzyło się nam nic nieprzy-

jemnego, odzyskaliśmy dawną wesołość, tylko stare baronówny na tem straciły, bo zawsze pozostały trochę straszniemi ze swoim dziwacznym charakterem. Były to wszakże rozweselające straszydła, które stary umiał rozruszać w najkomiczniejszy sposób.

Nakoniec w kilka dni później przybył baron z małżonką i licznym orszakiem myśliwych. Zjechali się zaproszeni goście i w nagle ożywionym zamku rozpoczęła się dzika wrzawa, jak wyżej było opisane. Gdy baron zaraz po swoim przybyciu, wszedł do naszej sali, ździwił się mocno z powodu zmienionego naszego mieszkania, rzucił posępne spojrzenie na drzwi zamurowane i szybko się odwracając, powiódł ręką po czole, jakby ztamtąd chciał odegnąć niemiłe wspomnienie. Dziadek mówił o spustoszeniu sali sądowej i zawalonych pokojach; baron zganił Franciszkwę, że nas lepiej nie pomieścił, i prosił starego bardzo uprzejmie, aby tylko rozkazał, jeśli mu w nowem mieszkaniu, które daleko jest gorsze, zbywa w czemkolwiek na wygodach, do jakich dawniej przywykł. Wogóle postępowanie barona z dziadkiem było nie tylko serdec-

czne, ale połączone z pewnem uszanowaniem synowskiem, jak gdyby baron zostawał ze starym w pewnym stosunku pokrewieństwa. Była to jedyna rzecz, która pod pewnym względem godziła mnie z szorstkim i rozkazującym charakterem barona, a który z każdym dniem coraz więcej się uwydatniał. Na mnie albo nic, albo bardzo mało pan baron zważał; widział we mnie zwyczajnego tylko pisarza. Zaraz w początkach, gdy się zajął jakąś sprawą, chciał znaleźć niedokładność co do formy; krew uderzała mi do głowy, już miałem się ostro odciąć, gdy dziadek się odezwał, upewniając, że ja właśnie wszystko według jego wskazania robię, i że ono tylko może mieć prawne znaczenie. Gdyśmy sami zostali, gorzko się uskarżałem na barona, że coraz więcej jest mi nieprzychylny.

— Wierz mi, kuzynku, — odrzekł starzec — że baron mimo swego szorstkiego usposobieniu, jest najlepszym i najzaniejszym człowiekiem na świecie. I tego usposobienia, jak ci już mówiłem, nabył dopiero od czasu, gdy został posiadaczem majoratu, wprzód zaś był łagodnym i skromnym młodzieńcem. Zresztą co do

niego, to wielce przesadzasz, a chciałbym wiedzieć, dlaczego ci się wydaje tak nieprzyjemnym?

Mówiąc te słowo, stary uśmiechał się szyderczo; krew jak ukrop gorąca na twarz mi wybiła. Musiałem nie zbyt jasno czytać we własnem sercu, skoro nie poznałem, że owa dziwna nienawiść zrodziła się z miłości, albo raczej z ukochania istoty, która wydała mi się najmiłszą i najwspanialszą, jaka kiedykolwiek ukazała się na ziemi. Tą istotą był nie kto inny, tylko sama baronowa. Gdy tylko przyjechała i szła przez pokoje w sobolowem futrze, które dokładnie odznaczało jej cudne kształty, mając głowę zakrytą bogatą zasłoną, zjawieniem swojem wywarła na mnie urok potężny, niczem nieprzeparty. Do tego przyczyniła się i ta okoliczność, że stare ciotki w sukniach i fontaziach bardziej cudacznych, niż dotąd widziałem, dreptały koło niej z obudwu stron, szczebiocząc swoje powitania francuskie, gdy ona, baronowa, z nieopisanym wdziękiem w koło siebie spoglądała, kłaniając się mile już temu już owemu. A gdy jeszcze wkrótce przemówiła czystym dyalektem niemieckim, to

wszystko razem utworzyło tak odmienny obraz, iż fantazya mimowolnie stawiała obok niego straszne widziadło nocne; wtedy baronowa wydała mi się prawdziwym aniołem światła, przed którym ustępują siły piekielne. Cudnie piękna ta kobieta, bardzo silne uczyniła na mnie wrażenie. Mogła mieć wówczas najwyżej lat dziewiętnaście. Niewielkiego wzrostu, prześlicznej twarzy, w której odbijała się dobroć anielska. Szczególniej też był urok nieopisany w spojrzeniu jej ciemnych oczu; jak błyśnięcie księżyca, przemykała w nich rzewna tęsknota, a w miłym uśmiechu całe niebo marzeń i zachwytu. Możliwość sądzić, że jakiś ciężki smutek wtedy jej dolega, chociaż mnie się wydało, że to tylko bolesne przeczucie nieszczęśliwej przyszłości; nie mogąc sobie wytłumaczyć tego jej usposobienia, w dziwny sposób powiązałem go z nocnem widziadłem, ukazującym się w zamku.

Nazajutrz po przybyciu barona, zebrało się towarzystwo na śniadanie. Dziadek przedstawił mnie baronowej, i jak się zwykle dzieje w podobnych razach, byłem pomieszany, dawałem najniedorzeczniejsze odpowiedzi na proste pytania uprzejmej



gospodyni domu, jak mi się podoba w zamku i t. p., tak dalece, że stare ciotki przypisując moje zakłopotanie jedynie głębokiemu uszanowaniu, jakim byłem przejęty dla pani zamku, łaskawie ujęły się za mną, wychwalając mnie po francusku, jako grzecznego i miłego młodzieńca, un joli garçon. To mnie tak obeszło, iż oprzytomniałem i popisałem się konceptem, powiedzianym w daleko poprawniejszej francuszczyźnie, niż parłowanie starych dam; spojrzały też na mnie zdziwione i skryły swoje spiczaste nosy w tabakierkach. Z pierwszego wejrzenia, jakie baronowa rzuciła na mnie, zwracając się do innej damy, poznałem, że musiał powiedzieć jakieś wielkie głupstwo; to mnie jeszcze bardziej rozdrażniło, dlatego życzyłem starym damom, aby się gdzie w piekło zapadły.

Pasterskie wzdychania i romansowe cierpienia, oddawna już dziadek wybił mi z głowy, wyśmiewając je jako dziecinne niedorzeczności. Teraz jednak uczułem, że baronowa głębiej i silniej mój umysł i serce zajęła, niż jakabądź inna kobieta. Patrzyłem na nią tylko i jej tylko głos słyszałem, chociaż czułem dobrze, iż ama

myśl o jakim romansie, byłaby niedarowanym szaleństwem, a niepodobna było wielbić i podziwiać zdaleka, jak zakochany młodzieniaszek, którego bym sam musiał się wstydzić. Zbliżyć się do tej ślicznej kobiety, nie dając jej poznać mych uczuć, pić słodką truciznę jej spojrzeń i słów, a potem zdala od niej długo, a może na zawsze mieć ją w sercu, to mogłem, to mi wolno było uczynić. Gdy ta romantyczna, prawdziwie rycerska miłość rozmarzyła mnie w nocy bezsennej, byłem do tego stopnia dziecinny, że sam do siebie mówić zacząłem, a wreszcie wzdychać żałośnie:

— Ach, Serafino! Serafino!

Dziadek zbudził się i odezwał do mnie:

— Kuzynku, kuzynku, zdaje mi się, że marzysz za głośno! Jeśli ci się podoba, rób to we dnie, ale w nocy pozwól mi spać spokojnie.

Obeszło mnie wielce, że dziadek, który już w czasie samego przyjazdu baronowej zauważył moje wzruszenie, teraz usłyszał jej imię; spodziewałem się, że obsypie mnie swemi sarkastycznymi żartami, ale ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, nic więcej nie powiedział, tylko naza-

jutrz, gdyśmy wchodzili do sali sądowej, rzekł:

— Daj Boże każdemu zdrowy rozsądek i staranie, aby go w dobrym trzymał zamknięciu. Bieda to, gdy komu, ni stąd ni zowąd przyjdzie ochota wystrychnąć się na głupca.

Potem zasiadł przy dużym stole, i dodał:

— Pisz kuzynku pięknie i wyraźnie, abym łatwo mógł czytać twoje pismo.

Uszanowanie a nawet cześć głęboka, jaką baron okazywał mojemu stryjecznemu dziadkowi, przebijały się we wszystkim. Dlatego też musiał przy stole zajmować miejsce, którego mu niejeden zazdrościł — miejsce koło baronowej; mnie zaś los rzucał tu i owdzie, zwykle jednak dwóch oficerów z pobliskiego miasta brało mnie między siebie, aby mi opowiedzieć wszystkie nowinki i ucieszne miejskie wydarzenia, a przytem wesoło wysączyć niejeden kieliszek wina. Tym sposobem przez kilka dni z rzędu siedziałem zdala od baronowej, na drugim końcu stołu, przypadek dopiero zbliżył mnie do niej.

Nim dla zebranego towarzystwa otworzono salę jadalną, rozpoczęła ze mną rozmowę, i, zdaje się, znalazła w niej upo-

dobanie towarzyszka baronowej, osoba młoda, a prócz tego nie bez dowcipu. Stosownie do przyjętego zwyczaju, gdy wyruszono do stołu, wypadało mi podać jej rękę; niemało się ucieszyłem, gdy zajęła miejsce opodal baronowej, która ją powitała wdzięcznem skłonieniem głowy. Łatwo się można domyśleć, że wszystkie moje słowa skierowane były już nietylko do mojej towarzyszki, ale głównie do baronowej. Być może, iż wewnętrzne usposobienie nadawało wszystkiemu, co mówiłem, szczególniejszą podniosłość, bo moja towarzyszka coraz uważniej mnie słuchała, a w końcu dała się pociągnąć w fantastyczny świat złudzeń, który przed nią roztaczałem. Była ona, jak się powiedziało, nie bez dowcipu, to też nasza rozmowa wkrótce się ożywiła i odłączyła od ogólnej. Goście rozmawiali o tem i o owem, nasza zaś pogadanka żyła na własną rękę i rzucała niekiedy błyskawice tam, gdzie chciałem, aby padały. Zauważyłem, że moja sąsiadka rzuciła na baronową porozumiewawcze spojrzenie, i ta raczyła nam się przysłuchiwać. Szczególniej działo się tak, gdy rozmowa skierowała się na muzykę, gdym mówił z zapalem o tej

uroczej i świętej sztuce, nie tając bynajmniej, iż pomimo tego, żem się oddał suchemu i nudnemu prawnictwu, nieżle gram na fortepianie, śpiewam, a nawet ułożyłem kilka pieśni.

Gdy wstano od stołu, aby przejść do pobliskich pokojów na likier i kawę, nie wiem sam jakim sposobem stanąłem przed baronową, która rozmawiała z moją sąsiadką. Zaczęła więc mówić i ze mną, ale już tym życzliwym tonem, jakiego się używa z dobrymi znajomymi; powtórzyła dawniej zadane mi pytanie, jak mi się w zamku podoba i t. p. Odpowiedziałem, iż samotność miejsca, a nawet sam starożytny zamek w szczególniejszy sposób pierwszych mianowicie dni na mnie oddziaływały, ale i w tych wrażeniach wiele doznałem przyjemności, tak, iż teraz życzyłbym sobie tylko, abym się mógł uwolnić od owych dzikich łowów, do których nie jestem przyzwyczajony. Baronowa uśmiechnęła się i rzekła:

— Wyobrażam to sobie, że panu w naszych posępnych lasach sosnowych nie bardzo musi być przyjemnie. Pan jesteś muzykiem, i jeśli się nie mylę, jesteś także poetą. Namiętnie lubię obiedwie te sztu-

ki. Gram nawet trochę na harfie, bez której teraz w K. muszę się obywać, gdyż mąż mój nie chciał, abym brała z sobą instrument, którego łagodne tony dziwnieby brzmiały wśród dzikiej wrzawy i nieustannego odgłosu rogów myśliwskich, jakie tu tylko słyszeć można. Ach mój Boże, jakżebym rada posłuchać muzyki.

Zapewniłem ją, że wszelkich dołożę starań, aby to jej życzenie spełnić się mogło, gdyż bezwątpienia znajduje się w zamku jaki, choćby stary fortepian. Na te słowa głośno roześmiała się panna Adelajda (tak się nazywała towarzyszka baronowej), i zapytała mnie, czy nie wiem o tem, że od niepamiętnych czasów, w zamku tutejszym, rozlegają się tylko wrzaskliwe trąby, płaczące na znak radości rogi myśliwskie, skrzeczące skrzypce, rozstrojone basy i beczące oboje przechodnich muzykantów. Baronowa przecież nie odstępowała od swego życzenia, chciała posłuchać muzyki, a i mnie przytem, dlatego wraz z Adelajdą gubiły się w pomysłach, skądby jaki fortepian wydobyć. W tej właśnie chwili stary Franciszek kroczył poważnie przez salę.

— Oto człowiek, jakiego nam potrzeba:



on na wszystko znajdzie radę, nawet na rzeczy niemożliwe.

Mówiąc te słowa, panna Adelajda wezwwała go, i gdy mu tłumaczyła, o co rzecz idzie, baronowa przysłuchiwała się z założonemi rękami i główką naprzód pochyloną, patrząc z miłym uśmiechem staremu w oczy. Prześlicznie wtedy wyglądała, podobna do pięknego dziecka, któreby radę jak najprędzej mieć w ręku upatrzoną zabawkę.

Franciszek swoim zwyczajem długo się namyślał, wyliczając mnóstwo przyczyn, że to prawie niepodobieństwo, aby naprędce wystarać się o instrument tak rzadki, wreszcie przymilająco pogłaskawszy się po brodzie, rzekł:

— Ależ pani rządczyni, tam na wsi, wybija wcale niepospolicie na klawicymbałach czy też, jak je tam z cudzoziemska inaczej nazywają — ten instrument, co to przy nim śpiewają także tak żałośnie i czule, że oczy się z płaczu czerwienią niby od cebuli, a przytem chciałoby się skakać na obydwie nogi...

— To ona ma fortepian? — przerwała mu panna Adelajda.

— A jużci, mówił stary, prosto z Dre-  
zna sprowadzony, jakiś...

— Pysznie, wybornie! — zawołała baronowa.

— Jakiś piękny instrument — ciągnął stary dalej, — ale to bieda, że trochę za-  
słaby, bo jak organista śpiewał:

*„We wszystkich czynach moich...”*  
uderzył tak silnie, że...

— Ach, mój Boże! — zawołała baronowa i panna Adelajda, że...

— Że wszystko trzeba było z wielkim kosztem do miasta odstawić do reperacyi...

— Ale już od reperacyi sprowadzono?  
— zapytała niecierpliwie panna Adelajda.

— A jużci, wielmożna panienko, i pani radczyni będzie sobie uważała za zaszczyt...

W tej chwili przechodził baron, ździwił się, widząc nas razem, i szepnął baronowej z szyderskim uśmiechem:

— Czy Franciszek znów dobrych rad udziela?...

Baronowa zarumieniła się i spuściła oczy, a Franciszek przestraszony, umilkł i stał jak żołnierz wyprostowany ze spuszczonej nadół rękami. Nadciągnęły sta-

re ciotki w swych jedwabnych sukniach i uprowadziły baronowę ze sobą. Za nie-mi poszła i panna Adelajda. Zostałem, jak oczarowany. Nie posiadałem się z radości, że zbliżę się do niej, do mojej ubóstwianej, co zawładła całą moją istotą, złościłem się tylko na barona, który mi się wydał dzikim despota. Bo czyż nie był taki? czemuż stary, osiwiwały sługa, tak niewolniczo musiał się zachowywać?

— Słuchaj-no! Spójrzyj przecie na mnie, — zawołał stryjeczny dziadek, trącając mnie po ramieniu. Poszliśmy na górę do swoich pokojów.

— Nie ciśnij się tak bardzo do baronowej, — rzekł do mnie, gdyśmy byli sami, poco ci? zostaw to młodemu fircykowi, tak chętnym do nadszkakiwania, a na nich nie zbywa!

Opowiedziałem dziadkowi, co zaszło i zapytuję, czy zasługuje na jego wymówki? Nic na to nie odpowiedział, tylko: „hm, hm“, włożył na siebie szlafrok, zapalił fajkę i usadowiwszy się wygodnie w fotelu, najspokojniej mówił o wczorajszych wypadkach na polowaniu, żartując sobie ze mnie, że tyle razy spudłował.

W zamku nastała cisza: panowie i pa-

nie zajęci byli strojami. Owi muzykańci z rzępolącemi skrzypcami, rozstrojonymi basami i wrzaskliwymi obojami, o których mówiła panna Adelajda, przybyli właśnie i w nocy miał być, ni mniej, ni więcej, tylko bal najformalniejszy. Mój staruszek wolał spoczynek niż zabawę, pozostał więc w swoim pokoju, ja zaś przeciwnie, wybrałem się na bal. Byłem właśnie już gotów, kiedy z cicha zapukano do drzwi, i wszedł Franciszek. Oświadczył mi z uśmiechem, że tylko co sprowadzono na saniach klawicymbały od pani rządczyni, i wniesiono do pokoju jaśnie wielmożnej baronowej. Panna Adelajda kazała mnie prosić, abym tam zaraz przyszedł. Można sobie wyobrazić, jak mi pulsa biły, z jakim wzruszeniem otwierałem pokój, w którym ją znalazłem. Panna Adelajda życzliwie mnie powitała. Baronowa zupełnie na bal ubrana, siedziała zamyślona przed tajemniczem pudłem, w którem drzemały tony, które ja dopiero zbudzić miałem. Powstała, a piękność jej takim zajaśniała blaskiem, iż długo patrzyłem na nią, nie mogąc słowa wymówić.

— A teraz Teodorze, (według przyjętego na północy zwyczaju, który również

i na odległym południu spotykamy, nazywała każdego po imieniu) instrument już mamy, — rzekła do mnie uprzejmie — daj Boże, aby się okazał godnym pańskiego talentu.

Skorom tylko pokrywę otworzył, zachropotało mnóstwo strun pozrywanych, a gdym uderzył akord, dały się słyszeć jakieś niesforne, straszliwe głosy; struny, które pozostały, były rozstrojone.

— Znowu widać organista ze swemi delikatnemi rączkami, — zawołała, śmiejąc się panna Adelajda. Baronowa zaś rzekła ze smutkiem:

— Ach, to prawdziwe nieszczęście! ja tu widać najmniejszej przyjemności znaleźć nie mogę!

Przepatrzyłem schowanka instrumentu, i szczęśliwym trafem znalazłem kilka zwitków strun, ale klucza nigdzie odszukać nie było można. Nowe żale! A kiedy powiedziałem, że każdy klucz zwyczajny może się tu przydać, byle jego ząb przystawał do kołeczków, wtedy baronowa i panna Adelajda ucieszone, zaczęły biegać tu i owdzie, tak, że w niedługim czasie naznosiły mi cały stos różnych stalowych kluczyków.

Teraz zabrałem się pilnie do roboty: panna Adelajda, a nawet baronowa szczerze mi pomagały, próbując każdego kłucza. Jeden z nich zaczął nieźle naciągać. Obie głośno objawiły swą radość. W tem zasyczała struna i pękła, przestraszone cofnęły się.

Baronowa swemi delikatnemi rączkami przerzuca ostre druciane struny, i podaje mi numery, jakich potrzebuję; gorliwie trzyma rolki, które ja rozwijam, ale te znów się zwijają. Baronowa się niecierpliwi, panna Adelajda się śmieje, a ja tymczasem idę za rozwijającym się kłębkim w kąt pokoju, i wszyscy razem staramy się całą strunę wydobyć, ale i ta wyciągnięta, zrywa się. Nakoniec, po wielu nie-małych trudach, właściwe struny się dobrały i z bezładnego brzęczenia wydobywały się czyste i dźwięczne akordy.

— Wybornie, wybornie, — zawołała baronowa, — spoglądając na mnie z miłym uśmiechem, — fortepian się dostraja.

Wspólne te zabiegi i trudy razem podjęte, szybko rozpędziły chłodną powściągliwość, jakiej etykieta wymaga; powzięliśmy ku sobie wzajemną ufność, która jak iskra elektryczna wstrząsnęła mną



i skruszyła ten straszny przymus, co jak kamień ciążył mi na piersiach. Ów szczególny patos, który zwykle ukazuje się w podobnem do mojego, zakochaniu, zupełnie mnie opuścił, to też, gdy fortepian został jako tako nastrojony, zamiast w fantazyi wyrazić moje uczucia, jak to sobie wprzód ułożyłem, zacząłem grać owe miłe canzonetty, które do nas z południa się dostały. A kiedym śpiewał: *Senza di te... Sentimi idol mio...* Albo też: *Almen se non poss'io* i po raz setny: *Morrirmi sento...* a jeszcze: *Adio...* i *Oh dio...* wzrok Serafiny stawał się coraz jaśniejszy. Siadła tuż przy mnie, około fortepianu; oddech jej dotykał mojej twarzy; kiedy oparła rękę na poręcz mojego krzesła, biała wstążka, która się odczepiła od balowego stroju spadła na moje ramiona, i poruszana tonami muzyki i westchnieniami Serafiny przelatywała ode mnie do niej, niby wierny posel miłości! Dziwna rzecz, że nie postradałem zmysłów. Gdy namysławiając się nad nową piosenką, dobierałem akordy, powstała panna Adelajda, która sobie w kącie pokoju siedziała, przybiegła do baronowej, uklękła przed nią, a ujmując obie-

dwie jej ręce i przyciskając do piersi, zawołała:

— Kochana baronowo, Serafinko droga! teraz ty musisz zaśpiewać.

Baronowa na to:

— Co też ty mówisz Adelajdo, jakżebyś śmiała występować z moim biednym głosem, obok naszego wirtuoza?

Jakże cudnie wyglądała, podobna do miłego wstydzącego się dziecka, gdy ze wzrokiem spuszczoneym, zarumieniona, walczyła między ochotą a obawą. Łatwo się domyśleć, jak ją błagałem, i gdy wspomniała o ludowych piosenkach kurlandzkich, dopóty prosiłem, aż zaczęła dobierać tony na fortepianie, szukając niby przygrywki. Chciałem jej miejsca ustąpić przy fortepianie, ale nie pozwoliła upewnijając mnie, że ani jednego akordu wziąć nie potrafi, dlatego też lęka się, że głos jej bez akompaniamentu wyda się słaby i niepewny. I zaczęła miłym, wdzięcznym głosem śpiewać jakąś piosenkę, której prosta melodia tak właściwa owym pieśniom ludowym, co tak z głębi serca płyną, iż w jasnym ich blasku, który nas olśniewa, uznać musimy wyższą poetyczną naszą

naturę. Jakiś tajemniczy urok zawiera się w prostych wyrazach, które zmieniają się w niewysłowione hieroglify, i serce nam wypełniają. Któż nie przypomina sobie owej hiszpańskiej piosenki, której treść wyrażona w słowach jest mniej więcej taka: „Z moją dziewczką płynę po morzu, a potem burza powstaje; a moja dziewczka przelekła, ślania się to w tę, to w ową stronę! Nie, już nie popłynę po morzu z moją dziewczką!“ Toż samo i piosenka baronowej nie więcej mówiła: „Niedawno tańczyłam na weselu z moim narzeczonym, i wypadł mi kwiatek z włosów, on go podniósł, a oddając mi, powiedział: Kiedyż, o moja dziewczyno, będziem znów na weselu?“ Kiedy przy drugiej zwrotce tej piosenki dobrałam akordy, i w zapale, który mnie ogarnął, schwyciłem z ust baronowej melodyę następnej, to wydałem się jej i pannie Adelajdzie tak wielkim artystą, że zasypały mnie pochwałami.

Pozapalane światła w sali balowej, leżącej w bocznym pawilonie, wniknęły i do pokoju baronowej, a wrzaskliwe odgłosy trąb i rogów zapowiadały, że już czas udać się na bal.

— Ach, muszę już tam iść, — rzekła smutnie baronowa.

Powstałem od fortepianu.

— Panu zawdzięczam tę przecudną godzinę, którą zaliczę do najmilszych chwil, jakie w K. przeżyłam. — Mówiąc to, baronowa podała mi rękę; gdy ją w najwyższym zachwycie do ust przyciskałem, czułem jak przyśpieszone tętna uderzały w jej palcach. Nie wiem już potem, jak się dostałem do pokoju dziadka, a następnie poszedłem na bal.

Żył niegdyś Gaskończyk, który lękał się walki, bo każda rana miała być dla niego śmiertelną, gdyż cały był sercem. Do niego mogłem się i ja i każdy w mojem usposobieniu porównać, bo tu każde wzruszenie staje się śmiertelnem. Ręka baronowej, jej palające palce, dotknęły mnie jak zatrute strzały: krew wrzała mi w żyłach.

Dziadek, chociaż wcale się mnie nie pytywał, zaraz nazajutrz wystąpił z historią wieczora, który z baronową przepędziłem. Dotknęło mnie to wielce, ale opowiadał wesoło, śmiejąc się; nagle spoważniał i rzekł:

— Proszę cię, kuzynku, przestań tej nieдорzecznosci, która cię tak silnie opanowa-

ła. Wiedz o tem, że twoje postępowanie, jakkolwiek zdaje się być niewinne, może mieć nieprzyjemne następstwa. Stanałeś w niebacznym szale na cienkim lodzie, który załamie się pod tobą i ani się spostrzeżesz, jak wpadniesz do wody. Nie będę cię wstrzymywał za połę, bo wiem, żebyś znów dostał zawrotu głowy i na śmierć się rozchorował. Trochę kataru można dostać we śnie, ale złośliwa gorączka, skoro się uczepi twego życia, to i lata przeminą, a nie przyjdiesz do siebie. Niech dyabli porwą twoją muzykę, jeśli nie potrafisz lepszego z niej zrobić użytku, jak zamącać spokój wrażliwym i delikatnym kobietom.

— Ależ, — przerwałem dziadkowi, — nigdy mi na myśl nie przyszło zakochać się w baronowej!

— Błaźnie! — krzyknął stary, — gdybym się o tem dowiedział, tobym cię oknem wyrzucił.

Baron przerwał nam nieprzyjemną rozmowę, a rozpoczęta jakaś sprawa oderwała mnie od miłosnych wrażeń, w których Serafinę tylko widziałem i o niej marzyłem. W towarzystwie kiedy niekiedy rzuciła mi kilka uprzejmych słów, ale nie

minął żaden wieczór, żeby nie przyszedł do mnie tajemny poseł od panny Adelajdy, który mnie wzywał do Serafiny. Tak się już potem złożyło, że rozmowa przepłatała muzykę. Panna Adelajda nie była już zbyt młodziutka, aby się okazywać tak naiwną i roztargnioną. Wyrywała się zwykle z jakim wesołym conceptem wtedy właśnie, kiedyśmy się z Serafiną zagłębiali w sentymentalne przeczucia i nieokreślone marzenia. Z wielu szczegółów mogłem poznać, że baronowę trapi jakiś wewnętrzny niepokój, który zauważyłem w jej usposobieniu, gdy ją poraz pierwszy zobaczyłem, teraz wpływ zamkowego upiora nagle mi się wyjaśnił. Ileż to razy chciałem Serafinie powiedzieć, jak mnie przeraził niewidzialny wróg, jak go dziadek mój wypędził zapewne nazawsze, ale krępował mnie samego jakiś przestrah, ile razy chciałem otworzyć usta.

Pewnego dnia nie było baronowej przy stole na obiedzie. Mówiono, że jest chora i z pokoju wychodzić nie może. Z troskliwością pytano barona, czy choroba jest niebezpieczna? Ten uśmiechnął się ponuro, jakby z szyderstwem, i rzekł:

— Nic strasznego, nabawił ją lekkiego



kataru wiatr morski, który widocznie nie może tu znosić żednego słodkiego głósiku, żadnych innych tonów, prócz chrapliwego hallo myśliwskiego.

Mówiąc te słowa baron, a właśnie siedziałem naprzeciwko niego, rzucił na mnie przeszywające spojrzenie. Do mnie więc mówił, nie do sąsiada. Obok mnie była panna Adelajda, ta zarumieniła się cała, wlepiła oczy w talerz przed nią stojący, a bawiąc się i stukając widelcem, szepnęła mi:

— Jeszcze dziś zobaczysz Serafinę, jeszcze dziś słodkie twe piosenki uspokoją chore jej serce.

Gdy Adelajda wymówiła te słowa, naraz, zdało mi się, jakoby zostawał z hrabiną w nieczystych, zakazanych stosunkach miłosnych, które strasznie, może zbrodnią skończyć się mogły. Ostrzeżenie dziadka zaciężyło mi na sercu. Cóż teraz miałem czynić? Nie widzieć jej więcej? Dopóki w zamku zostawałem, było to niepodobieństwem, a gdybym chciał opuścić zamek i wrócić do miasta — także nie mogłem. Ach, zbyt mocno czułem, abym nie miał dość siły zbudzić się z marzenia, które mnie kołysało fantastycznem szczęściem miłości. Adelajda wydała mi

się, jak zwyczajna stręczycielka, chciałem nią wzgardzić..., a przecież, namyśliwszy się, zawstydzilem się swojego głupstwa. Czyliż w naszych błogosławionych godzinach wieczornych, w tych poufnych stosunkach z Serafiną zaszło co takiego, na co zwyczaj i przyzwoitość nie pozwala? Jakże mogłem przypuszczać, że baronowa żywi dla mnie jakie uczucie? A jednak byłem przeświadczony o niebezpieczeństwie mojego położenia.

Wcześniej wstawano od stołu, gdyż jeszcze miało być polowanie na wilki, które pokazały się tuż pod samym zamkiem. Polowanie to przypadło mi na rękę, powiedziałem więc dziadkowi o moim zamiarze. Uśmiechnął się zadowolony, i rzekł do mnie:

— To dobrze, że się raz rozruszasz, ja w domu zostaję. Możesz wziąć moją fuzję; przypasz także kordelas, w niebezpieczeństwie jest to dobra i pewna broń, jeżeli się tylko przytomność zachowa.

Część lasu, w której wilki miały swoje legowisko, otoczyli strzelcy. Było strasznie zimno, wiatr łomotał drzewami, a śnieg bił nie żartem w oczy tak, iż przy

zapadającym zmroku, za ledwie na sześć kroków przed sobą widziałem. Zziębły porzuciłem stanowisko i schroniłem się w głąb lasu. Wziąwszy fuzyę pod pachę, oparłem się o jakieś drzewo i zapomniałem o polowaniu: myśl poniosła mnie do Serafiny, do jej ustronnego pokoju. Wtem zdaleka padły strzały i w tej samej chwili coś poruszyło się w zaroślach trzcinowych, i na jakieś dziesięć kroków od siebie ujrzałem ogromnego wilka, który chciał koło mnie przebiec. Zmierzyłem, wystrzeliłem... i chybiłem, byłbym więc zgubiony, gdybym nie miał tyle przytomności, iż wydobyłem kordelas i bestyi, która mnie rozszarpać chciała, wpakowałem go w gardło, krew trysnęła i obryzgała mi rękę i ramię. Jeden ze strzelców barona, który stał niedaleko ode mnie, nadbiegł przerażony; na powtórzony sygnał myśliwski, wszyscy koło nas się zebrali. Przytąpił do mnie baron.

— Na miłość Boską, pan we krwi broczysz? Czyś raniony?

Upewniłem go, że nic mi się nie stało, wtedy napadł na strzelca, który był przy mnie, i wyrzucał mu, że nie wystrzelił, kiedy ja chybiłem. A chociaż ten

usprawiedliwiał się, że to było niemożliwe, ponieważ wilk w tej samej chwili rzucił się na mnie, tak iż strzał mógł mnie dosięgnąć, baron przecież przy swoim obstawał, utrzymując, że powinien był czuwać nade mną, jako nad mniej doświadczonego myśliwym. Tymczasem strzelcy podnieśli wilka; był to ogromny zwierz, jakiego oddawna nie widziano. Dziwili się wszyscy mojej odwadze i stanowczości, chociaż mój postępek wydał mi się bardzo naturalny, bo nie pomyślałem nawet o niebezpieczeństwie, na jakie się narażam. Szczególniej baron okazywał mi swoje współczucie, nie przestał mnie wypytywać, czy wilk mnie nie skaleczył i czy nie lękam się złych skutków z przestachu?

Powrócono do zamku, baron wziął mnie pod rękę jak najlepszego swego przyjaciela, strzelbę poniósł strzelec. Mówił wciąż o moim bohaterskim czynie, tak że w końcu ja sam uwierzyłem w swoje bohaterstwo; pozbyłem się nieśmiałości i uczułem, że stanąłem narówni z baronem, jako człowiek odważny i przytomny. Student szczęśliwie złożył egzamin; nie było już studenta; wszelkie nieprzyjemności nowi-

cyuszowstwa zniknęły. Zdało mi się, że nabyłem prawa starać się o względy baronowej. Któż nie wie, do jak niestatecznych marzeń zdolna jest fantazyja zakochanego młodzieńca? Na zamku, przed kominem, przy dymiącej wazie ponczu, zastałem bohatera dnia tego, gdyż oprócz mnie, tylko baron jeden powalił ogromnego wilka, inni zaś, zwalając swoje pudła na nie pogodę i ciemność, poprzestali na opowiedzeniu strasznych historyi, o doświadczonym niegdyś na polowaniu szczęściu, lub przebytych niebezpieczeństwach. Spodziewałem się, że dziadek mnie pochwali i podziwiać będzie, w tej nadziei opowiedziałem mu cały wypadek dosyć szeroko, nie zapomniawszy jaskrawemi odmalować barwami krwiożerczego spojrzenia dzikiej bestyi. Staruszek tymczasem roześmiał mi się w nos i rzekł:

— Bóg potężny czuwa nad słabymi.

Znużony piciem i towarzystwem, gdy sunąłem przez korytarz do sali sądowej, ujrzałem przed sobą jakąś postać, która przemknęła ze światłem w rękę. Wszedłszy do sali, poznałem, że to była panna Adelajda.

— A to jak duch jaki, lub upiór trzeba

się włóczyć, aby cię odszukać, mój panie, pogromco wilków.

Słowa duch-upiór, wymówione w tych miejscach, niemiłe uczyniły na mnie wrażenie; na raz stały mi przytomnie w umyśle owe straszliwe zjawiska nocne; jak wówczas dał wiatr morski w potężne organy, szyby w oknach przeraźliwie brzęczały, księżyc rzucał bladawe światło na ową tajemniczą ścianę, na której dało się słyszeć drapanie. Zdało mi się, że dostrzegam na niej krwawe ślady. Panna Adelajda, która mnie ciągle za rękę trzymała, musiała poczuć te zimne dreszcze, które mnie przejmowały, bo zawołała zcichą:

— Co panu jest? kostniejesz cały. Potrafię cię ożywić. A wiesz pan, że baronowa wcale się nie spodziewa ujrzeć pana. Nie chce dać wiary, że w istocie wilk pana nie rozszarpał. Dręczy się okropnie. Ach, mój przyjacielu, cóżeś to z Serafinki uczynił? Jeszcze jej nigdy w podobnem usposobieniu nie widziałam. A... jak teraz szybko puls bije! Otóż zmarły jegomość nagle zmartwychwstał. No chodź-że pan, tylko pocichu...

I, milcząc, dałem się prowadzić. Spo-



sób, w jaki mówiła Adelajda o baronowej, zdał mi się niegodnym, a szczególnie wzmianka o naszym porozumieniu się. Kiedy wszedłem z Adelajdą do pokoju, ciche: „ach“ wyrwało się Serafinie; postąpiła ku mnie trzy, czy cztery kroki, potem jakby opamiętawszy się, stanęła na środku pokoju; odważyłem się ująć jej rękę i do ust przycisnąć. Baronowa nie cofając ręki, mówiła:

— Mój Boże, czy to pańskie powołanie mierzyć się z wilkami? Czy pan nie wiesz o tem, że bajeczne czasy Orfeuszów, Amfionów już dawno minęły? dzikie bestye nie znają dziś najmniejszego uszanowania dla najznakomitszego artysty!

Ten piękny zwrot, którym baronowa pokryła żywe współczucie dla mnie i opaczne jego tłumaczenie, przywrócił mi przytomność umysłu, zapanowałem nad sobą. Sam już nie wiem, jak się to stało, że nie usiadłem, jak zwykle, przy fortepianie, ale zająłem miejsce na kanapie obok baronowej. Słowami: „I jakże się pan wydobył z niebezpieczeństwa?“ — zawiązała się jakby umowa, że na dziś nie muzyką, ale rozmową się zajmiemy. Gdy opowiedziałem mój wypadek w lesie, i wspomnia-

łem o serdecznej dla mnie życzliwości barona, jakiej się po nim nie spodziewałem, baronowa odrzekła miękkim, prawie smutnym głosem:

— Jakkolwiek wydaje się on panu porwczym i szorstkim, wierząc mi pan, że takim w istocie nie jest; zmienia swój charakter, a przynajmniej sposób postępowania, skoro tylko przybędzie w te pośępne mury... Najwięcej go rozstraja myśl ciągle prześladowająca, że tu stanie się coś strasznego, jakieś wielkie nieszczęście; dlatego pański wypadek na polowaniu, który, dzięki Bogu, żadnych złych nie pociągnął skutków, silnie go wstrząsnąć musiał. Na najmniejsze niebezpieczeństwo nie chce narazić najlichszego sługi swego a cóż dopiero miłego, niedawno pozyskanego przyjaciela; jestem też pewna, że Gotlib, któremu przypisuje winę pańskiego przypadku, ukarany będzie jeśli nie więzieniem, to wstydem, gdyż bez fuzyi, a tylko z pałką będzie mu wolno przyłaczyć się do orszaku myśliwych. Już to, że podobne polowania nigdy bez wypadku obejść się nie mogą, już to, że sam baron chociaż się lęka jakiego nieszczęścia, ciągle kusi jednak złego ducha, rozkosz

w tem znajdując, dość, że to wszystko sprawia pewien przewrót w jego życiu, który i na mnie przykro oddziaływa. Opo-  
wiadają dziwne rzeczy o przodku barona,  
który majorat ustanowił, a wiem dobrze,  
że jakaś tajemnica rodzinna w tych mu-  
rach się ukrywa, jakaś straszna przesko-  
da wypędza stąd właścicieli, dozwalając  
im tu przebywać przez krótki zaledwie  
czas, i to, wśród dzikiej głośnej wrzawy.  
Ale ja, jakże samotną jestem wśród tych  
hałasów; posępność wiejąca tu ze wszyst-  
kich ścian, przenika mnie do głębi duszy.  
Pan, drogi przyjacielu, swoim talentem  
dał mi pierwsze pogodne chwile, jakich tu  
zaznałam. Jakżem ci za to serdecznie  
wdzięczna!

Ucałowałem podaną mi rękę, i powie-  
działem, że i ja pierwszego dnia, albo ra-  
czej pierwszej nocy, doświadczyłem  
w tych murach przykrego, prawie stra-  
sznego wzruszenia. Baronowa nie spu-  
szczała ze mnie oka, gdy wstrząśnięcie  
całego zamku, a szczególnie rujnacyi  
w sali sądowej przypisywałem ciągle wie-  
jącym wiatrom morskim. Być może, iż  
w moim głosie było coś takiego, co kazało  
się domyślać czegoś więcej niż powiedzia-

łem, dość, że kiedym umilkł, baronowa pośpiesznie zawołała.

— Nie, nie! musiało się panu wydarzyć coś innego jeszcze w tej sali, do której nigdy bez pewnej trwogi nie wchodzę. Zaklinam pana, powiedz mi wszystko.

Z bladej twarzy Serafiny, podobniejszej do martwej niż żywej, zmiarkowałem, że lepiej będzie opowiedzieć jej dokładnie całe wydarzenie, aniżeli dozwolić wzburzonej wyobraźni przedstawić ową przeszkodę, z nieznanym mi powodów daleko straszniejszą, niż wistocie. Słuchała mnie uważnie i przerażenie jej zwiększało się coraz bardziej. A kiedy mówiłem o owym drapaniu się po ścianie, wykrzyknęła:

— Ależ to okropne... tak, w tym murze ukrywa się jakaś straszna tajemnica.

Gdy potem opisałem, jak dziadek siłą swego ducha pokonał moc nieczystą, odechnęła głęboko, jakby wielki ciężar spadł jej z piersi. Nachyliła się i w dłoniach ukryła twarz swoją. Teraz dopiero spostrzegłem, że Adelajda wyszła i nas samych zostawiła. Dawno skończyłem opowiadanie, a Serafina wciąż milczała; wstałem więc po cichu, usiadłem przy fortepianie i dźwięcznymi akordami usiłowałem

wywołać weselsze myśli, któreby ją wywiodły z ciemnych otchłani, w jakie ją pograżyły moje słowa. Zanuciłem potem, jak mogłem najrzewniej śliczną canzonę opata Stefaniego. Owe pełne tęsknoty słowa: *Occhi perche piangete* zbudziły Serafinę ze smutnej zadumy; zaczęła mnie słuchać z miłym uśmiechem, chociaż lzy w oczach miała. A potem... jak to się stało—nie pamiętam, padłem przed nią na kolana, ona się do mnie skłoniła, objąłem ją w ramiona, i długi, gorący pocałunek spłonął na moich ustach... Jak to się stało, że zmysłów nie postradałem, gdy uczułem, gdy mnie lekko do siebie przycisnęła? Nie wiem, jak wypuściłem ją z moich objęć i, szybko powstawszy, wróciłem do fortepianu. Odwróciła głowę ode mnie i kilka kroków postąpiła do okna, nagle przybrawszy postawę dumną, jakiej wprzód nigdy u niej nie widziałem, zbliżyła się do mnie, a przenikająco spojrzawszy mi w oczy, rzekła:

— Dziadek pański jest bardzo zacny starzec, prawdziwy to anioł naszej rodziny. Oby zechciał nie zapominać o mnie w swej pobożnej modlitwie.

Nie byłem zdolny wyrzec ani jednego

słowa, zgubna trucizna, którą wyssałem z owych pocałunków, budziła się i wrzała we wszystkich tętnach, we wszystkich moich nerwach. Panna Adelajda weszła. Wściekłość wewnętrznej walki, spłynęła we łzach gorących, których powstrzymać nie byłem w stanie. Adelajda ździwiona spojrzała na mnie i uśmiechnęła się dwuznacznie. Byłbym ją udusił ze złości. Baronowa podała mi rękę i rzekła z nieopisaną dobrocią:

— Żegnam cię, drogi przyjacielu; pamiętaj pan, że nikt lepiej nie rozumiał pańskiej muzyki ode mnie.

Ach, te słowa będą długo, długo dźwięczały w mej duszy.

Wyjąkałem kilka, bez związku, niedorzecznych wyrazów, i pobiegłem do mieszkania. Dziadek już spoczywał. Zatrzymałem się w sali, padłem na kolana i głośno płakać zacząłem, wzywając imienia ukochanej, jednym słowem, oddałem się wszystkim niedorzecznościom miłosnego szału. Dopiero wezwanie dziadka, który się zbudził, opamiętało mnie.

— Kuzynku, ja myślę, żeś albo zwaryował, albo znów potykasz się z wilkiem. Ruszaj mi zaraz do łóżka, jeżeliś łaskaw!



Wezwanie to poskutkowało: udałem się na spoczynek, postanowiwszy sobie marzyć o Serafinie.

Mogło już być około północy, a jeszcze nie spałem. Zdało mi się, że słyszę oddalone głosy, jakieś przebieganie tam i napowrót, otwieranie i zamykanie drzwi. Zacząłem nadstawiać ucha, i usłyszałem przez korytarz zbliżające się kroki; drzwi od sali otworzyły się i zapukano do naszego pokoju.

— Kto tam? — zawołałem głośno.

Z zewnątrz dało się słyszeć:

— Panie justycyaryuszu, panie justycyaryuszu, obudź się pan.

Poznałem głos Franciszka, i gdy zapytałem: czy się pali—już dziadek obudził się i zawołał:

— Gdzie się pali? czy piekielne sztuczki już się rozpoczynają?

— Ach, wstań pan, panie justycyaryuszu, — mówił Franciszek, — pan baron prosi pana do siebie.

— Czego pan baron chce ode mnie w nocy? — pytał dziadek dalej — czy pan baron nie wie, że justycyaryat wraz z justycyaryuszem śpią w łóżku?

— Ach, — przerwał Franciszek smutnie, — jaśnie pani baronowa umiera.

Zerwałem się z łóżka z przerażającym krzykiem.

— Otwórz drzwi Franciszkowi — zawołał na mnie dziadek.

Bezprzytomny ślaniałem się po pokoju, nie mogąc ani drzwi, ani zamku znaleźć. Dziadek musiał mi pomóc. Wszedł Franciszek blady i pomieszany, i zapalił świece. Zaledwieśmy się trochę przyodzielili, usłyszeliśmy samego barona, odzywającego się z sali.

— Czy mogę z tobą pomówić, kochany panie V...?

— Pocoś ty się ubrał, kuzynie, wszak baron mnie tylko potrzebuje—pytał mnie dziadek, domyślając się mojego zamiaru.

— Pójdę tam, muszę ją zobaczyć, a potem umrę! — rzekłem głucho, zgnębiony straszną boleścią.

— A... to tak... masz słuszność, kuzynku.

Powiedziawszy te słowa, stary trzasnął mi drzwiami przed nosem, że aż ściany zadrżały, i na klucz je zamknął.

W pierwszej chwili, oburzony tym gwałtem, chciałem drzwi wysadzić, ale po-myślawszy, jak fatalne mogłoby to po-

ciągnąć za sobą skutki, postanowiłem czekać na dziadka, i wtedy, bądź co bądź, wydobyć się z pod jego przemocy. Każda chwila stawała się dla mnie śmiertelną. Wreszcie usłyszałem, jak po barona przyszedł posługacz, i ten natychmiast udał się za nim. Dziadek wrócił do pokoju.

— Ona umiera, — zawołałem, biegnąc naprzeciwko niego.

— A tyś zwaryował, — odparł spokojnie; schwycił mnie i posadził na krześle.

— Ja pójdę tam, — krzyczałem, — muszę ją zobaczyć, choćby mnie to życie kosztować miało.

— Zrób to, kochany kuzynku, — rzekł dziadek, zamykając drzwi na klucz, i chowając go do kieszeni.

Wtedy ogarnęła mnie wściekłość, porwałem za broń nabitą i zawołałem:

— W twoich oczach, dziadku, w łeb sobie wypalę, jeśli mi zaraz drzwi nie otworzysz.

Dziadek stanął tuż przy mnie i rzekł, patrząc mi w oczy, jakby mnie chciał przeniknąć swym wzrokiem:

— Czy ty myślisz chłopcze, że mnie straszysz swoją nędzną pogroźką? Czy ty myślisz, że twoje życie wiele znaczy

u mnie, kiedy je pragniesz dla dziecinnego głupstwa porzucić jak nieużyteczną zabawkę? Co ty możesz mieć do czynienia z żoną barona? Kto ci dał prawo, abyś jak fircyk jaki wciskał się tam, gdzie nie powinieś, i gdzie nic sobie z ciebie nie robią? Czy chcesz odgrywać rolę zakochanego pasterza w uroczystej chwili śmierci?

Zgnębiony padłem na krzesło. Po niejakej chwili mówił dalej dziadek, już nieco łagodniejszym głosem:

— A przytem dowiedz się, że prawdopodobnie baronowej żadne nie grozi niebezpieczeństwo, tylko panna Adelajda wszystko przesadza; jeśli jej kropelka wody na nos spadnie, to zaraz uważa się na straszną niepogodę. Na dobitkę wrzawa ta jakby wśród pożaru, doszła uszu starych ciotek; te z płaczem przybiegły, opatrzone całym arsenałem rzeźwiących kropli, eliksirów długiego życia, i Bóg wie czego. A tu zwykły napad mdłości...

Dziadek zatrzymał się, widział, jak walczyłem z sobą, przeszedł się kilka razy po pokoju, stanął znów przede mną, roześmiał się serdecznie i rzekł:

— Kuzynku, kuzynku, cóż ty za głupstwa wyprawiasz? No — to widać nic

innego, tylko dyabeł w różny sposób swoje sztuczki płał; samochcąc wpadłeś mu w pazury, teraz harce z tobą wyprawia.

Znów przeszedł kilka kroków i mówił dalej:

— Sen już przepadł, cóż robić? możeby nieźle było wypalić fajkę i tak ubić parę godzin, nim zadnieje.

Powiedziawszy to, zdjął ogromną fajkę ze ściennej szafy, nałożył ją zwolna, nucąc sobie pocichu jakąś piosenkę, potem wyszukał między papierami ćwiartkę papieru, rozdarł ją, zrobił fidibus i zapalił. Wypuszczając gęste kłęby dymu, rzekł od niechcienia:

— No kuzynku, jakże-to było z temi wilkami?

Nie umiem wypowiedzieć, jak ta jego spokojność w dziwny sposób oddziaływała na mnie. Zdało mi się, jakbym wcale nie był w K.; baronowa była ode mnie tak daleko, że ledwie myśl skrzydłata mogła za nią pogonić. Ostatnie przecież słowa, rozdrażniły mnie wielce:

— Czyliż i moja przygoda na polowaniu jest tak zabawną, iż zasługuje na sztyderskie żarciki?

— Ależ bynajmniej, panie kuzynku, —

odrzekł dziadek, — tylko nie uwierzysz, jak to komicznie wygląda, gdy taki młokos jak ty, śmiesznie się nadyma, iż Bóg dobrotliwy, w szczególniejszej swej łasce, wydobył go z nieszczęśliwego wypadku. Miałem towarzysza na uniwersytecie; był-to człowiek łagodny i rozsądny. Otóż przypadkiem zaplątał się w jakąś sprawę honorową, i chociaż go wszyscy bursze mieli za wielkiego tchórza, postąpił sobie z taką stanowczością i odwagą, iż powszechne wzbudził uwielbienie. Ale od tego czasu zupełnie się odmienił. Z pilnego i spokojnego młodzieńca, stał się przechwalcą i niezdolnym zawadyką. Bawił się, hulał i bił o lada drobnostkę, aż wreszcie senior jednego ze stowarzyszeń uniwersyteckich, które publicznie obraził, wyzwał go na pojedynek i zabił. Opowiadam ci to kuzynku, ot tak sobie, możesz myśleć, co ci się podoba. Wracając znów do choroby baronowej...

W tej chwili dało się słyszeć ciche stąpanie po sali, i zdało mi się, że żałosne westchnienie rozeszło się w powietrzu.

— Ona tam jest!

Jakaś myśl straszliwa błysnęła mi w głowie.



Dziadek nagle powstał i zawołał głośno:

— Franciszku, czy to ty jesteś?

— Tak, łaskawy panie justycyaryuszu,  
— odpowiedział stary za drzwiami.

— Franciszku — mówił dalej dziadek — zapalcie trochę ognia na kominie, i jeśli można, przygotujcie parę filiżanek dobrej herbaty. Dyabelnie zimno, — zwrócił do mnie mowę, — a przy kominku wybornie możemy sobie pogawędzić.

Dziadek drzwi otworzył, poszedłem za nim machinalnie.

— Co tam się dzieje na dole? — zapytał znowu.

— E, — odpowiedział Franciszek — nic ważnego nie było, jaśnie pani baronowa znów jest zdrowiuteńka; miała jakiś sen nieprzyjemny, od którego dostała lekkiego napadu mdłości.

Byłbym wykrzyknął z radości, gdyby mnie nie powstrzymał surowy wzrok dziadka.

— Tak, — mówił stary dalej — w gruncie rzeczy byłoby lepiej, gdybyśmy jeszcze parę godzinek przespali.

— Bądźcie tylko tak dobrzy, Franciszku, nie zapomnijcie o herbacie.

— Rozkaz pański, panie justycyaryuszu, będzie spełniony, — odpowiedział Franciszek i wyszedł z sali, życząc nam dobrej nocy, chociaż koguty już piałły.

— Posłuchaj-no kuzynku, — rzekł dziadek, wytrząsając fajkę w kominie, — jakie to szczęście, żeś się tak pięknie wywinał i z wilkami i z fuzyami nabitemi.

Teraz wszystko dobrze zrozumiałem, i zawstydzilem się, że dałem dziadkowi powód do postąpienia ze mną, jak z niesfornym dzieciakiem.

— Bądź tak dobry kuzynku, — mówił do mnie nazajutrz, — zejdź na dół i dowiedz się, jak się miewa baronowa. Zapytaj się tylko panny Adelajdy, a złoży ci pewno biuletyn dokładny.

Łatwo się można domyśleć, z jakim pospiechem wybiegłem. W chwili jednak, gdy miałem zapukać do przedpokoju baronowej, nagle spotkałem się oko w oko z baronem. Stał zdziwiony, mierząc mnie przeszywającym wzrokiem.

— Czego pan tu chcesz? — zapytał porywczo.

Chociaż mi serce silnie uderzyło w pierś, odpowiedziałem jednak spokojnie:

— Na zlecenie dziadka przyszedłem dowiedzieć się o zdrowie jaśnie pani.

— Nie było żadnego niebezpieczeństwa; zwykły atak nerwowy. Teraz śpi lekko i jestem pewny, że zdrowa i rzeźwa zasiądzie z nami do stołu. Powiedz pan to dziadkowi, powiedz.

Baron mówił te słowa z pewnym namiętnym pośpiechem, co zdawało mi się wskazywać, że troskliwszym jest o zdrowie żony, niżby to chciał okazać. Chciałem już odejść, gdy nagle baron schwytał mnie za rękę i rzekł, patrząc na mnie płomienistym wzrokiem:

— Mam z tobą do pomówienia, młodzieńcze.

Czyż nie widziałem przed sobą ciężko obrażonego małżonka, nie należałoż mi lękać się jakiej sceny, któraby z ujmą mego honoru skończyć się mogła? Byłem bezbronny, ale w tejże chwili przypomniałem sobie o składanym myśliwskim nożu, który mi dziadek dopiero w K. podarował, miałem go właśnie przy sobie.

Poszedłem więc za szybko postępującym przede mną baronem, z tem silnem postanowieniem, że wcale życia jego nie

będę oszczędzał, jeśliby miał w ubliżający sposób ze mną postępować.

Weszliśmy do pokoju; baron drzwi za sobą zamknął. Teraz zaczął żywo się przechadzać, założywszy ręce. Potem stanął przede mną i znów powtórzył:

— Chciałem z tobą pomówić, młodzieńcze!

Jakaś szalona śmiałość wstąpiła we mnie, odpowiedziałem więc wyniosłym tonem:

— Spodziewam się, że to będą słowa, których bez obrazy słuchać mogę.

Baron spojrzał na mnie zdziwiony, jakby mnie nie rozumiał. Ponury wzrok wlepił w ziemię, a założywszy z tyłu ręce, znów zaczął przechadzać się po pokoju.

Wziął strzelbę, podniósł i włożył w nią stempel, jakby się chciał przekonać, czy jest nabita. Krew mi w żyłach zakipiała, ścisnąłem nóż i zbliżyłem się tuż do barona, aby mu przeszkodzić, jeśliby chciał do mnie mierzyć.

— Śliczna broń, — rzekł baron, stawiając fuzję w kącie.

Odstąpiłem parę kroków, baron poszedł za mną, a trącając mnie w ramię silniej, niż to jest zwyczajem, rzekł:

— Muszę ci się wydawać wzburzonym i pomieszanym, panie Teodorze? Tak jest w istocie, od tysiącznych niepokojów na czuwaniu spędzonej nocy. Napad nerwowy mojej żony nie miał w sobie nic niebezpiecznego, widzę to dziś dobrze, ale wczoraj... tu, w tym zamku, w którym jakiś ciemny duch jest zaklęty, lękałem się jakiego strasznego wypadku, a zresztą po raz pierwszy w tym zamku zachorowała. I... pan jesteś temu jedynie winien.

— Jak się to stać mogło? nie domyślam się — odrzekłem spokojnie.

— O, mówił baron dalej, oby to przekłete pudło rządczyni połamano się na tysiączne kawałki, żebyś był pan... ale nie, nie... Tak powinno było, tak musiało się stać, ja sam wszystkiemu jestem winien. Do mnie należało wtenczas, kiedyś pan zaczął grywać w pokoju mej żony, ostrzec pana o całym stanie rzeczy, o usposobieniu jej umysłu...

Zrobiłem minę, jakbym chciał odpowiedzieć:

— Pozwól mi pan mówić, — zawołał baron, — muszę się naprzód ubezpieczyć przed pośpiesznym pańskim wyrokiem. Będiesz mnie uważał za człowieka dzi-

kiego, nienawidzącego sztuk pięknych. I omylisz się, gdyż tylko wzgląd, oparty na głębokiem przeświadczeniu, zmusza mnie do wzbronienia tu o ile można przystępu wszelkiej muzyce, co każdy umysł, a zatem i mój pociąga i wzrusza. Dowiedz się pan, że moja żona choruje właśnie ze zbytniego wzruszenia, które w końcu wszystkie rozkosze życia zatruć może. W tych murach przebywając, zostaje ona ciągle w jakimś podnieconem, rozdrażnionem usposobieniu, które zwykle szybko przemija, albo też niekiedy jest poprzednikiem większej choroby. Zapytasz mnie pan, i nie bez pewnej słuszności, dlaczego tak delikatną kobietę narażam na mieszkanie w tem ponurem miejscu, wśród dzikiej, myśliwskiej wrzawy? Nazwij to pan słabością, jeśli ci się podoba, ale wyznaję, że nie podobna mi jej samej zostawić. Wśród ciągłych obaw, nie byłbym zdolny przedsięwziąć nic ważniejszego, ponieważ straszliwe obrazy różnego rodzaju przypuszczeń prześladowały mnie zarówno w lesie, jak w sali sądowej... Nadto byłem zdania, że dla słabej kobiety, takie jak tu pożycie posłuży właśnie jak wzmacniająca kąpiel żelazna.



W samej rzeczy, wiatr morski, który po swojemu tego dzwoni po sosnowym lesie, stłumione warczenia brytanów, śmiałe i trzeźwe odgłosy rogów myśliwskich, powinny tu mieć pierwszeństwo nad roztkliwiającymi trelami fortepianu, którego żaden mąż nie powinien dotykać, ale pan się uwziął, aby moją żonę systematycznie na śmierć zameczyć.

Baron wymówił to z pewnym naciśkiem, rzucając dzikie spojrzenie. Krew biła mi do głowy, wyciągnęłam ku niemu rękę, chciałam się usprawiedliwić, ale nie dał przyjąć do słowa.

— Wiem, co pan chcesz powiedzieć, mówił znów dalej, wiem, a jednak powtarzam, żeś pan o mało co mojej żony o śmierć nie przyprowadził. Bynajmniej panu z tego nie robię wyrzutu, ale pojmujesz dobrze, że muszę temu zaradzić. Jednem słowem, doprowadzasz mi pan żonę do egzaltacji swoją grą i śpiewem, a w dodatku, gdy ona się unosi po bezdennem morzu sennych widziadeł, które jak złośliwy czarnoksiężnik wywołujesz swą muzyką, strącasz ją potem w przepaść, opowiadając o straszliwym duchu, który miał cię nagabywać w sali sądowej. Pański dziadek

wszystko mi powiedział, ale powtórz mi pan, proszę, coś widział, albo nie widział, coś słyszał, czuł, czegoś się domyślał.

Zebrałem myśli i opowiedziałem spokojnie, co zaszło od samego początku do końca. Baron rzucał tylko od czasu do czasu jakie słowo, wyrażając swe zdziwienie.

Kiedy doszedłem do tego, że dziadek z pobożną odwagą stawiał czoło nieczystej sile, i odpędził ją potężnymi słowami, baron złożył ręce i, wznosząc je do nieba, zawołał:

— To opiekuńczy anioł rodziny! oby w grobie przodków naszych spoczęły jego śmiertelne zwłoki!

Skończyłem.

— Danielu! Danielu co tu robisz o tej godzinie? — szeptał baron do siebie, przechadzając się po pokoju z założonemi rękami.

— Więcej pan baron nie ma nic do rozkazania? — zapytałem głośno, chcąc się oddalić.

Baron ocknął się, jak z głębokiego snu, ujął życzliwie moją rękę i rzekł:

— Kochany przyjacielu, musisz uratować mi żonę, której mimowolnie tak złą

uczyniłeś przysługę. Pan tylko sam możesz to uczynić.

Poczułem, że się rumienie, i gdybym miał zwierciadło przed sobą, to pewnoby ujrzał twarz bardzo głupio zakłopotaną. Baron zdawał się cieszyć mojem pomieszaniem i długo nie spuszczał ze mnie oka, uśmiechając się szyderczo.

— Jakże mam się wziąć do tego?—wybelkotałem wreszcie z wielką trudnością.

— Ależ, — przerwał mi baron, — nie masz pan tak bardzo niebezpiecznego pacyenta. Teraz ja pragnę korzystać z pańskiego talentu. Ponieważ baronowa raz została wciągnięta w zaczarowane koło pańskiej muzyki, więc byłoby nierozsądkiem, a nawet okrucieństwem nagle wyrywać ją z niego. W wieczornych godzinach będziesz pan zawsze z przyjemnością witany w pokojach mojej żony, tylko bądź łaskaw stopniowo przechodzić do coraz silniejszej muzyki, łącząc rzeczy wesołe z poważnemi, a przytem i nade wszystko powtarzaj jej pan często opowiadanie o straszącej *przeszkodzie*. Baronowa przyzwyczai się do tego, zapomni, że owa przeszkoda w zamku się znajduje i cała ta historia nie większe na niej

czynić będzie wrażenie, jak każda inna cudowna bajeczka, którąby znalazła w jakim romansie, lub zajmującej książce o duchach. Uczyń to, kochany przyjacielu.

Powiedziawszy to, baron pożegnał mnie. Byłem zgnębiony, upokorzony w głębi swej duszy; uważano mnie tu jako nic nieznaczącego, głupiego chłopca. I ja, szalony, mniemałem, że zazdrość jego piersi rozdziera, a on sam wyprawia mnie do Serafiny, widząc we mnie posłuszne swej woli, bezmyślne narzędzie, którego używa lub które odrzuca, według upodobania. Przed kilku minutami lękałem się barona, poczuwając się w gruncie serca do winy, ale ta winą dawała mi poczuć życie wyższe, wspanialsze, do którego się piałem. Teraz wszystko czarna noc pochłonięła, i widziałem tylko chłopca, który w dziecinnej przewrotności kładł sobie na rozpaloną głowę papierową koronę, uważając ją za prawdziwą złotą. Pośpieszyłem do dziadka, który już czekał na mnie.

— A cóż to, kuzynku, gdzie tak długo bawiłeś? — zawołał na mnie zdaleka.

— Rozmawiałem z baronem, — odpo-

wiedziałem szybko i cicho, nie śmiejąc spojrzeć dziadkowi w oczy.

— A do stu katów! — rzekł dziadek, niby zdziwiony, — tego się nie spodziewałem. Zapewne baron wyzwał cię na pojedynek?

Z głośnego śmiechu dziadka poznałem, że i tym razem, jak zwykle, do gruntu mnie przeniknął. Zaciąłem zęby, nie odpowiedziałem ani słówka, nie chcąc narażać się na uszczypliwe docinki, które już igrały na ustach dziadka.

Baronowa ukazała się przy stole w ślicznem białem ubraniu, świeżością swoją przewyższającym śnieg padający. Wyglądała blada i znużona; gdy jednak mówiąc swym cichym i melodyjnym głosem, podniosła czarne oczy, wtedy słodkie, tęskne pragnienie błyskało z przyćmionego ich żaru, i przelotny rumieniec krasił jej lica liliowe. Była piękniejsza niż kiedykolwiek.

Któż zbada wszystkie szaleństwa młodzieńca z zapaloną głową i sercem? Gorzką nienawiść, jaką powziąłem do barona, przeniosłem na baronową. Wszystko wydało mi się, jak świętokradzka jakaś mistyfikacya; chciałem więc pokazać, że

przy zdrowych zmysłach i że mam przenikliwszy wzrok od innych. Jak nadaśane dziecko unikałem baronowej i chowałem się przed ścigającą mnie Adelajdą. Przy stole znalazłem miejsce na samym końcu między dwoma oficerami, z którymi zacząłem tego popijać. Po obiedzie trąciliśmy jeszcze nie jeden kieliszek, i jak się to zwykle dzieje w podobnem usposobieniu, byłem nadzwyczaj wesoły i hałaśliwy. Służący podał mi talerz z cukierkami, na których był podpis od Adelajdy, a gdy wziąłem jeden z nich, postrzegłem dopisane drobnymi literami: i *Serafiny*. Krew zawrzała mi w żyłach. Spojrzałem na Adelajdę, ta zrobiwszy filuterną minkę, wzięła kieliszek w rękę i lekko ku mnie skłoniła głowę. Prawie mimowoli wyszeptalem po cichu: Serafina, podniosłem kieliszek i wypilem go jednym haustem. Wzrok mój pobiegł ku niej, postrzegłem, że i ona w tej samej chwili wypróżniła swój kieliszek i stawiała go właśnie na stole. Oczy jej spotkały się z moimi, i jakiś zły duch szepnął mi do ucha: — Szalony, wszak ona cię kocha!

Jeden z gości powstał, i według północnego zwyczaju, wzniósł zdrowie pani do-



mu. Kielichy zadzwoniły głośno wśród wesołej wrzawy. Radość i zwątpienie przejmowały mnie na przemian; wino rozpłomieniło mnie do reszty tak, iż wszystko kręciło się w koło, zdało mi się, że wobec wszystkich padnę u jej nóg i ducha wyzionę.

— Co panu jest? — to zapytanie sąsiada upamiętało mnie, ale Serafina zniknęła.

Wstaliśmy od stołu. Chciałem zaraz odejść, Adelaida mocno mnie trzymała; mówiła ze mną o różnych rzeczach, słuchałem, ale nie rozumiałem ani słówka. Ujęła mnie za obie ręce i z głośnym śmiechem coś do ucha szeptała. Bezwładnością skrępowany, stałem głuchy i niemy. Wiem tylko, że machinalnie wziąłem z rąk Adelaidy kieliszek likieru i wypilem go, że znalazłem się sam przy oknie, potem wybiegłem z sali na schody, i podążyłem do lasu. Śnieg padał gęstymi płatami, ponure sosny jęczały wicherem miotane. Jak szalony biegałem po lesie, wykrzykując: hej! ha! Snadź dyabeł wyprawiał ze mną swój taniec.

Nie wiem, jakby się te szaleństwa skończyły, gdybym nie usłyszał, że mnie po imieniu wołano. Wypogodziło się już, księ-

żyć jasno przyświecał przez poszarpane chmury; doleciało naszczekiwanie psów. Jakaś dziwna postać zbliżała się do mnie. Był to stary strzelec.

— Hej, hej, kochany panie Teodorze,— wołał stary — toć pan zabłądził w tę straszną zawieruchę, a pan justycyaryusz od dawna oczekuje pana z wielką niecierpliwością.

Milcząc, poszedłem za strzelcem. Zastanawiałem dziadka pracującego w sądowej sali.

— Dobrze zrobiłeś—rzekł do mnie na samem wejściu, — bardzo dobrze, żeś się trochę przewietrzył i porządnie ochłodził. Nie pijże tak dużo wina, jesteś do tego jeszcze za młody, to ci szkodzi.

Ani słowa nie odpowiedziawszy dziadkowi, zasiadłem przy stole do pisania.

— Powiedz mi też, kochany kuzynku, czego właściwie chciał baron od ciebie?

Opowiedziałem mu wszystko, dodawszy, iż wcale nie myślę dać się użyć do tej wątpliwej zresztą kuracyi, jaką sobie baron zamierzył.

— I nie byłaby możliwa do wykonania — przerwał mi dziadek, — ponieważ, mój kuzynku, odjeżdżamy jutro raniuteńko!

I tak się stało. Serafiny więcej już nie widziałem.



Zaledwie wróciliśmy do miasta, zaczął się dziadek uskarżać, że więcej niż kiedykolwiek czuje się strudzonym uciążliwą jazdą. Posępne milczenie, przerywane często wybuchami złego humoru, było zapowiedzią jego podagrycznych ataków. Pewnego dnia nagle wezwano mnie do niego; zastałem staruszka tkniętego silnym atakiem, leżał na pościeli pozbawiony mowy, trzymając w kurczowo ściniętej dłoni jakiś list zgnieciony. Poznałem pismo rządcy majoratu K..., przecież nie śmiałem przez uszanowanie wyjmować listu z ręki dziadkowi, nie wątpiąc, że wkrótce umrze. Jednakże zanim jeszcze lekarz przyszedł, pulsa uderżyły na nowo; silna natura siedmdziesięcioletniego starca tym razem pokonała śmierć: tego samego jeszcze dnia oświadczył lekarz, iż wszelkie niebezpieczeństwo minęło.

Zima była sroższa niż zwykle, po niej nastąpiła burzliwa wiosna, a ponieważ żadna choroba tyle od pogody nie zawisała, co podagra, więc staruszek przez długi

czas nie mógł wstać z łóżka. W tymże czasie złożył wszystkie swoje sprawy, wycofał się z interesów, odstupując justycyaryat w inne ręce; zniknęła więc dla mnie nadzieja, abym kiedykolwiek do K... pojechał.

Dziadek tylko ode mnie przyjmował posługę, ja go pielęgnowałem, moja tylko rozmowa mogła go rozerwać i rozweselić. A chociaż w chwilach wolnych od cierpień w wybornym był humorze, i nie zbywało mu na dowcipnych żartach, chociaż przypominał sobie i myśliwskie przygody, a wśród nich wystąpić przecież mogło owe wilczysko, które tak heroicznie zabiłem; nigdy przecież ani jednym słówkiem nie uczynił wzmianki o naszym pobycie w K..., zdawał się nie spostrzegać nawet, że tylko przez winne mu uszanowanie wystrzegałem się skierować na to rozmowę.

Ciągle troski i obawy o dziadka usunęły na stronę obraz Serafiny, ale skoro zaczął do zdrowia przychodzić, gdy choroba zupełnie minęła, tem częściej i żywiej przypominały mi się owe chwile spędzone w pokoju baronowej, która ukazała się mym oczom jak świetna gwiazda i nieste-

ty, zniknęła nazawsze. Pewna jednak okoliczność wzbudziła na nowo dawniejsze cierpienia, przejmując mnie dreszczem, niby zjawisko z tamtego świata. Kiedy pewnego wieczoru otworzyłem pugilares, który nosiłem przy sobie, bawiąc w K..., z zawiniętego papieru, wypadł mi pukiel ciemnych włosów, związanych białą wstążką, która — odrazu to poznałem — należała do Serafiny. Bliżej przypatrując się temu pakieczkowi, dostrzegłem ślad kropli krwi. Być może, że Adelaida doręczyła mi tę pamiątkę, w chwilach bezprzytomnego szalu, który w ostatnich dniach mnie ogarnął, ale co znaczy na niej krew? To każe mi się domyślać czegoś strasznego, i ten zakład prawie pasterskiej czułości, zmienił się na pamiątkę namiętności, którą okupić musiała krew serdeczna. Była to ta sama wstążka, która po raz pierwszy zbliżyła mnie do Serafiny, przelatując od niej do mnie, jakby w zabawie swawolnej, dziś staje się dla mnie smutnym posłem śmierć zwiastującym. Nie igrać chłopcu z bronią, której niebezpieczeństwa nie poznał.

Wreszcie przestały szumieć wichry wiosenne, lato odzyskało swe prawa, i jak

wpierw była nieznosna zima, tak teraz z początkiem lipca nastały mżące gorąca. Dziadek odzyskiwał siły widocznie i tak już czuł się dobrze, iż przeniósł się ze mną do zamiejskiego ogrodu, jak to dawniej zwykł był czynić. Pewnego pogodnego i ciepłego wieczoru, siedzieliśmy w wonnej jaśminowej altanie. Dziadek był nadzwyczajnie wesoły, tylko nie występował jak dawniej z docinającą ironią, ale był łagodny, prawie rzewny.

— Nie wierzysz kuzynku, — rzekł do mnie, jak mi dziś błogo. Od wielu lat nie czułem się tak zdrów, jak w tej chwili. Jakieś elektryczne ciepło całego mnie przenika; byłoby to zapowiedzią rychłej śmierci?

Usiłowałem rozpędzić te smutne myśli.

— Dobrze, dobrze — mówił znów dziadek — długo ja przecież na tej ziemi nie zabawię, i dlatego winienem ci, kuzynku, jeden dług spłacić. Czy pamiętasz tę jesień, kiedyśmy w K... bawili?

Jak błyskawica olśniło mię to zapytanie dziadka, i nim zdobyłem się na odpowiedź, on już mówił dalej:

— Bogu widać się tak podobało, abyś tam wystąpił w szczególniejszy sposób,



i mimowolnie wcisnął się w najgłębsze tajemnice domu. Teraz nadszedł czas, abyś o wszystkim się dowiedział. Często mówiliśmy z sobą o rzeczy, której domyślałeś się tylko, aleś jej nie rozumiał. Natura przedstawia w życiu ludzkim pewne symboliczne podobieństwo do zmian w porach roku: tak mówią wszyscy, ale ja inaczej rozumiem to jak wszyscy. Na wiosnę mgły padają, w lecie pary unoszą się w górę, dopiero jesienią czysty eter pozwala nam widzieć jasno oddalone obrazy, nim je byt ziemski pochłonie w zimowej nocy. Sądzę, że w jasnowidzeniu starców okazuje się szczególnie niezbadana siła. Są to, jakby dozwolone spojrzenia w błogosławioną dziedzinę, do której ze śmiercią czasową rozpoczyna się pielgrzymka. Jakże jasnymi wydają mi się wszystkie ciemne punkty w stosunkach tego domu, z którym łączyły mnie więzły ściślejsze, niż zwykłego pokrewieństwa. Wszystko wyraźnie stoi przed oczyma mej duszy, a przecież, gdy baczniej się zastanawiam, postrzegam tu coś takiego, czego nie potrafię ci słowami wypowiedzieć, czego nie zdolna żadna mowa ludzka wyrazić. Posłuchaj mnie, mój synu, opowiadać ci bę-

dę, jakby jakąś ciekawą historię, która wydarzyć się mogła. Zachowaj w głębi duszy to przekonanie, iż pełne tajemnicy wydarzenia, w których niepowołany może, wzięłeś udział, zgubić cię mogły! Dziś... wszystko już do przeszłości należy.

Historię majoratu K..., która mi dzia-  
dek opowiedział, wiernie zachowałem  
w pamięci, tak iż jestem w stanie powtórzyć  
własnymi jego słowami, zwłaszcza,  
że, mówiąc o sobie, zwykle używał trze-  
ciej osoby.

Pewnej burzliwej nocy, w jesieni roku  
1760, ogromny huk, jakby się cały obszer-  
ny zamek w tysiączne sztuki rozpadał,  
zbudził ze snu głębokiego strwożonych  
mieszkańców. W mgnieniu oka wszyscy  
byli na nogach; pozapalano światła,  
z trwogą w zbladłej twarzy nadleciał za-  
dyszany marszałek dworu, dźwigając pęk  
kluczy. Ale jakież było wszystkich zdzi-  
wienie, gdy w głębokiej ciszy, słysząc  
było tylko szcęk zamków z trudno-  
ścią się otwierających, i odgłos kroków  
strasznem echem odbijający się wśród  
pustych korytarzy sal i pokojów, a ni-  
gdzie najmniejszego śladu zniszczenia.  
Straszne przeczucie ogarnęło marszałka.

Pobiegł do sali rycerskiej, w której bocznym gabinecie zwykle sypiał baron Roderyk K., gdy się oddawał astronomicznym pracom. Z owego gabinetu do astronomicznej wieży prowadziło wąskie przejście. Skoro tylko Daniel (tak się zwał marszałek) drzwi od wieży uchylił, wiatr, wyjąc straszliwie, zasypał go gruzem i ułamkami cegły. Z przerażenia wtył się rzucił; świece wypadły mu z ręki i, syjąc, pogasły. Wśród ciemności zawołał strasznym głosem:

— O Boże wielki, baron został przywalony!

W tej chwili dały się słyszeć jęki wychodzące z sypialnego pokoju barona. Daniel zawołał na służbę, aby podniosła trupa swego pana. Znaleziono go zupełnie ubranego, nawet bogaciej niż zwykle; z twarzą poważną i niezmienioną siedział w wielkiem, ozdobnem poręczowem krześle, jakby spoczywał po ciężkiej pracy.

Gdy się rozwidniło, postrzeżono, że szczyt wieży zawalił się. Potężne kwadratowe płyty kamienne przebiły sufit i podłogę astronomicznego pokoju, i wraz z wystającą teraz ogromną belką, padły na dolne sklepienie, druzgocząc część muru zam-

kowego i owo wązkie przejście. Ani kroku nie można było uczynić teraz, za drzwi z sali prowadzące, bez narażenia się na wpadnięcie w przepaść głęboką, najmniej na stóp ośmdziesiąt.

Stary baron przepowiedział śmierć swoją, oznaczając niemal jej godzinę, i zawiadomił o tem swoich synów. To też zaraz nazajutrz przyjechał Wolfgang von K. najstarszy syn zmarłego, a tem samem dziedzic majoratu. Polegając na przeczuciu swego starego ojca, skoro tylko odebrał od niego fatalny list, porzucił natychmiast Wiedeń, w którym czasowo przebywał i pośpieszył do K. Marszałek domu kazał obić kirem wielką salę, i złożyć starego barona na wspانياłem łożu, w tem samem ubraniu, w jakim go martwym znaleziono. Wkoło poustawiano wysokie srebrne lichtarze, z pozapalanemi świecami. Milcząc, wszedł Wolfgang na schody, udał się wprost do sali i stanął tuż przy zwłokach ojcowskich, a założywszy ręce na piersi, ze ściągniętymi brwiami wpatrywał się ponuro w blade oblicze nieboszczyka. Podobny był do posągu: ani jedna łza nie zwilżyła mu oka. Wreszcie z kurczowem prawie wysileniem wzno-

sząc prawą rękę nad trupem, zawołał przytłumionym głosem: Czy gwiazdy cię zmusiły, żeś zabił szczęście syna, którego kochałeś? Rozłożywszy ręce, i cofnąwszy się nieco, wzniosł oczy do góry i szeptał rozrzewniony: — Biedny, obłąkany starcze, kuglarska zabawka ze swemi dziecinnemi złudzeniami już cię więcej nie mami. Widzisz teraz jasno, że nędzna posiadłość ziemska nie ma nic wspólnego ze światem poza gwiazdami. Jakaż wola, jakaż siła rozciąga się poza grób?

Znów milczał baron kilka chwil, potem żywo zawołał: — Nie, nie, twój upiór nie powinien mnie pozbawić części ziemskiego szczęścia, które, według swego mniemania, zniszczyłeś.

Rzekłszy to, wyrwał z kieszeni papier złożony, i wzięwszy go w dwa palce, uniósł nad jedną ze świec, które trupa otaczały. Papier trzymany nad świecą buchnął wysoko płomieniem, który odbił się i zadrgał na twarzy nieboszczyka, tak, iż zdawało się, że poruszyły się jego usta, i szeptały jakieś niedosłyszane wyrazy. Groza i przestach padły na służbę opodal stojącą. Baron tymczasem spokojnie dokonywał swego dzieła, a gdy mu kawałek

palącego się papieru upadł na podłogę, tro-  
skliwie przydeptał go nogą. Potem rzucił  
raz jeszcze posępne spojrzenie na zwłoki  
ojca, i szybkim krokiem opuścił salę.

Nazajutrz zawiadomił Daniel barona  
o zapadłej wieży i rozwodził się obszernie-  
mi słowy nad tem, co zaszło owej nocy,  
kiedy stary baron życie zakończył, doda-  
jąc, iż należałoby zaraz wieżę do dawne-  
go przywrócić stanu, ponieważ coraz bar-  
dziej się wali, grożąc niebezpieczeństwem  
całemu zamkowi, w którym chociaż nic  
uszkodzone, jednak mocno wszystko nad-  
wyrężone zostało.

— Wieżę odbudować? — przerwał ba-  
ron staremu słudze, rzucając nań pioru-  
nujące spojrzenie. — Nie, nigdy! Czy ty  
myślisz stary, że ot, tak sobie, bez żadne-  
go powodu wieża się zawaliła? A jeśli sam  
ojciec życzył sobie, aby zniszczone zo-  
stało to miejsce, w którym oddawał się  
niedorzecznemu gwałtownictwu; a jeśli  
sam poczynił przygotowania, aby się za-  
padło całe wnętrze wieży, skoro tego ze-  
chce? Niechże będzie, jak chciał, co do  
mnie, niech i cały zamek pójdzie w ruinę.  
Czy wy myślicie, że ja mieszkać będę  
w tej ponurej, sowej jamie? Nie, naśla-



dować raczej będę tego z mych przodków, który w zielonej dolinie, położył fundament do nowego zamku, i wszystko do tego przygotował.

— Tak więc — odezwał się Daniel nawpół głośno — to i starzy słudzy będą musieli pójść z torbami.

Na to odparł baron:

— Że bezsilnych, powłóczących nogami starców nie wezmę do usług, to się rozumie samo przez się, ale wyganiać nikt nie będę. Gdy nie będziecie mieli nic do roboty, będzie wam smakował chleb łaskawy.

— Ja? — zawołał stary z boleścią — ja mam być marszałkiem i żadnej służby nie pełnić?

Na to baron, który już chciał wyjść z sali, odwrócił się do starego i zaczerwieniony z gniewu, z zaciśniętą pięścią, przyskoczył do niego i krzyknął straszliwym głosem:

— Ty stary, obłudny łotrze, któryś z moim obalamuconym ojcem sam jeden na górze się zamykał, któryś w jego serce wpił się jak wampir, i być może zbrodnico korzystał z jego szaleństwa, któryś wpływał na jego piekielne postanowienie,

co mnie rzuciło na kraniec przepaści,—ciebie powinienem jak psa parszywego strącić na dół.

Złakł się stary strasznej mowy, i padł na kolana tuż przed baronem. I stało się, że baron, nie posiadając się już w szalonym gniewie, w którym zwykle bezwiednie poruszenia ciała biegną za myślami, domawiając ostatnich słów, tak silnie uderzył nogą w piersi starego, iż ten z głuchym jękiem padł na ziemię. Z trudnością podniósł się stary na nogi, a wydając szczególniejszy głos, podobny do zgrzytu ranionegośmiertelniezwierza, rzucił na barona spojrzenie pełne wściekłości i zemsty.

Worek z pieniędzmi, który mu baron odchodząc rzucił, zostawił nietknięty na podłodze.

Tymczasem krewni rodziny, znajdujący się w okolicy, zebrali się w zamku. Stary pan został pochowany uroczyście w podziemiach kościoła w Her... Po ceremonii, młody dziedzic okazał się bardzo zadowolonym ze schedy; starannie sprawdził rachunki i dochody majątności z justycyaryuszem, którego w urzędzie zatwierdził—i którego obdarzył całem zaufaniem; obmyślał z nim razem sposoby

odbudowania zamku. Justycyaryusz V. był przekonany, że stary baron nie mógł wydać wszystkich swoich dochodów, a ponieważ w skrzyni i portfelu znalaziono zaledwie parę tysięcy dukatów, przypuszczał, że musiały być jakieś pieniądze ukryte w którejś części zamku. Nikt nie mógł lepiej niż Daniel o tem wiedzieć, ale ten w swojej uporczywości, czekał zapewne, aż go zapytają. Baron lękał się, że Daniel, którego on tak surowo obraził, nie zechce ujawnić tajemnicy, raczej przez zemstę niż chciwość; starzec bowiem był bezdzietny i myślał tylko o tem, aby żywot zakończyć w zamku. I na cóż mógłby zużytkować te znaczniejsze sumy? Baron opowiedział V., co się stało pomiędzy nim a Danielem — i powiedział mu, że do tego czynu gwałtownego zmusiło go przekonanie, powzięte na zasadzie licznych doniesień, że Daniel podtrzymywał w umyśle starego barona niewyjaśnioną antypatyę do swoich dzieci. Justycyaryusz oświadczył, że te wiadomości były całkowicie błędne — i podjął się wypytać Daniela, czy nie zna gdzie skarbu ukrytego w zamku.

Przedsięwzięcie nie było wcale trudne,

gdyż zaledwie justycyaryusz mu powiedział:

— Jakto być może Danielu, że stary pan tak mało gotówki zostawił?

Odpowiedział Daniel ze znaczącym uśmiechem:

— Czy mówisz pan o tych nędznych kilku talarach, któreście w małych skrzyniach znaleźli? Reszta leży w sklepie obok sypialni starego jaśnie pana. Ale lepsza część — mówił dalej marszałek, usta zaś jego wykrzywiły się strasznym grymasem, a oczy krwawym połyskały ogniem — lepsza część, wiele tysięcy złotych sztuk leży na dole gruzem zasypa.

Justycyaryusz przyzwał natychmiast barona; udano się do gabinetu sypialnego, w jednym jego kącie, odsunął Daniel gruz przy ścianie, i ukazał się zamek.

Gdy baron chciwym wzrokiem na zamek spoglądał, Daniel z wolna robił przygotowanie, próbując kluczy z wielkiego pęka, który z niemiłym brzękiem z kieszeni wyciągał; potem wyprostował się i szyderczo spojrział na barona, który nachylił się, aby lepiej zamek obejrzeć.

Ze śmiertelną bladością w twarzy rzekł Daniel drżącym głosem:

— Jeśli psem jestem, jaśnie panie baronie, to też jak pies dochowuję wierności.

Powiedziawszy te słowa, podał klucz baronowi, który z gorączkowym pośpiechem wyrwał mu go z ręki, i drzwi bardzo łatwo otworzył. Weszliśmy do niskiego, niewielkiego sklepu, w którym stała żelazna szkatuła z odchylnem wiekiem. Na workach ze złotem leżała kartka, na której stary baron wypisał staroświeckimi, wielkimi literami:

„Sto pięćdziesiąt tysięcy talarów w starych Frydrychsdorach, oszczędzonych z dochodów majoratu K. Suma ta przeznaczona się na budowę nowego zamku. Nadto posiadacz majoratu, który po mnie nastąpi, winien z tych pieniędzy na najwyższem wzgórzu, na wschód od wieży, wznieść latarnię morską dla żeglarzy, i zapalać ją co noc“.

„K... w nocy Sw. Michała 1760 roku.

„Roderyk baron K...“

Dopiero kiedy baron podniósł worek jeden po drugim, i napowrót włożył do szkatuły, rozkoszując się brzękiem złota, obrócił się nagle do starego marszałka, dziękował mu za okazaną wierność i upewniał,

że tylko wskutek kłamliwych plotek tak źle z początku z nim postąpił, dodając przytem, iż nietylko ma pozostać w zamku, ale pełnić służbę jako marszałek, z podwójną pensją.

— Winienem cię dobrze wynagrodzić. Chcesz złota, to weź sobie jeden z tych worków!

Rzekłszy to, baron stał ze spuszczonym wzrokiem przed starym marszałkiem, potem jeszcze raz przystąpił do szkatuły i porządkował worki.

Marszałkowi krew na twarz wystąpiła, i wydał ten straszny głos, o którym baron justycyaryuszowi wspominał, że podobny był do jęku zranionego zwierza. Justycyaryusz zadrżał, bo to, co przez zęby marszałek wymawiał, zdawało się brzmieć:

— Krew za złoto!

Baron zagłębiany cały w swym skarbie, niczego się nie domyślał. Danielem, gdy patrzył na to, kurczowy wstrząsnął dreszcz; z pochyloną przecieź głową, w pokornej postawie zbliżył się do barona, pocałował go w rękę i rzekł płaczliwym głosem:

— Ach, mój jasny panie, co mnie bie-



dnemu, bezdzietnemu starcowi po pieniądzach! Za to podwójną pensję przyjmuję z radością; służyć będę chętnie i żwawo.

Baron, który niewiele zważał na słowa starego sługi, spuścił teraz ciężkie wieko szkatuły, które z takim hukiem się zapadło, że cały sklep zadrżał. Potem zamknął ją, z wielką troskliwością wydobył klucz i rzekł:

— Dobrze już, dobrze, mój stary! Ale wspomniałeś także, — mówił baron dalej, wszedłszy już do sali — o wielkich pieniądzach, które się mają znajdować pod zwaliskami wieży?

Stary milcząc, przystąpił do wielkich drzwi, i otworzył zamek z wielką trudnością; lecz zaledwie uchylił podwoi, wiatr wionął do sali gęstymi płachtami śniegu. Spłoszony kruk, kracząc, zerwał się do lotu, uderzył czarnemi skrzydłami w okno, a potem dostawszy się do drzwi, runął w przepaść... Baron wyszedł na korytarz, a rzuciwszy okiem w głąb, zadrżał i cofnął się.

— Straszny widok, aż kręci się w głowie — wyrzekł z cicha, i jak zemdląły padł na ręce justycyaryusza, ale wnet

przyszedł do siebie, i zapytał starego, rzucając nań przenikliwe spojrzenie:

— No, a cóż tam na dole?...

Stary tymczasem zamykał drzwi napowrót, przyciskając je z wielkim wysiłkiem, i nie mało się nastękał i najęczał, nim z zardzewiałego zamku ogromny klucz wydobył. Skończywszy wreszcie swoją robotę, odwrócił się do barona, a wywijając wielkim kluczem, rzekł ze szczególniejszym uśmiechem:

— Tak, tam na dole leżą tysiące tysięcy; wszystkie piękne instrumenty nieboszczyka pana: teleskopy, globy, lunety...

— Ależ pieniądze, pieniądze — przerwał mu baron — wszak mówiłeś o sztukach złota?

— Ja myślałem tylko o tych przedmiotach, które wiele tysięcy złotych sztuk kosztowały.

Więcej niepodobna było ze starego wydobyć.

Teraz zdawał się baron być zadowolonym; raz przecie osiągnął środki, których potrzebował, aby najulubieńszy swój projekt mógł przywieść do skutku, to jest wystawić nowy wspaniały zamek. V. sądził wprawdzie, że według woli niebosz-

czyka, mogła być mowa tylko o wyre-staurowaniu, jakby o zupełnem przebudowaniu starego zamku, bo istotnie każdy nowy gmach niełatwo wyrównałby wspa-niałemu ogromowi i poważnej architek-turze starego zamku. Baron przecież nie odstąpił od swego zamysłu, utrzymu-jąc, że w podobnego rodzaju postanowie-niach, jeśli wyraźnie aktem erekcyjnym nie zostały stwierdzone, wola nieboszczy-ka ustąpić musi... Dał przytem do zrozu-mienia, że obowiązkiem jego jest, mieszka-nie w K... o tyle pięknem uczynić, o ile na to pozwala klimat, grunt, i inne okoli-czności, ponieważ zamierza w krótkim czasie sprowadzić jako najukochańszą żo-nę, istotę godną pod tym względem naj-większych ofiar.

Tajemniczy sposób, z jakim baron wy-rażał się o małżeńskim swym związku, być może zawartym już skrycie, przeciął justycyaryuszowi wszelkie dalsze zapy-tania. Uspokoili go przecież projekty ba-rona, bo w nich znalazło wytłomaczenie owo nienasycone pragnienie bogactwa, które nie było żadną chciwością, ale ra-czej chęcią przypodobania się ukochanej osobie, która być może dla niego wyrzec

się musiała pięknej ojczyzny. A jakże nie miał go uważać za skąpca, a przynajmniej niepomiarowanego chciwca, gdy ten, nurzając się w złocie, i rozkoszując widokiem starych frydrychsдорów, szeptał jeszcze po cichu do siebie:—Ten stary hultaj musiał ukryć przede mną skarb daleko większy, ale na przyszłą wiosnę każę w moich oczach całą wieżę rozwalić.

Wezwani architekci przybyli. Długo się z nimi baron naradzał, jak przystąpić do nowej budowy. Odrzucał jedne rysunki po drugich; żaden plan nie wydał mu się dość bogatym i wspaniałym. Wreszcie sam zaczął rysować, i zajęty tą pracą, która, być może, ciągle mu przed oczy nasuwała czarujące obrazy szczęśliwej przyszłości, stał się weselszym, i pomimo znużenia, w wybornym bywał humorze, który wnet udzielił się całemu otoczeniu. Hojność barona i jego wystawność usuwały ciążące na nim podejrzenie chciwości. Nawet Daniel zdawał się zapominać o wyrządzonej mu krzywdzie. Zachowywał się cicho i pokornie względem barona, który go często, z powodu ukrytych skarbów, nieufnem ścigał okiem. Najwięcej wszakże dziwiło wszystkich, że stary z każdym

dniem stawał się widocznie młodszym. Zapewne żał po starym panu tak go zrazu zgłębił; teraz zaś czy to pokonał swą boleść, czy też, że nie potrzebował chłodnych nocy bezsennie przepędzać, a miał stół lepszy i wino do wyboru, dość, że z pochylonego starca przemienił się w krzepkiego mężczyznę z rumianymi policzkami, chodził rażno, i śmiał się głośno, gdy z jakim żarciem wystąpił.

Wesołe życie w K. przerwało zjawienie się człowieka, o którym dawniej należało pomyśleć. Tym człowiekiem był Hubert, młodszy brat Wolfganga, który na jego widok zbladł jak trup i głośno zawołał:

— Nieszczęśliwy, czego tu chcesz?

Hubert rzucił się w ramiona bratu, ale ten, nie odwzajemnił mu się uściskiem; porwał go tylko za rękę i pociągnął za sobą na górę, do najodleglejszego pokoju, i zamknął się z nim potajemnie. Kilka godzin rozmawiali z sobą, w końcu wyszedł Hubert z pomieszaną głową, i zawołał o swoje konie. Justycyaryusz zaszedł mu drogę; Hubert chciał go minąć. V. wiedziony przecuciem, że zaszło nieporozumienie między braćmi, które tu skończyć

się powinno, prosił go, aby na kilka godzin się zatrzymał przynajmniej. W tejże samej chwili nadbiegł baron, wołając głośno:

— Pozostań, Hubercie. Namyślisz się jeszcze.

Wypogodziła się twarz Huberta; zmienił zamiar odjazdu; szybko zdjął bogate futro i rzucił je służącemu, podał prawą rękę justycyaryuszowi, i wchodząc do pokoju mówił z szyderczym uśmiechem:

— Pan majoratu raczy mnie łaskawie znosić.

Justycyaryusz sądził, iż teraz najwłaściwiej załagodzić kłótnię braterską, bo ta, gdyby się rozłączono bez pojednania, zwiększałaby się jeszcze bardziej. Hubert wziął stalowe obcęgi, które stały przy kominie, i, potracając niemi jakiś sękaty wilgotny kawał drzewa, aby się lepiej rozpałił, tak mówił do V.:

— Widzisz więc, panie justycyaryuszu, iż jestem człowiek uległy, zdolny do wszelkiego rodzaju posług domowych. Ale Wolfgang pełen jest dziwacznych przesądów, a przytem straszny z niego chciwiec.

V. zrozumiał, że nie należy mieszać



się pomiędzy braci, zwłaszcza, iż wyraźnie to pokazywała twarz Wolfganga, jego obejście się, jego głos zdradzający człowieka, miotanego namiętnościami.

Późnym dopiero wieczorem, w interesach majoratu udał się justycyaryusz do barona. Zastał go w domu. Był wzburzony cały, z założonemi w tył rękami przechadzał się wielkim krokiem po pokoju. Sporo czasu upłynęło, nim spostrzegł justycyaryusza, uścisnął mu rękę, i smutnie patrząc mu w oczy, rzekł:

— Mój brat przyjechał! Wiem, — mówił dalej, gdy V. chciał mu odpowiedzieć, — wiem, co mi chcesz powiedzieć. Ach! nic nie wiesz, nie wiesz, że mój nieszczęśliwy brat (a nazywam go nieszczęśliwym dlatego, że jak zły duch, zawsze staje mi na drodze i pokój mi burzy) od czasu, gdy majorat został ustanowiony, prześladowuje mnie swoją nienawiścią. Zazdrości mi majątku, który w jego ręku rozwiałby się jak plewy. Niema większego marnotrawcy. Jego długi przewyższają o wiele wartość połowy majątku w Kurlandyi, jaka na niego przypada. Scigany od wierzycieli, przybiega tu i żebrze o pieniądze...

— A brat rodzony mu odmawia... — chciał dodać V. — ale mu baron przeszkodził, bo puściwszy jego rękę, cofnął się o krok i zawołał głośno z pośpiechem:

— Wstrzymaj się pan! Tak, odmawiam mu, z dochodów majoratu nie chcę i nie mogę ani grosza zmarnować! Ale posłuchaj-no pan, jaką przed kilku godzinami uczyniłem daremnie propozycję temu szaleńcowi, a potem osądź, czy dopełniłem swego obowiązku. Majątek nasz w Kurlandyi, jak panu wiadomo, jest bardzo znaczny. Otóż chciałem się zrzec przypadającej na mnie połowy, ale nie na korzyść Huberta, tylko jego rodziny. Hubert ożenił się w Kurlandyi z piękną, ubogą panienką. Obdarzyła go dziećmi, i cierpi z nimi niedostatek. Dobra miały być administrowane w ten sposób, iż z dochodów wyznaczone byłyby pieniądze potrzebne na utrzymanie domu, a wierzycciele przez układy byliby zaspokojeni. Ale co go obchodzą kłopoty domowe, co go obchodzi żona i dzieci! Gotówki chce mu się koniecznie, i to niemałej, aby ją mógł co rychlej rostrwonić z niedarowaną lekkomyślnością. Jakiś demon wydał

mu tajemnicę o stu pięćdziesięciu tysiącach talarów. Dlatego szalenie domaga się połowy tej sumy, utrzymując, że te pieniądze są majątkiem oddzielnym, nie należącym do majoratu. Muszę i powinienem mu odmówić, ale cierpię mocno, że on czyha na moją zgubę.

Napróżno V. silił się, aby baronowi wybić z głowy owo podejrzenie względem brata, ale nie będąc wtajemniczony w bliższe między braćmi stosunki, wspierał się tylko na ogólnych, moralnych, dość powierzchownych pobudkach, to też nie dopiął celu. Baron dał mu polecenie, aby rozmówił się z nienawistnym, a chciwym na pieniądze bratem. V. wziął się do rzeczy z największą, na jaką się mógł zdobyć ostrożnością, i niemało się ucieszył, gdy w końcu Hubert mu powiedział:

— Niech będzie i tak: przyjmuję propozycję właściciela majoratu, ale pod tym warunkiem, żeby mi zaraz wyliczył tyśiąc frydrychsdorów, ponieważ w tej chwili jestem tak przez wierzycieli ściśnięty, iż cześć i dobre imię nazawsze utracić mogę. Nadto pozwoli mi baron, iż na przyszłość, przynajmniej czas jakiś mie-

szać będę w K... przy moim dobrym bracie.

— Nigdy! — krzyknął baron, gdy mu V. przyniósł tę propozycję, — nigdy na to nie przystanę, aby Hubert jedną minutę w moim domu przebywał, gdy żonę sprowadzę. Idź, mój drogi, do tego burzyciela pokoju i powiedz mu, że nie tysiąc, ale dwa tysiące frydrychsdorów otrzyma ode mnie, nie jako zaliczenie, ale jako podarunek, byle tylko co żywo stąd się wynosił.

V. dowiedział się teraz po raz pierwszy, że baron bez wiedzy ojca ożenił się, i że w tem małżeństwie musi być przyczyna niezgody braterskiej.

Hubert słuchał V. dumnie i spokojnie, a gdy ten skończył, rzekł ponurym głosem:

— Namyśle się. Tymczasem przez kilka dni tu zabawię.

V. starał się przekonać Huberta, iż baron w samej rzeczy wszystko czyni, aby o ile możności wynagrodzić go ze swego osobistego majątku. Z tego powodu Hubert niema się o co żalić na niego, jeśli nie chce powiedzieć, że każda instytucja sprzyjająca pierworodnym dzieciom,

a inne na uboczu zostawiająca, zawiera w sobie coś nienawistnego.

Hubert rozpiął kamizelkę od góry do dołu, jak człowiek, który chce ulżyć uciśnionej piersi, zanurzył jedną rękę w żabotach, a drugą ujął się pod boki, i wykręciwszy się na jednej nodze, jak w tańcu, rzekł:

— Co jest nienawistnego, zrodzić mogła tylko nienawiść...—a potem zaśmiawszy się szyderczo, dodał: — Jakże łaskawym jest dziecię majoratu, iż z biednym żebrakiem raczy się dzielić swemi pieniędzmi.

Jakby na umartwienie brata, Hubert usadowił się na dłuższy pobyt w pokojach, które mu wyznaczone zostały w bocznym pawilonie. Zauważono, iż często długie miewał rozmowy ze starym marszałkiem, który nawet chodził z nim niekiedy na polowanie na wilki. Rzadko się pokazywał i widocznie unikał spotkania się z bratem sam na sam, co właśnie temu ostatniemu było bardzo na rękę. V. poznał dobrze, jak przykrym był podobny stosunek między braćmi, przekonał się także, jak nieznośnym był sposób postępowania Huberta we wszystkim, co mówił lub

czynił. Pojmował teraz przestрах barona, jaki ogarnął go za przyjazdem brata.

Pewnego razu V. sam jeden, otoczony aktami, siedział w sali sądowej, gdy wszedł Hubert poważniejszy niż zwykle, i rzekł prawie smutnym głosem:

— Przyjmuję ostatnią propozycję brata: postaraj się pan, abym dwa tysiące frydrychsdorów jeszcze dziś mógł otrzymać, gdyż w nocy odjeżdżam konno... sam jeden...

— Z pieniędzmi? — zapytał V.

— Masz pan słuszność, — odrzekł Hubert, — wiem co chcesz powiedzieć..., wielki to ciężar. Lepiej więc daj mi je pan w wekslu na Izaaka Lazarusa w K. Dziś jeszcze tam jadę. Coś mnie stąd widocznie wypędza. Stary musiał tu zakląć jakieś złe duchy.

— Czy mówisz, panie baronie, o ś. p. ojcu swoim? — zapytał V. poważnie.

Usta Huberta zadrżały, schwycił się za poręcz krzesła, bo inaczejby upadł; wkrótce jednak oprzytomniał i zawołał:

— Dziś zatem... panie justycyaryuszu!..

— udał się nie bez wysilenia ku drzwiom i wyszedł.

— Przekonał się, że tu ludzić się nie



można, że nic nie poradzi przeciw nieugiętej mej woli... — mówił baron, gdy mu justycyaryusz dawał do podpisania weksel.

Wielki ciężar spadł mu z piersi, gdy się dowiedział o wyjeździe nienawistnego brata, oddawna też nie był tak wesoły przy wieczerzy. Hubert kazał przeprosić, że nie przyjdzie do stołu, nikt jego braku nie poczuł.

V. mieszkał w jednym z oddalonych pokojów, których okna wychodziły na podwórze zamkowe. W nocy nagle się przebudził, i zdało mu się, że jakiś głuchy jęk sen mu przerwał. Napróżno ucha nadstawiał: było głucho jak w grobie; ów więc głos, co mu sen przerwał, widocznie był złudzeniem. Z tem wszystkiem jakaś zgroza i przestach go ogarnęły, tak, iż zasnąć nie mógł. Wstał zatem i wyrzwał oknem. Po niejakiem czasie ujrzał, jak się brama otworzyła, i jakaś postać z zapaloną świecą szła przez podwórze zamkowe. I widział, ja ta postać otwierała drzwi od stajni, weszła do niej i wkrótce wyprowadziła osiodłanego konia. Teraz wystąpiła z ciemności druga postać, w futrze z lisią czapką na głowie. V. rozpoznał Huberta, który przez chwilę z Danielem bar-

dzo żywo rozmawiał, a potem odszedł. Daniel zaprowadził napowrót konia do stajni, zamknął ją, jak również bramę zamkową i wrócił się przez podwórze tą samą drogą, co przyszedł. Hubert chciał odjechać a potem rozmyślił się widocznie. Ale i to nie ulegało wątpliwości, że Hubert zostawał w jakichś podejrzanych stosunkach ze starym marszałkiem. V. z niecierpliwością wyglądał poranku, aby zawiadomić barona o nocnem wydarzeniu. W istocie należało się mieć na baczności. Hubert widocznie knuł jakieś zamiary; V. już to wczoraj zauważył w jego pomieszanej twarzy.

Nazajutrz o godzinie, w której baron zwykł wstawać, V. nagle usłyszał bieganie tam i napowrót, łomot zamykanych i otwieranych drzwi, jakieś przerywane rozmowy i krzyki. Wyszedszy ze swego mieszkania, spotykał wszędzie wybladłych ze strachu służących, którzy, nie zważając na niego, wchodzili i schodzili ze schodów i biegali po wszystkich pokojach. Wreszcie dowiedział się, że baron znikł, że od godziny nigdzie go odszukać nie można.

W przytomności strzelca udał się wczo-

raj na spoczynek, musiał więc wstać i wydalić się w szlafroku i pantoflach, z lichtarzem w ręku, gdyż właśnie tych rzeczy braknie. V., smutnem przeczuciem wiedziony, pobiegł do fatalnej sali, której boczny gabinet Wolfgang tak samo, jak jego ojciec, wybrał sobie na sypialnię. Drzwi prowadzące do wieży były otwarte.

Przerażony V. zawołał wielkim głosem:  
— Tam, w głębi leży baron zdruzgotany!

I tak było w istocie. Śniegu napadało tyle, że patrząc z góry, można było wśród kamieni dostrzedz tylko wystające skostniałe ramię nieszczęśliwego... Wiele godzin upłynęło, nim robotnicy zdołali z narażeniem na utratę życia, spuścić się na dół po związanych drabinach i linami zwłoki wyciągnąć.

W śmiertelnych wysileniach schwycił baron lichtarz srebrny, i jeszcze go mocno trzymał w zaciśniętej ręce, która jedynie pozostała nieuszkodzoną, inne zaś części ciała, przez uderzanie o ostre kamienie, były w najokropniejszy sposób pokaleczone.

Z rozpaczą w bladej twarzy przybiegł

Hubert, gdy wydobyto zwłoki, wniesiono je do sali i złożono na tym samym stole, na którym przed niedawnym czasem leżały zwłoki starego Roderyka. Na ten straszny widok Hubert runął na ziemię, jęcząc boleśnie:

— O bracie, mój biedny bracie! Nie, nigdy tego nie pragnął od szatanów, którzy mnie opanowali.

V. zadrżał na tę dwuznaczną mowę; zdało mu się, że w Hubercie widzi mordercę brata.

Hubert zemdlał. Musiano go zanieść do łóżka, ale wkrótce z niego powstał, używszy pokrzepiających środków. Błady, smutkiem znękany, z nawpół przygasłymi oczami, wszedł on do pokoju justycyaryusza, a nie mogąc z osłabienia utrzymać się na nogach, usiadł w fotelu i mówił:

— Życzyłem bratu śmierci, ponieważ ojciec przez niebaczne ustanowienie majoratu, wyznaczył mu najlepszą część dziedzictwa: śmierć go spotkała w tak okropny sposób. Jestem panem majoratu, ale serce moje rozdarte, nie mogę być i nie będę nigdy szczęśliwy. Potwierdzam pana w urzędzie, otrzymasz nie-

ograniczone pełnomocnictwo co do zarządu majoratem; niepodobna, abym w nim mieszkał.

Hubert wyszedł z pokoju, i w kilka godzin był już na drodze wiodącej do K.

Zdaje się, że nieszczęśliwy Wolfgang wstał w nocy i chciał się udać do sąsiedniego gabinetu, w którym urządził bibliotekę. Będąc sennym, pomylił się co do drzwi, postąpił naprzód kilka kroków i runął w przepaść. W tem wyjaśnieniu strasznego wypadku jest coś jakby naciąganego. Jeśli baron nie mógł spać, i chciał sobie przynieść książkę z biblioteki, to wyraźnie nie był zaspany, ale i to znów prawda, że mógł się pomylić, i zamiast od biblioteki otworzył drzwi od wieży. Ale te ostatnie były mocno zamknięte, i trzeba było użyć nie małej siły, chcąc je otworzyć.

— Ach, panie justycyaryuszu — zawołał strzelec barona, gdy V. przed zebraną służbą rozwijał swoje wątpliwości, — panie justycyaryuszu, tak się stać nie mogło.

— A jakże inaczej? — zapytał V.

Franciszek był-to poczciwy i wierny chłopak, który z żalu za swoim panem

chciał się rzucić do grobu. Zagadnięty tak przez justycyaryusza, odpowiedział, że w obecności wszystkich nie chce mówić, ale na osobności powie panu V., co mu się zdaje. V. dowiedział się wtedy, że baron często z Franciszkiem rozmawiał o wielkim skarbie, który tam na dole ma być przywalony, że często jakby od złego ducha nawiedzony, w nocy do owych drzwi przychodził, od których klucz musiał mu Daniel oddać, otwierał je i spoglądał w głąb, z pożądlivością owych mniemanych bogactw. Zapewne tak samo się stało i owej nieszczęśliwej nocy, że baron po odejściu strzelca udał się do wieży, tam dostał zawrotu głowy i śmierć znalazł w przepaści. Daniel, którego straszny ów wypadek wielce, zdaje się, wzruszył, wnosił, aby owe niebezpieczne drzwi raz zamurowano, co też wkrótce nastąpiło.

Baron Hubert, zostawszy posiadaczem majoratu, nie pokazał się w K... i wrócił do Kurlandyi. V. otrzymał nieograniczone pełnomocnictwo co do zarządu majoratem. Budowa nowego zamku została zaniechana, zato stary, o ile można, do dobrego stanu był przywrócony.

Wiele lat już upłynęło, gdy po raz



pierwszy Hubert w późnej jesieni przybył do K., zabawił przez kilka dni, zamknąwszy się z V. w jego pokoju, a potem odjechał do Kurlandyi napowrót. Przejeżdżając przez K., w tamiecznym urzędzie złożył swój testament.

W czasie pobytu swego w K. baron, którego charakter zupełnie się odmienił, częste miał przeczucia blizkiej swej śmierci. Jakoż spełniły się one, gdyż w rok później umarł. Jego syn, imieniem także Hubert, natychmiast z Kurlandyi przyleciał, dla objęcia jednego z najbogatszych majoratów. Za nim pośpieszały matka i siostra. Młodzieniec ten łączył w sobie wszystkie wady przodków: był dumny, wyniosły, gwałtowny i chciwy na bogactwa. Zaledwie przybył do zamku, chciał zaraz wszystko poodmieniać, co mu się nie podobало. Kucharza wypędził, stangreta miał ochotę kijem obić, ale mu się to nie udało, bo tęgi wyrostek był zuchwały, i oparł się temu; jednym słowem w najlepsze zaczął już odgrywać rolę surowego pana majoratu, gdy V. stanowczo mu się sprzeciwił, oświadczając wyraźnie, że najmniejszy kociak z domu nie będzie wypędzony, ani jedno krzesło nie może

być poruszone, przed otworzeniem testamentu.

— Jak pan śmiesz tak mówić do dziedzica majoratu?... — zaczął baron, ale V. nie pozwolił rozwodzić się wściekłemu ze złości młodzieńcowi. Zmierzywszy go surowem spojrzeniem, rzekł:

— Tylko bez zbytniego pośpiechu, panie baronie! Racz pan nie rozpościerać się ze swemi rządami przed otworzeniem testamentu, tymczasem zaś ja tu jestem panem, ja sam jeden, i wszelką napaść, potrafię napaścią odeprzeć. Proszę niezapominać, że jako wykonawca testamentu ś. p. pańskiego ojca, na mocy danego mi upoważnienia, i na mocy uchwały sądowej, mam prawo wzbronić panu pobytu w K. i dlatego radzę mu, jeśli nie chcesz się na nieprzyjemność narazić, abyś ci-chuteńko wracał do K.

Powaga przestrzegacza prawa i ton stanowczy z jakim mówił, nadały słowom jego pewne znaczenie, dlatego młody baron, który zrazu chciał się tak ostro postawić, poczuł, iż broń wypada mu z ręki, cofnął się więc, pokrywając swój wstyd szyderskim śmiechem.

Upłynęły trzy miesiące, i nadszedł

dzień, w którym według woli nieboszczyka, testament miał być otworzony w K., gdzie go sam złożył. Oprócz osób sądowych, barona i justycyaryusza V., znajdował się jeszcze w sali jakiś młodzieniec szlachetnej postawy, którego V. z sobą przyprowadził, a że widać przy nim było jakieś papiery, uważano go więc za pisarza justycyaryusza. Baron, jak to zwykle czynił, spojrzał z góry na młodego człowieka, i natarczywie się domagał, aby pośpiesznie odbyto wszelkie nudne i niepotrzebne ceremonie, a przystąpiono do rzeczy bez wielkiej gadaniny i bagrania. Nie pojmował on, jak można było powoływać się na testament w rzeczach majoratu, i miał przekonanie, iż jeśliby się tu domagano od niego czegokolwiek, to jedynie od jego woli zależało zastosować się do tego lub nie.

Pismo i pieczęć ojca uznał baron, rzuciwszy na nie przelotne spojrzenie, potem zaś, gdy pisarz sądowy zabierał się do odczytania testamentu, patrzył obojętnie w okno, a oparłszy niedbale prawą rękę o krzesło, lewą położył na stole pokrytym zielonem suknem, i bębnił po nim palcami.

Po krótkim wstępie, oświadczył zmarły baron von K., że nigdy się nie uważał za rzeczywistego posiadacza majoratu, lecz rządził nim w imieniu jedyne go syna zmarłego brata swego, Wolfganga von K. Syn ten nazywa się tak samo jak jego dziadek Roderyk, i jemu, według sukcesyi familijnej, majorat po śmierci ojca przypadał. Najściślejsze rachunki z dochodów i wydatków majoratu znajdują się pomiędzy jego papierami. Wolfgang von K. (tak opowiadał Hubert w swoim testamentcie), w czasie swej podróży poznał w Genewie pannę Julię de St.-Bal, i powziął ku niej tak silne uczucie, iż postanowił nigdy się z nią nie rozłączać. Była ona bardzo uboga i jej rodzina, pomimo szlacheckiego swego pochodzenia, nie liczyła się do najświetniejszych. Z tego powodu nie mógł Wolfgang spodziewać się przyzwolenia na małżeństwo ze strony swego ojca Roderyka, którego jedynem dążeniem było, aby majorat wszelkimi możliwymi środkami wynieść jak najwyżej. Odważył się przeciw napisać z Paryża do ojca o tej swej skłonności, i co przewidywał, to nastąpiło, gdyż ojciec stanowczo oświadczył, że już sam upa-

trzył narzeczoną dla przyszłego pana majoratu, a zatem o żadnej innej mowy być nie może. Wolfgang zamiast udać się do Anglii, jak to uczynić był powinien, powrócił do Genewy, pod przybranem nazwiskiem Borna, i ożenił się z Julią, która po upływie roku powiła syna. Ten po śmierci swego ojca, stał się panem majoratu. Dlaczego Hubert, świadomy całej rzeczy, tak długo milczał, przytoczone były różne powody, jako wynikające z poprzedniej umowy z Wolfgangiem, ale te wydawały się niedorzeczne i jakby dowolnie wymyślone.

Jak piorunem rażony, patrzył baron na sądowego pisarza, który jednostajnym, ochłypłym głosem zwiastował mu owe nieszczeście. Gdy skończył, powstał justycyaryusz, wziął za rękę młodzieńca, którego z sobą przyprowadził, i rzekł, skłoniwszy się przed sądem:

— Mam zaszczyt przedstawić panom barona Roderyka von K., posiadacza majoratu K.

Baron Hubert spojrzał na młodzieńca, który mu spadł jak z obłoków, porywał bogaty majorat i połowę majątności w Kurlandyi, ledwie powstrzymał się ze

złości, a pogroziwszy ściśniętą pięścią, nie rzekł ani słowa, i wybiegł z sali sądowej.

Wezwany przez sąd baron Roderyk, złożył dowody, iż w istocie jest tą osobą, za którą się podaje. Okazał wierzytelny wyciąg z ksiąg kościoła, w którym jego ojciec brał ślub. Zaświadczone tam było, iż w tym, a tym dniu, kupiec Wolfgang Born, rodem z K. z panną Julią de St.-Bal, w przytomności znanych osób, połączony został kapłańskim błogosławieństwem. Okazał również swoją metrykę (był ochrzczony w Genewie jako dziecko spłodzone w prawym związku kupca Borna i małżonki jego Julii St.-Bal); nadto przedstawił różne listy swojego ojca, pisane niegdyś do zmarłej także oddawna matki; listy te przecież podpisywane były jedną literą W.

V. ze smutnym wyrazem twarzy przejrzał wszystkie te papiery, i rzekł dość zakłopotany:

— Teraz Panie Boże dopomóż.

Zaraz nazajutrz baron Hubert von K. podał przez adwokata, którego wybrał sobie na obrońcę, przedstawienie do urzędu w K., domagając się natychmiastowe-



go wydania sobie majoratu, jako prawnie nań przypadającego. Rozumie się samo przez się, pisał adwokat, że ani przez testament, ani żadnym innym sposobem, zmarły baron Hubert von K. nie miał prawa rozporządzać majoratem. Ow testament niczem innym nie jest, jak spisaniem w formie prawnej zeznaniem, według którego baron Wolfgang powinien był przekazać majorat żyjącemu swemu synowi, co wszakże za żaden dowód nie służy, tak samo jak zeznanie innego jakiegobądź świadka, a tem samem czyni niemożliwym wylegitymowanie się mniemanego barona K. Należy raczej całą sprawę pretendenta i jego mniemane prawo do dziedzictwa, któremu się niniejszem stanowczo zaprzecza, wyprowadzić na drogę procesu, a majorat wydać baronowi Hubertowi, jako nań przypadający według sukcesyi familijnej. Po śmierci ojca posiadanie przechodzi bezpośrednio na syna i do objęcia dziedzictwa nie potrzeba żadnych wyjaśnień, ponieważ następstwo w majoracie nie może być zaprzeczonem, a zatem nie należy obecnego właściciela majoratu niepokoić w posiadaniu jakimiś nieuzasadnionemi pretensyami. Jak

miał powody nieboszczyk, naznaczając innego dziedzica majoratu, jest rzeczą zupełnie obojętną; zwraca się tylko nato uwagę, że on sam, jak się to pokazuje z pozostałych po nim papierów, miał romans w Szwajcaryi, a zatem być może, iż ów mniemany syn braterski, jest jego własnym synem, spłodzonym w nieprawym związku, któremu w przystępie żalu za grzechy, bogaty majorat chciał przekazać.

Jakkolwiek prawdopodobieństwo przemawiało za okolicznościami w testamencie wyrażonemi, jakkolwiek wielkie uczynił wrażenie na sędziach ostatni ustęp protestacyi, w którym syn nie wzdryga się rodzanego ojca oskarżać o zbrodnię, to przecież stan sprawy nie odmienił się, i tylko na usilne starania justycyaryusza, oraz stanowcze jego zapewnienie, że w jaknajkrótszym czasie złożony będzie dowód, stwierdzający prawa kodeksu, sąd uchwalił wstrzymać wydanie majoratu, przedłużając jego administracyę, aż do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy.

V. wiedział dobrze, jak będzie mu trudno dotrzymać przyrzeczenia. Przetrząsnął on wszystkie pozostałe po starym Roderyku papiery, nie znalazłszy naj-

mniejszego śladu, ani listu, ani wzmianki nawet, któraby miała jaki związek z owym stosunkiem Wolfganga do panny St.-Bal. Zamyślony i skłopotany siedział właśnie w gabinecie sypialnym starego Roderyka, który jaknajtroskliwiej przeszukał, i pracował nad wykazem dla notaryusza w Genewie, którego mu polecono, jako biegłego i pilnego człowieka, a który obowiązał się dostarczyć pewnych wiadomości, mających wyjaśnić sprawę młodego barona.

Była północ; księżyc w pełni jasne rzucał światło do przyległej sali, od której drzwi były otwarte. Naraz dało się słyszeć, jakby ktoś szedł zwolna i z wielką trudnością po schodach, dzwoniąc kluczami. V. natężył uwagę, powstał i udał się do sali; wtedy wyraźnie usłyszał, że ktoś przez korytarz się zbliża. Jakoż drzwi się otworzyły i wszedł pocichu człowiek jak trup blady, w jednej ręce trzymał lichtarz z zapaloną świecą, a w drugiej pęk kluczy. V. na pierwszy rzut oka poznał marszałka. Już miał go zapytać czego tu chce, gdy zmieniona, nieruchoma postać starego, dreszczem go przejęła. Postrzegł, że ma przed sobą lunaty-

ka... Stary mierzonym krokiem szedł wpoprzek sali, kierując się do zamurowanych drzwi, które niegdyś prowadziły do wieży. Tuż przed nimi zatrzymał się, i z głębi piersi wydał głos straszliwy, który z tak bolesnym jękiem rozległ się po sali, iż V. zadrżał z przerażenia. Tymczasem, postawiwszy lichtarz na ziemi, a klucze zawiesiwszy u pasa, zaczął Daniel obiema rękami drapać się po murze z taką zajadłością, że aż krew z paznokci tryaskała, przytem wzdychał i jęczał, jakby go dręczyły śmiertelne bóleści. Potem przyłożył ucho do muru, chcąc czegoś podsłuchać, wreszcie skinął ręką, dając niby komuś znak milczenia; następnie schylił się, podjął lichtarz z podłogi, i cichutko, jednostajnym krokiem wyniósł się za drzwi. V. udał się za nim, idąc ostrożnie ze świecą. Stary zszedł ze schodów, zamknął główne drzwi zamkowe, i poszedł do stajni. Postawiwszy świecę tak, iż całe wnętrze budynku było dostatecznie oświecone, bez żadnego niebezpieczeństwa, przyniósł siodło z przyborami i na wielkie zdziwienie V. osiodłał konia, odwiązał go od żłobu, starannie ściągnął popręgiem i przypiął strzemiona. Następnie

wygładził koniowi na łbie włosy, poklepał go jedną ręką po karku, a drugą ująwszy za cugle, wyprowadził ze stajni. Na podwórzu stał przez kilka minut w miejscu, potem, jakby otrzymał jakiś rozkaz, kiwnął głową, przyrzekając go spełnić. Odprowadził konia do stajni, rozsiodłał go i przywiązał do żłobu. Następnie wziął lichtarz, zamknął stajnię, i pobiegł do swego pokoju, w którym się zaryglował.

Cała ta scena silnie wstrząsnęła duszą justycyaryusza, budząc w nim przecucie strasznego czynu, i przyczepiła się do niego niby czarne widmo piekielne... Zająty przecież zagrożonym bytem swego młodego klienta, pomyślał zaraz, czy i z tego, co widział, nie będzie można jakiej korzyści osiągnąć?

Nazajutrz, kiedy już zmierzchać się zaczęło, wszedł Daniel z jakimś domowym interesem do pokoju justycyaryusza. V. ująwszy go za ręce, posadził w fotelu i tak mówić zaczął:

— Posłuchaj-no stary przyjacielu, dawno już chciałem cię zapytać, co sądzisz o tej zaplątanej sprawie, którą nam na kark rzucił dziwaczny testament Huberta? Czy myślisz, że ów młodzieniec jest

rzeczywiście synem Wolfganga, splodzo-  
nym z prawego związku?

Stary kołysząc się w krześle, i widocz-  
nie unikając wzroku V., rzekł mruczając  
pod nosem:

— Ba... może to i być, a może i nie. Cóż  
mnie to obchodzi, niech tu będzie panem  
kto chce.

— Ale ja sędzę — mówił V. dalej, zbli-  
żając się do starego i kładąc mu rękę na  
ramieniu — ponieważ posiadałeś całe zau-  
fanie starego barona, więc nie ukrywał  
przed tobą stosunków, jakie zachodziły  
między jego synami. Wspomniał ci za-  
pewne o małżeństwie, jakie Wolfgang za-  
warł wbrew jego woli?

— Nic nie mogę sobie przypomnieć —  
odrzekł stary, ziewając głośno w niezwy-  
kły sposób.

— Jesteś śpiący, stary, — rzekł do nie-  
go V.—może miałeś dziś noc niespokojną.

— Nie zdaje mi się — mruknął niechę-  
tnie, dodając zaraz—ale muszę już odejść,  
żeby wieszczę zarządzić.

Mówiąc to, wyciągnął wygięte swe ple-  
cy, i powtórnie ziewnął jeszcze głośniej.

— Zostań-no stary jeszcze — zawołał  
V., biorąc go za ręce i chcąc go zmusić do



siedzenia, ale ten stanął przy stole i oparł się o niego, a skłoniwszy się całym ciałem ku V., mruknął z pewną niechęcią.

— No i cóż tam znów? co mnie obchodzi majorat?

— To też — przerwał mu V. — nie będziemy już o tem mówili, kochany Danielu, ale o czem innem. Jesteś pochmurzony, ziewasz; wszystko to pokazuje jakieś osobliwe znużenie, tak iż jestem gotów mniemać, żeś to ty był zeszłej nocy...

— Że ja byłem zeszłej nocy?.. — zapytał stary, nie ruszając się z miejsca.

— Wczoraj o północy — mówił dalej V. — gdy siedziałem w gabinecie starego pana, obok wielkiej sali, ukazałeś się w jej drzwiach, sztywny, blady, zmieniony... przystąpiłeś do zamurowanych drzwi, i drapałeś po nich obiema rękami, jęcząc przytem straszliwie, jakbyś piekielne cierpiał męki. Czyś ty lunatyk, Danielu?

Stary padł w krzesło, które mu szybko V. podsunął. Nie wydał najmniejszego głosu, a zmrok nie dozwalał widzieć jego twarzy. V. zauważył tylko, iż ciężko oddycha, zgrzytając zębami.

— Tak, — mówił V. dalej — po krótkim milczeniu, tak zwykle się dzieje z lu-

natykami. Nazajutrz nic nie wiedzą, co się z nimi działo, nie pamiętają o tem, co czynili, jakby na jawie.

Daniel wciąż milczał.

— Podobnych rzeczy, jużem się dawniej napatrzył, — mówił znów V. — Miałem przyjaciela, który tak samo, jak ty odbywał nocne przechadzki, gdy księżyc był w pełni. Szczególniejsza zaś, iż udało mi się z nim rozmawiać, gdy pociachu do ucha zacząłem mu szeptać; niekiedy nawet siadał przy stole i pisał list. Odpowiadał mi należycie na pytania, jakie mu czynilem; niekiedy wymykało mu się z ust to, czego najtroskliwiej unikał, będąc w stanie przytomnym; widocznie nie mógł oprzeć się sile, która nań działała. Do kata! ja sądzę, że lunatyk, choćby nie wiem jak długo ukrywał popełnioną jaką niegodziwość, to zawsze w końcu się wyda, gdy się go w tym stanie pociągnie za język. Nic to nie obchodzi takich, co mają czyste sumienie, jak my obadwa, nie prawdaż, mój Danielu? My bezpiecznie możemy być lunatykami; nikt się od nas o żadnej zbrodni nie dowie. Ale powiedz mi Danielu, ty zapewne chcesz się dostać do wieży astronomicznej, gdy tak prze-

rażliwie drapiesz się po drzwiach zamurowanych? Chcesz zapewne popracować ze starym panem? wypytam cię o to przyszłej nocy.

Gdy to V. mówił, stary drżał coraz mocniej, wreszcie porwały go straszliwe konwulsye, wśród których wydawał niezrozumiałe jęki. V. wezwał służących. Wnie-siono światła. Stary drzeć nie przestał. Zaniesiono go do łóżka. Blisko godzinę przebywał w tym stanie, potem wpadł w senną omdłałość. Gdy się obudził, zapragnął napić się wina, a gdy mu je podano, oddalił służącego, który chciał przy nim czuwać, i zamknął się jak zwykle w swoim pokoju.

V. w samej rzeczy postanowił zrobić doświadczenie, jak o tem mówił Danielowi, chociaż nie taił przed sobą, że Daniel może po raz pierwszy, dowiedziawszy się o swym chorobliwym stanie, wszelkich użyje sposobów, aby mu się oprzeć. Ale i w takim razie gdyby się rzecz udała, cóż mogą znaczyć zeznania w somnambulizmie poczynione? Mimo to, udał się około północy do sali, spodziewając się, że Daniel, jak to zwykle bywa w takiej chorobie, wbrew własnej woli będzie musiał

postąpić. Tymczasem o północy, powstała wielka wrzawa na podwórzu. V. wyraźnie usłyszał wypadające okno; pośpieszył na dół, i gdy szedł przez korytarz, otoczył go dym, który jak zaraz spostrzegł, wychodził z pokoju marszałka. Wynoszono właśnie Daniela napół martwego, aby go w drugim pokoju w łóżko położyć. Było około północy, tak powiadali służący, gdy jakiś głuchy łoskot w pokoju marszałka zbudził parobka, który sądząc, iż staremu się coś przytrafiło, wstawał właśnie, aby iść na ratunek, gdy naraz usłyszał stróża nocnego wołającego na podwórzu: — Ogień! ogień! w stancyi pana marszałka, pali się jasnym płomieniem! Na te krzyki zerwali się wszyscy służący, ale wszelkie ich usiłowania, aby drzwi od pokoju otworzyć, były daremne. Wybiegli na podwórze, ale przytomnego umysłu stróż wskoczył już do pokoju przez okno, niezbyt wysoko wznoszące się od ziemi, i ściągnął palące się firanki, a parę konewek wylanej wody, cały pożar ugasiło. Marszałka znaleziono leżącego na środku pokoju w głębokim omdleniu. Trzymał jeszcze w ręku lichtarz, z którego świeca zapaliła firanki

i pożar spowodowała. Spadające płóciennie strzepy poopalały staremu brwi i znaczną część włosów na głowie. Gdyby był stróż nocny nie postrzegł ognia, to stary byłby się bez ratunku spalił. Niemало się służba zdziwiła, znalazłszy drzwi zamknięte z wewnątrz przez dwa nowo wśrubowane rygle, których wczorajszego wieczoru jeszcze nie było. Przekonało to justycyaryusza, że stary chciał sobie uniemożliwić wyjście, ale nie mógł się oprzeć bezwiednemu popędowi.

Stary na dobre się rozchorował, nie mówił, jadł bardzo mało, i jakby skrepowany jakąś straszną myślą, nieruchomie rzucał przed siebie spojrzenia, w których się śmierć malowała. V. sądził, iż stary nie wstanie już z łóżka. Wszystko, co tylko dało się uczynić w interesie młodego klienta, to już V. uczynił; teraz nie pozostało mu nic innego, jak czekać cierpliwie, jakie skutki osiągną jego starania, postanowił więc wracać do K. Odjazd na dzień następny był naznaczony. Wieczorem V. układał swoje papiery, gotując się do podróży; w tem wpadł mu pod rękę maleńki pakiecik, który niegdyś baron mu oddał. Pakiecik ten własną ręką opieczęto-

wał, położywszy na nim napis: „Do przeczytania po otworzeniu mego testamentu“. V. dotąd w niepojęty sposób tego pakietu nie mógł odszukać. Zamierzał właśnie go odpieczętować, gdy drzwi się otworzyły i pocichu, niby duch jaki, wszedł Daniel. Położył czarną tekę, którą niósł pod pachą, a potem ze strasznym jękiem padł na kolana, konwulsyjnie uchwycił justycyaryusza za rękę, i rzekł grobowym głosem:

— Nie chciałbym umierać na szafocie... Ten tam wysoko osądzi!...

Podniósłszy się wśród bolesnych jęków i westchnień, wyszedł z pokoju tak samo, jak przyszedł.

V. całą noc spędził na czytaniu tego, co czarna teka i pakiecik Huberta zawierały. Jedna i drugi w ścisłym ze sobą związku zostawały, i wskazywały dalszą drogę postępowania w sprawie majoratu.

Skoro tylko V. przybył do K., udał się natychmiast do barona Huberta, który go przyjął bardzo wyniośle. Ważnem następstwem ich rozmowy, która bez przerwy od południa do późnej trwała nocy, było to, że zaraz nazajutrz baron oświadczył przed sądem, iż pretendentką do majora-



tu, zgodnie z testamentem swojego ojca, uznaje za starszego syna barona Wolfganga, spłodzonego z jego prawego małżeństwa z Julią de St.-Bal, a tem samem uznaje go za legalnego dziedzica majoratu.

Wyszedłszy z sądu, Hubert wsiadł do oczekującego nań przy bramie powozu, zaprzężonego czterema końmi, i odjechał, zostawiwszy matkę i siostrę.

Zdziwienie Roderyka z tej zmiany stanu rzeczy było niemałe; nalegał na V. aby go przecież objaśnił, jakim sposobem stał się ten cud, jaka tajemnicza potęga tu się wdała. V. przyrzekł mu wszystko wyjaśnić w czasie późniejszym, gdy majorat obejmie w posiadanie. Wydanie majoratu nie mogło jednak rychło nastąpić, z tej przyczyny, iż sąd nie poprzestając na oświadczeniu Huberta, domagał się jeszcze zupełniejszej legitymacyi Roderyka.

V. ofiarował baronowi mieszkanie w zamku K., dodając, że matka i siostra Huberta przez nagły tego odjazd, znajdują się w chwilowym kłopotcie, i wołałyby raczej cichy pobyt w zamku przodków, niż przebywanie w drogiem i wrzaskliwem mieście. Zapal, z jakim Roderyk

chwycił się myśli, że z baronową przynajmniej przez czas jakiś razem pod jednym dachem mieszkać będzie, wskazuje jasno, jak silne na nim uczyniła wrażenie Serafina, dziewczę miłe i piękne. I w samej rzeczy, młody baron tak umiał ze swojego pobytu w K. korzystać, że kilka tygodni zaledwie upłynęło, a pozyskał miłość Serafiny i zezwolenie matki na ich związek. Dla V. było to trochę zaprędko, ponieważ prawa Roderyka do majoratu, były zawsze jeszcze wątpliwe.

Listy z Kurlandyi przerwały to sielankowe życie. Hubert wcale się w swych dobrach nie pokazał, lecz prosto pojechał do Petersburga, zaciągnął się do wojska, i udał się na wojnę przeciwko Persom, z którymi wówczas Rosya prowadziła wojnę. To skłoniło baronowę, iż wraz z córką odjechała do majątku kurlandzkiego, w którym panował nieporządek i zamieszanie. Roderyk, który się już uważał za przybranego syna, nie omieszkał towarzyszyć ukochanej, tak więc, gdy i V. do K. wyjechał, zamek znów był pusty jak wprzód. Choroba starszego marszałka z każdym dniem się zwiększała, tak, iż on sam nabył przekonania, że

z niej nie powstanie; urząd jego oddano owemu Franciszkowi, który tak wiernym był sługą nieboszczyka Wolfganga.

W końcu po długich wyczekiwaniach nadeszły wiadomości ze Szwajcaryi. Proboszcz, który dawał ślub Wolfgangowi, dawno już nie żył, ale w księgach parafialnych znaleziono zanotowane własną jego ręką, iż ten, którego pod imieniem Borna połączył związkiem małżeńskim z panną Julią de St.-Bal, dowodnie wylegitymował się przed nim, jako baron Wolfgang von R. najstarszy syn barona Roderyka von K. Nadto, odszukano dwóch świadków, którzy byli przytomni na ślubie; jednym z nich był kupiec genewski, a drugim stary kapitan francuski, który się przeniósł do Lyonu. Tym Wolfgang także się odkrył, ci więc pod przysięgą uczynili zeznania, a przez to poparli adnotacyę proboszcza w księdze parafialnej. Mając w ręku wszystkie te dowody, V. był w możności okazać niezaprzeczone prawa do majoratu młodego swego protegowanego. Nic zatem nie stało na przeszkodzie wydaniu majoratu, co też zaraz w jesieni nastąpić miało.

Tymczasem Hubert poległ w pierwszej

bitwie, w jakiej się znajdował; spotkał go ten sam los, co jego młodszego brata, który na rok przed śmiercią ojca, również w boju zabity został. Tym sposobem dobra w Kurlandyi spadły na Serafinę von K., stanowiąc piękny posag, który się miał dostać szczęśliwemu Roderykowi.

Już listopad się zaczął, gdy baronowa, Roderyk i jego narzeczona do K. przybyli. Po urzędownem wydaniu majoratu, nastąpił ślub Roderyka z Serafiną. Kilka tygodni upłynęło wśród upojeń radosnych — wreszcie ufetowani goście zaczęli się zwolna rozjeżdżać ku wielkiej radości justycyaryusza, który nie chciał wprzód zamku K. opuścić, dopóki nie zapozna dokładnie młodego dziedzica majoratu ze wszystkimi stosunkami odnoszącymi się do jego posiadłości.

Z wielką ścisłością prowadził rachunki stryj Roderyka, zapisując sumiennie przychód i wydatki majoratu; ponieważ Roderyk dostał niewielką sumkę na swoje utrzymanie, wszystkie więc przewyżki z dochodu znacznie zwiększyły kapitał, jaki zostawił był stary baron.

W pierwszych tylko trzech latach Hubert obrócił na swoją korzyść dochody

z majoratu, na co wszakże wystawił rewers, ubezpieczając należność w dziale na swoim majątku w Kurlandyi.

V. od czasu gdy poznał, że Daniel jest lunatykiem, wybrał sobie na mieszkanie sypialny pokój starego Roderyka, aby tem pewniej mógł wysledzić to, co mu później stary marszałek odkrył dobrowolnie. Ten więc pokój wraz z przyległą mu salą, wyznaczony został na miejsce, w którym justycyaryusz z baronem odbywali narady i załatwiali interesy. Zasiadli właśnie obadwaj przy wielkim stole w pobliżu komina, buchającego jasnym płomieniem. V. z piórem w ręku notował i obliczał bogactwa majoratu, a baron, wsparty się na stole, przyglądał się ważnym dokumentom, znajdującym się w otwartych księgach rachunkowych. Zaden z nich nie słyszał głuchego szumu morza, żalosnych krzyków mew burzę zwiastujących, które w przelocie swoim skrzydłami w okno uderzały; żaden z nich nie zważał na burzę, która zerwawszy się około północy z dzikim poświstem po zamku szalała; jakieś dziwne odgłosy budziły się w kominach i wązkich przejściach, wyjąc straszliwie. Gdy po silnym

napadzie burzy, od którego wtrząsnął się zamek, nagle wypełniło salę posępne księżycowe światło, V. zawołał:

— Cóż to za straszna niepogoda! Baron cały zatopiony w bogactwach, które nań spadły, odrzekł obojętnie, przewracając z uśmiechem kartę księgi dochodów:

— W samej rzeczy niepogoda.

Ale jakże się zerwał, wtrząśnięty lodowatą ręką przerażenia, gdy drzwi od sali się rozwarły i ukazała się jakaś blada, straszliwa postać, która weszła jak widmo śmierci. Był to Daniel, o którym V. sądził tak samo jak każdy, iż, złożony ciężką chorobą, nie jest zdolny się ruszyć; on tymczasem, wpadłszy znów w lunatyzm, rozpoczął swoje nocne przechadzki. Niemy, osłupiałym wzrokiem patrzył baron na starego, kiedy ten wśród bolesnych jęków drapał się teraz po ścianie; głęboki przestrach go ogarnął. Błady jak śmierć, z najeżonymi włosami, przystąpił do starego w groźnej postawie i zagrzemiał potężnym głosem, że aż sala zadrzęła:

— Danielu! Danielu! co tu porabiasz o tej godzinie?!

Stary niby zawył straszliwie, wydając



głos podobny do zgrzytu śmiertelnie rannego zwierza, tak samo jak wówczas, kiedy mu Wolfgang ofiarował złoto za jego wierność; jęknął i padł na ziemię. V. przywołał służących, podniesiono starego, ale wszelkie starania były daremne, żeby go do życia przywrócić. Baron krzyczał w rozpacz:

— Boże mój! Boże! czyliż nie słyszałem, że lunatyk umiera nagle, gdy go się po imieniu zawoła? Nieszczęsny! zabiłem biednego starca! Przez całe życie spokoju nie znajdę!

Kiedy służący trupa wynieśli i nikt w sali nie został, V. wziął za rękę wciąż rozpaczającego barona, milcząc zaprowadził go przed zamurowane drzwi, i rzekł:

— Ten, który u nóg twoich, baronie Roderyku, padł nieżywy, był podłym mordercą twego ojca!

Jakby widmo ujrzał piekielne, baron osłupiałym wzrokiem patrzył na V. Ten zaś mówił dalej:

— Czas już, aby ci odkryć straszną tajemnicę, która ciążyła na tym bezbożniku. Przedwieczna siła dozwoliła synowi pomścić się na mordercy ojca. Słowa, któremi zagrzymiał w uszy temu straszliwe-

mu lunatykowi, były ostatnie, jakie wyrzekł twój nieszczęśliwy ojciec.

Drżący, niezdolny słowa wyrzec, baron zajął miejsce przy V., który usiadł przed kominem. V. opowiedział treść pisma, które Hubert mu zostawił, a które wolno było mu odpieczętować dopiero po otworzeniu testamentu. Hubert pełen najgłębszej skruchy, oskarżał się o niepojędną zawiść, jaka zrodziła się w nim przeciwko bratu od chwili, gdy stary Roderyk ustanowił majorat. Wszelką broń wyrwano mu z ręki, bo gdyby udało mu się nawet poróżnić w niegodziwy sposób ojca z synem, to jednak pozostałoby to bez żadnego skutku, bo sam Roderyk nie był w stanie odjąć najstarszemu synowi praw pierworodztwa; i choćby odwrócił od niego swoje serce i oczy, to i tak nigdy by tego według swych zasad nie uczynił. Dopiero kiedy Wolfgang wszedł w miłosne stosunki z Julią de St.-Bal, sądził Hubert, że może bratu szkodzić. Od tego czasu w porozumieniu z Danielem, usiłował w niegodziwy sposób skłonić starego do postanowień, które miały syna przywieść do rozpacz.

Wiedział on, że według wyobrażeń Ro-

deryka, jedynie związek ze starożytną w kraju rodziną, mógł zapewnić majoratowi świetność nazawsze. Stary w gwiazdach ten związek wyczytał, każdy więc lekkomyślny postępek na szwank całą instytucję mógł narazić. Tym sposobem stosunek Wolfganga z Julią wydawał się staremu, jako zbrodniczy zamach przeciwko tajemniczej nocy, która go wspierała w ziemskich zamiarach, gotował się więc go zniszczyć, uważając w Julii demoniczny pierwiastek, który mu stanął na przeszkodzie. Hubert wiedział o szalonej miłości Wolfganga dla Julii, której strata przyprawiłaby go o rozpacz, albo o śmierć nawet, a tym chętniej popierał plany ojcowskie, że sam, uczuwszy karygodną skłonność ku Julii, spodziewał się zyskać jej wzajemność. Trzeba było szczególniejszego zrządzenia nieba, iż te piekielne zamysły rozbiły się o stanowczość Wolfganga, a nawet udało mu się oszukać brata. Hubert rzeczywiście nie wiedział o tajemnie zawartem małżeństwie, ani o narodzeniu syna. Czując się blizkim śmierci, stary Roderyk wpadł na myśl, że Wolfgang musiał poślubić tę nienawistną mu Julię; w liście, którym pole-

ca synowi, aby w oznaczonym dniu przybył do K., dla objęcia majoratu, przeklina go, jeśli nie zerwie owych związków. Ten list Wolfgang spalił przy zwłokach ojcowskich.

Do Huberta pisał stary, że Wolfgang poślubił Julię, ale on zerwie ten związek. Hubert uważał to za wymysł ojcowskiej fantazyi, ale jakże się przestraszył, gdy mu sam Wolfgang w K. nie tylko domysł ojca potwierdził z całą otwartością, ale dodał jeszcze, że Julia powiła mu syna, że przed niedawnym dopiero czasem zawiadomił ją o swoim stanie i o bogatej swej posiadłości, z czego niemało się zapewne ucieszy, gdyż dotąd miała go za kupca Borna z M. Chciał zaraz do Genewy pośpieszyć, aby sprowadzić ukochaną małżonkę. Nim przecież ten zamysł doprowadził do skutku, śmierć go spotkała. Hubert starannie zamilczał, co wiedział o bytności syna, zrodzonego w małżeństwie z Julią, i przywłaszczył sobie majorat, który do tegoż należał. Za ledwie jednak parę lat upłynęło, uczuł żal głęboki. Los w straszliwy sposób przypomniał mu jego winę, budząc co raz większą nienawiść między jego synami.

— Ty jesteś biedny chudeusz, — mówił starszy, dwunastoletni chłopiec, do młodszego — ale ja, gdy ojciec umrze, zostanę panem majoratu, i musisz być bardzo pokornym i po rękach mnie całować, zanim dostaniesz pieniądze ode mnie na nowy surdut.

Młodszy wpadł we wściekłość na tę szyderczą pychę brata, rzucił w niego nożem, który miał właśnie pod ręką, i o mało go nie zabił. Hubert lękając się większego nieszczęścia, wyprawił młodszego do Petersburga, gdzie ten później jako oficer walczył pod Suworowem przeciw Francuzom i poległ na polu bitwy. Odkryć przed światem, że nieprawnie, przez oszustwo majorat posiada..., od tego wstrzymywały go wstyd i hańba, któreby go spotkały; ale postanowił sobie, ani jednego grosza nie pozbawiać prawego właściciela. Zasięgnął wiadomości z Genewy i dowiedział się, że pani Born, zmartwiona niepojętem zniknięciem męża, umarła, ale młody baron żyje i jest na wychowaniu u pewnego poczciwego człowieka, który go przyjął do siebie. Wtedy zgłosił się Hubert pod obcym nazwiskiem, jako krewny kupca Borna, który zginął na mo-

rze, i przysyłał pieniądze, które dostateczne były do troskliwego i starannego wychowania przyszłego dziedzica majoratu. Jak zaś troskliwie zbierał przewyżkę z dochodów majoratu, i jaki później uczynił testament, to już wiadomo.

O śmierci swego brata mówił Hubert w dziwnie zagadkowy sposób, z którego wszakże domyślać się można, że tu zaszły jakieś pełne tajemnicy okoliczności, i że Hubert pośrednio przynajmniej miał udział w okropnym czynie. Wyjaśnia to wszystko czarna teka. Do zdradzieckiej korespondencji Huberta z Danielem, dołączona była kartka, którą Daniel napisał i podpisał. V. przeczytał jedno zeznanie, przed którym zadrżał w głębi duszy. Na Daniela wezwanie przybył Hubert do K. Daniel mu doniósł o znalezionych stu pięćdziesięciu tysiącach talarów. Wiadomo, jak brat przyjął Huberta, jak zawiedziony we wszystkich oczekiwaniach swoich i nadziejach, chciał zaraz odjechać, jak go V. zatrzymał. W sercu Daniela wrzała zemsta przeciwko młodemu człowiekowi, który chciał go wypędzić, jak parszywego psa. On to wciąż podniecał ogień, który trawił zrozpaczonego Huberta. W le-



sie sosnowym, gdy polowali na wilki, w czasie burzy i zamieci śniegowej, spiknęli się na zgubę Wolfganga.

— Sprzątnąć, — szepnął Hubert, oglądając się i przykładając fuzyę.

— Tak, sprzątnąć, — odmruknął Daniel, — ale nie w ten sposób, nie w ten.

I ułożył sobie w duchu, że zamorduje barona, a nikt tego nawet nie postrzeże. Gdy Hubert w końcu otrzymał pieniądze, ciężko mu było na sercu, chciał odjechać, aby się oprzeć nowemu pokuszeniu. Sam Daniel osiodłał mu w nocy konia i wyprowadził go ze stajni, lecz gdy baron chciał go dosiąść, rzekł Daniel przerażającym głosem:

— Ja myślę, baronie Hubercie, że ty zostaniesz w majoracie, który w tej chwili spada na ciebie, bo dumny jego posiadacz leży zdruzgotany w otchłani wieżowej.

Daniel zauważył, że Wolfgang dręczony pragnieniem złota, często w nocy zrywał się z łoża, stawał przede drzwiami, które niegdyś do wieży prowadziły, i rzucał pożądlive, tęskne spojrzenia w głąbie, która, według zapewnienia Daniela, miała ukrywać znaczne skarby. To też kiedy usłyszał, że baron otworzył drzwi wiodą-

ce do wieży, wszedł niemi i postępował za baronem, który stanął nad samą przepaścią. Baron odwrócił się, postrzegłszy niegodziwego sługę, któremu z oczu mord błyszczał i zawołał przestraszony:

— Danielu, Danielu, co tu robisz o tej godzinie? — A Daniel wtedy mruknął dziwnym głosem:

— Leć na łeb, ty psie parszywy! — i silnem uderzeniem nogi, zepchnął nieszczęśliwego w przepaść...

Okropna ta zbrodnia tak silnie oddziaływała na barona, iż chwili spokoju nie mógł znaleźć w zamku, gdzie jego ojciec został zamordowany. Wyjechał do swoich dóbr w Kurlandyi, i raz tylko w rok, na jesień przyjeżdżał do K.

Franciszek, ów stary Franciszek, utrzymywał, że Daniel, którego zbrodni się domyślał, często później *przeszkadzał*, mianowicie gdy księżyc był w pełni, a opisywał tę *przeszkodę* zupełnie tak samo, jak V. ją ujrzał, i z zamku wypędził.

Odkrycie też okoliczności, które pamięć ojca hańbą okrywały, wypędziło młodego Huberta daleko w świat...

Gdy mi to wszystko dziadek opowiedział, wziął mnie za rękę, i ze łzami

w oczach rzekł rozrzewnionym głosem:

— Kuzynku, kuzynku, nawet ona... ta piękna kobieta, nie mogła uniknąć wpływu siły nieczystej, która się rozgościła tam, na zamku...

W dwa dni po naszym wyjeździe z K. ułożył baron na zakończenie zabaw przejażdżkę sankami. Sam powoził, jadąc ze swą małżonką. Nagle, przy skręcie z doliny, w niepojęty sposób przestraszone konie, zerwały się i jak szalone poniosły, parskając nozdrzami.

— Stary... stary jest tuż za nami! — zawołała baronowa rozpaczliwym głosem. W tej samej chwili silnie uderzone sanie wyrzuciły ją daleko... znaleziono ją martwą... ona tam spoczywa! Baron został niepokojony; jego spokój jest spokojem umierającego. Już nigdy kuzynku nie wrócimy do K.

\*

\*

\*

Umilkł dziadek. Wkrótce potem rozłączyłem się z nim z zakrwawionem sercem, i tylko czas wszystko uspokajający mógł przynieść ulgę głębokiej boleści, której sądziłem, że nie przeżyję.

Minęły lata. V. oddawna w grobie spoczywa. Ja musiałem opuścić ojczyznę. Burza wojenna, która szalała nad całemi Niemcami, zapędziła mnie daleko na północ, do Petersburga. W powrocie stamtąd, w czasie ciemnej nocy letniej, jadąc wzdłuż zatoki morza Bałtyckiego, niedaleko od K., postrzegłem na niebie wielką gwiazdę błyszczącą. Zbliżając się coraz więcej, poznałem po czerwonych płomyczkach, że to co uważałem za gwiazdę, jest bardzo silnym ogniem, ale pojąć tego nie mogłem, jakim sposobem mógł się on wznieść tak wysoko w powietrze.

— Przyjacielu, co to za ogień tam, przed nami? — zapytałem pocztyliona.

— E, to nie ogień, — odrzekł tenże, to latarnia morska w K.

Zaledwie pocztylion wymienił to nazwisko, gdy w żywym świetle stanął przed oczyma mej duszy obraz owych fatalnych dni, które tam przeżyłem. I ujrzałem barona, Serafinę... stare dziwaczne ciotki, ujrzałem siebie samego z mleczno-białą twarzą, pięknie ufryzowanego, upudrowanego, w błękitne suknie wystrojonego, a przytem zakochanego... Wśród posępnych myśli, które mnie ogarnęły, iskrzy-

ły się światelka wesołych żarcików dziadka, które teraz dowcipniejszemi się jeszcze wydawały niż dawniej. Smutkiem i dziwną wesołością przejęły, nazajutrz rano stanąłem w K., i wysiadłem z powozu, który się zatrzymał przed pocztą. Poznałem zaraz dom rządcy i zapytałem się o niego.

— Z przeproszeniem... — odrzekł pisarz pocztowy, wyjmując z ust fajkę, i poprawiając szlafmicy na głowie, — tu nie ma żadnego rządcy, tu jest rząd królewski, a pan Amtsrath raczy jeszcze spać.

Pytając dalej, dowiedziałem się, że już od lat szesnastu umarł bezpotomnie baron Roderyk, ostatni dziedzic majoratu, a zatem tenże, stosownie do prawa obowiązującego podobne instytucje, przyłączony został do państwa.

Pobiegłem na zamek, zastałem go w ruinie.

Znaczną część jego cegieł, zużytkowano przy budowie wieży z latarnią morską, tak mnie przynajmniej zapewniał wieśniak, który nadszedł z sosnowego lasu i rozpoczął ze mną gawędkę. Opowiadał mi także o duchach, które miały przebywać w zamku i upewniał, że jeszcze dziś,

kiedy księżyc jest w pełni, dają się słyszeć wśród zwalisk żalosne jęki i westchnienia.

Biedny, stary, lekkomyślny Roderyku, jakiego żeś złego ducha tu zaklął, który plemię twoje w pierwszych odroślach śmiertelnie zatruł, kiedy się spodziewałeś, że je tu zasadzisz silnymi korzeniami na wieki!

*(Przekład Józefa Prackiego).*

---



**SKRZYPCE Z CREMONY.**

## SKRZYPCE Z CREMONY

(Radca Crespel).

### I.

Radca Crespel jest jednym z największych dziwaków, jakich znałem. Gdy przybyłem do H..., aby tam jakiś czas przepędzić, o niczem innem nie mówiono, tylko o nim; był on wtedy w największym rozkwicie swej oryginalności. Crespel zdobył sobie wielkie imię jako prawnik i dyplomata. Pewien dość potężny książę niemiecki zwrócił się do niego, aby mu zredagował memoriał przeznaczony dla dworu cesarskiego w sprawie terytoryum, do którego miał rzekomo uprawnione pretensye. Memoriał powiódł mu się doskonale, a ponieważ Crespel żalił się pewnego razu, że nie mógł znaleźć wygodnego mieszkania, książę, tytułem nagrody za jego pracę, zobowiązał się na swój koszt kazać mu wystawić dom, jaki radca

chciał zbudować podług własnego pomysłu. Księżę ofiarował mu nawet wybór terenu. Ale Crespel nie chciał wcale przyjąć — i zażądał, aby dom jego zbudowano w bardzo malowniczym ogrodzie, który posiadał pod miastem.

Od tej chwili gromadził i zwoził materiały budowlane. Przybrany w kostium, który kazał sobie zrobić podług swoich własnych osobistych przepisów, cały dzień miesił wapno, rozczyniał balk, t. j. mieszaninę wapna z piaskiem, budował mury. Nie zwrócił się do żadnego z architektów i nie miał żadnego planu. Pewnego ranka jednak, wynalazł sobie jakiegoś pocziwca majstra mularskiego z H... i prosił go, by ten nazajutrz przyszedł do jego ogrodu z pewną liczbą robotników dla budowy domu. Majster, oczywiście, zapytał, jaki plan miałby być nakreślony i był niemało zdziwiony, gdy Crespel mu odpowiedział, że dla wykończenia budowy zupełnie tego mu nie potrzeba. Nazajutrz majster przyszedł na oznaczone miejsce ze wszystkimi ludźmi — i widzi rów tworzący czworobok prawidłowy.

— Oto — rzecze Crespel — gdzie chcę pomieścić fundamenty domu; na koniec

poproszę was, budujcie cztery mury póty, póki wam nie powiem: dosyć!

— Jakto? bez okien, bez drzwi, bez ścian poprzecznych? — zawołał mularz, prawie przerażony dziwactwem Crespela.

— Tak, właśnie jak wam mówię, mój zacny człowieku — spokojnie odpowiedział radca; a reszta sama się ułoży.

Obietnica szczodrej zapłaty jedynie mogła zdecydować mularza, że przysłał na tę szaloną konstrukcyę, ale nigdy też żadnego gmachu nie budowano tak wesoło. Mury urastały wśród śmiechu robotników, którzy nie opuszczali prawie ogrodu Crespela, gdyż ten dawał jeść i pić obficie.

Pewnego dnia Crespel zawołał: Stój! Natychmiast kielnie i młoty zamilkły; robotnicy zeszli z rusztowania i otoczyli Crespela, a każdy zdawał się go pytać:

— Cóż teraz będziemy robili?

— Miejsca! — zawołał Crespel.

Pobiegł na jeden koniec ogrodu, wrócił powoli ku swemu czworobokowi ścian, potrząsnął głową, ruszył na drugi koniec, jeszcze raz powrócił — i kilkakrotnie powtórzył ten bieg, aż w końcu uderzył głową o ścianę i zawołał:

— Przybywajcie, przybywajcie i zrób-  
cie mi tu drzwi.

Określił szerokość i wysokość, a roz-  
kaz jego natychmiast był wykonany. —  
Skoro drzwi przebito, wszedł do środka,  
i uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy  
majster mu powiedział, że ten budynek  
ma ściśle wysokość domu dwupiętrowe-  
go. Crespel przechadzał się wzdłuż  
i wszerek po podwórzu między murami,  
a za nim szli mularze, z młotkami i moty-  
kami w rękę, i gdy tylko krzyknął:

— Tu okno sześć stóp wysokie, cztery  
stopy szerokie! Tam okienko — natych-  
miast je otwierano.

Przybyłem do H... właśnie w czasie tej  
roboty i zabawnie było oglądać setki lu-  
dzi, którzy się gromadzili dokoła ogrodu,  
i wydawali okrzyki radości na widok pa-  
dających cegieł lub na widok okna, uka-  
zującego się niespodzianie tam, gdzie te-  
go nikt nie przewidywał. Reszta konstruk-  
cyi domu i inne prace konieczne wyko-  
nano w ten sam sposób, podług nagłych  
postanowień Crespela. Szczegółność te-  
go przedsięwzięcia, zdziwienie, jakiego  
doznano, widząc, że ostatecznie dom był  
o wiele lepszy niż oczekiwano, szczodrość

Crespela — wszystko to podtrzymywało wesołość robotników. Trudności, jakie przedstawiał ten szczególny sposób budowy były zwyciężone — i w niedługim czasie ukazał się dom, którego postać zewnętrzna była nadzwyczaj śmieszna, gdyż żadne okno nie było podobne do drugiego; ale wewnątrz — rozkład pokoiów bardzo wygodny, i urządzenie było szczególnie przyjemne. Wszyscy ci, którzy dom oglądali, byli w zgodzie co do tego, i ja też stanąłem po stronie tej opinii, gdy mię Crespel do swego domu wprowadził.

## II.

Nie miałem jeszcze sposobności rozmawiać z tym dziwakiem; budowa tak go absorbowała, że nie przyszedł we wtorek, jak to było w jego zwyczaju, obiadować u profesora M. i nawet kazał mu powiedzieć, że nie opuści swego domu, póki nowego mieszkania nie poświęci. Wszyscy jego przyjaciele i znajomi sądzili, że Crespel tego dnia urządzi wspaniałą ucztę; tymczasem zaprosił tylko mularzy, majstrów, czeladników i uczniów, którzy pra-



cowali w jego domu — i zastawił im stół najdelikatniejszym jadłem. Mularze połykali dowoli pasztety z dziczyzny; stolarze smakowali z zadowoleniem złote bażanty, a głodni robotnicy rozkoszowali się ptactwem na truflach. Wieczorem przyszły ich żony i córki i był wielki bal. Crespel tańczył walca z żonami majstrów; poczem wszedłszy do orkiestry, wziął skrzypce i aż do samego rana przygrywał do tańca.

Następnego wtorku, ku swej wielkiej radości, spotkałem radcę u profesora M... Nic osobliwszego nad jego zachowanie: był on bardzo nerwowy a ruchy miał tak gwałtowne, że co chwila można się było lękać, czy ten człowiek się nie zrani lub czy nie połamie jakiego mebla. Ale nic takiego mu się nie zdarzyło, a pani domu, która go знаła lepiej niż ja, bez trwogi się przyglądała, jak wielkimi krokami szybko krążył dokoła stołu, ozdobionego piękną porcelaną, jak stawał przed wielkiem zwierciadłem lub brał do ręki jakąś subtelnie malowaną wazę, aby podziwiać jej barwy. Crespel badał szczegółowo przed obiadem wszystko, co się znajdowało w pokoju profesora; wlaźł nawet na

krzesło, aby zdjąć obraz ze ściany, poczem go z powrotem zawiesił. Mówił wiele i żywo, przeskakując od przedmiotu do przedmiotu; poczem przyczepiał się do jakiejś myśli i wracał do niej tysiącem nawrotów, tysiącem szczególnych sposobów, gubiąc się sam w swoich odskokach, aż nakoniec inna myśl nim owładnęła. Głos jego był już to surowy i gwałtowny, już to żałosny i stopniowany, a zawsze w niezgodzie z mową. Mówiono o muzyce i chwalono bardzo nowego kompozytora. Crespel zaczął się śmiać i zawołał tonem jakby psalmodyi: Chciałbym, aby go szatan na czarnych skrzydłach porwał na dziesięć tysięcy milionów łokci, w głąb otchłani bezdennej, aby porwał — tego przekłętego układacza nut!

Poczem dodał głosem twardym i rozdrażnionym:

— Ona... to anioł niebiański... to akord czysty, to harmonia boska, światło i gwiazda śpiewu...

Trzeba było sobie przypomnieć, że godzinę temu mówiliśmy o sławnej śpiewaczce.

Podano pieczeń zajęczą; zauważyłem, że Crespel starannie odkładał kości z bo-

ku na swym talerzu i poprosił o nogę zwierzęcia, którą mu z uśmiechem przyniosła córeczka profesora.

W czasie obiadu dzieci bardzo przyjaźnem okiem spoglądały na radcę. W chwilę potem zbliżyły się do niego z szacunkiem i zatrzymały się na parę kroków przed nim. Radca wyjął z kieszeni mały stalowy przyrząd pilniczy — i umieścił go na stole; wówczas zgromadzone kości brał po kolei — zaczął z nich robić — z nadzwyczajną zręcznością — małe pudełka, kulki, kręgle i inne zabawki, które dzieci przyjmowały z zachwytem. Po obiedzie, siostrzenica profesora rzekła do Crespela:

— Drogi radco, cóż słyhać z naszą Antonią?

Crespel skrzywił się okropnie, i z jakimś ohydny, prawdziwie dyabelskim uśmiechem rzekł głosem powolnym, miarowym, niemiłym:

— Nasza dobra Antonia!

Profesor pospiesznie się zbliżył i rzucił surowe spojrzenie na siostrzenicę, mówiąc w ten sposób, że dotknęła struny, niemile się odzywającej w sercu Crespela.

— Jakże miewają się skrzypce pana do-  
brodzieja? — rzekł profesor swobodnie,  
biorąc za rękę konsyliarza.

Twarz Crespela zajaśniała natychmiast  
i energicznym głosem powiedział:

— Cudownie! dziś zacząłem rozbierać  
na kawałki te doskonałe skrzypce Amatie-  
go, o których panu mówiłem, a które  
szczęśliwym trafem wpadły w moje ręce.  
Mam nadzieję, że Antonia ostatecznie roz-  
łoży je bardzo starannie.

— Antonia to dobra dziewczyna —  
rzekł profesor.

— Tak, niewątpliwie — odrzekł radca,  
odwróciwszy się nagle — i skoczył ku  
drzwiom.

Widziałem w lustrze, że łyzy świeciły  
mu w oczach.

Skoro tylko wyszedł, prosiłem profesora,  
aby mię objaśnił, jaki jest stosunek  
między radcą, skrzypcami a Antonią.

— Ah, — odparł radca — to człowiek  
osobliwy i robi skrzypce w sposób nader  
szczególny i zabawny.

— Robi skrzypce?

— Tak jest. I, jak mówią znawcy, są to  
skrzypce najdoskonalsze, jakie można te-  
raz znaleźć. Niegdyś, gdy mu się udało

zrobić skrzypce podług swego smaku, obiecywał czasami przyjaciółom, że pozwoli im spróbować gry na tym instrumencie; teraz jednak ani myśleć o tem. Gdy wykończył skrzypce, gra na nich sam, godzinę lub dwie, z siłą nadzwyczajną i porywającą; potem zawiesza je obok drugich i nigdy więcej ich nie dotyka — i nie pozwala, aby ich dotknięto. Jeżeli są skrzypce jakiego starego mistrza na sprzedaż, Crespel je kupuje za jakąbądź cenę; ale gra na nich tylko jeden raz: poczem je rozbiera, aby poznać ich budowę wewnętrzną — i jeżeli nie znajduje w nich tego, co sobie wyobraził — rzuca różne kawałki do wielkiej skrzyni, już pełnej podobnych szczątków.

— Ale Antonia? — zapytałem żywo.

— Jest to kwestya, — rzekł profesor — któraby mi kazała czuć wstręt do radcy, gdybym nie był przekonany, znając dobroć jego charakteru, że w tym stosunku kryje się jakaś okoliczność tajemnicza i nieznana. Gdy radca przybył, kilka lat temu, aby się osiedlić w naszym mieście, żył samotnie ze starą gospodynią w ubogim domu; wkrótce dziwactwa jego obudziły ciekawość sąsiadów — i skoro tylko

to dostrzegł, zaczął szukać znajomości i znalazł je bez trudu. We wszystkich rodzinach, jak w mojej, przyzwyczajono się do niego tak, że wkrótce stał się nieodzowny. Dzieci go pokochały, mimo surową jego minę — i lękały się go znużyć. Widział pan dzisiaj sam, jak to on umie zdobyć sobie ich przyjaźń za pomocą dowcipnych wyrobów. Sądziłszy go nieżonatym — i on też nigdy nie zaprzeczył tej opinii. Przebywszy jakiś czas między nami, odjechał nagle; nikt nie wiedział, dokąd się udał, a powrócił w kilka miesięcy potem.

Nazajutrz, po jego powrocie, okna w jego domu były rześkie oświetlone. Ta nadzwyczajna jasność zwróciła uwagę sąsiadów. Wkrótce usłyszano cudowny głos, głos kobiety, z towarzyszeniem fortepianu. Potem zabrzmiały akordy skrzypiec, które współzawodniczyły z głosem ludzkim pod względem energii i giętkości. Natychmiast poznano smyczek radcy. Zmieszałem się z tłumem widzów, których ta dziwna scena zgromadziła przed ogrodem — i, wyznaję, że wobec tego nieznanego głosu, wobec tych tonów, co tak żywo przenikały mą duszę, śpiew najślaw-



niejszych śpiewaczek, jakie słyszałem kiedykolwiek, zdawał mi się mdły i bez wyrazu. Nigdy nie miałem pojęcia o tonach tak długo wytrzymanych, o tych trylach słowicznych, o tych nutach przezroczyстых, które czasem urastały aż do grzmotu organów lub opadały do najcichszego szmeru. Wszyscy słuchacze byli pod czarem tych melodyi i, gdy śpiewaczka milkła, wszyscy ledwie oddychali w głębokim milczeniu. Było koło północy gdyśmy usłyszeli naraz głos pana radcy, który mówił żywo i głośno. Drugi głos męski zdawał się czynić mu wyrzuty, a nadto, słyszano przerywany, rozżalony głos młodej kobiety. Radca krzyczał coraz głośniejsze, aż nakoniec przybrał ton śpiewny, który pan już poznał. Przenikający krzyk młodej dziewczyny przerwał tę rozmowę, poczem wszystko zapadło w milczenie grobowe. Wówczas ukazał się młody człowiek, który, łkając, wybiegł z domu, rzucił się w wóz pocztowy, co go oczekiwał — i oddalił się pospiesznie.

Nazajutrz radca miał minę bardzo wesołą, a nikt nie zdobył się na odwagę, by go zapytać o zdarzenia nocy poprzedniej. Służąca opowiadała tylko, że radca spro-

wadził ze sobą młodą pannę nadzwyczajnej piękności; miała na imię Antonia, i śpiewała cudownie. Przybył z nią młodzieniec, który, zdaje się, czuł dla niej głęboki sentyment—i mógł być jej narzeczonym; ale radca go zmusił do rychłego odjazdu.

Stosunek radcy do Antonii — mówił dalej profesor — jest aż do dziś osnuty głęboką tajemnicą. Ale rzeczą jest pewną, że Crespel wobec tej biednej dziewczyny uprawia straszliwą tyranię; ukrywa ją, jak doktor Bartolo krył swą wychowanąkę. Zaledwie jej pozwoli wyrzeć przez okno. Jeżeli, ulegając ciągłym nagabywaniom, wprowadza ją do jakiego salonu, nieustannie ją śledzi argusowem okiem i nie znosi, aby wobec niej zagrano najmniejszy akord muzyczny, a tembardziej nie dopuści, aby śpiewała. Nie może też śpiewać w swoim domu, a melodye, jakie słyszeliśmy owej nocy pamiętnej, a których całe miasto nigdy nie zapomni, pozostały wśród słuchaczy, jako cudowna tradycja; i ci nawet, którzy nie byli na tym koncercie, mówią, gdy jaka śpiewaczka u nas wystąpi: „Wszystko to nic. Tylko Antonia umie śpiewać“.

## III.

Rzeczy fantastyczne mają dla mnie urok niesłychany. Chciałem zapoznać się z Antonią. Znałem już z zachwyty publiczności — czar jej głosu. Sądziłem jednak, że ta młoda osoba była w tem mieście uwięziona pod władzą dziwnego Crespela. Następnej nocy — w marzeniach sennych słyszałem idealny śpiew Antonii; zdawało mi się, że w jakimś adagio, które sam skomponowałem, błagała mnie, abym ją ocalił — i postanowiłem wejść do domu Crespela, przeniknąć, jak drugi Astolf, do zamku Alcydy — i z haniebnych więzów uwolnić królowę pieśni. Wszystko odbyło się wcale inaczej, niż sobie wyobrażałem. Zaledwie widział radcę dwa — trzy razy i mówiłem mu z zapalem o najlepszej budowie skrzypiec, gdy ten prosił mnie, bym go w domu odwiedził. Udałem się do niego, on zaś pokazał mi swoje skarby. Ujrzałem koło trzydziściorga skrzypiec, zawieszonych szeregiem koło siebie, w jego gabinecie — i wyróżniłem jedno z nich, godne uwagi z oznak swej starożytności i urzeźbień. Skrzypce te wisiały wyżej, niż inne —

i miały u wierzchołka wieniec z kwiatów, niby król tych wszystkich instrumentów.

„Skrzypce te — rzekł mi Crespel — są doskonałem dziełem nieznanego mistrza, który żył zapewne za czasów Tartoniego. Przekonany jestem, że w ich strukturze wewnętrznej tkwi jakaś szczególna kombinacya, i że, gdy je rozbiore — znajdę w nich tajemnicę, której szukam oddawna. Śmieję się pan, jeśli zechcesz, ale ten nieżywy instrument, któremu ja daję życie i wyraz — przemawia do mnie często cudownym językiem, a gdym grał na nim po raz pierwszy, zdawało mi się, że jestem magnetyzerem, który pobudza lunatyczkę, aby mu wyjawiała swe utajone wrażenia. Niech pan nie sądzi, że jestem dziwak, który pozwala się opanować fantazyom tego rodzaju; jest to jednak rzecz osobliwa: nie miałem nigdy tyle odwagi, by rozebrać tę niemą maszynę. Zresztą obecnie, jestem zadowolony, że te skrzypce uszanował, gdyż odkąd tu jest Antonia, gram na nich niekiedy wobec niej. Antonia słucha z przyjemnością, z nazbyt wielką przyjemnością.

Radca wygłosił te słowa ze wzrusze-

niem, które mię ośmieliło tak, że powiedziałem:

— O, drogi panie, czy nie zechciał by pan zagrać przy mnie?

Twarz jego przybrała natychmiast wyraz niezadowolenia — i głosem powolnym a śpiewnym rzekł mi:

— Nie, mój miły studencie!

I na tem się skończyło.

Pokazawszy mi dalej bardzo wiele osobliwości, z których niejedna była czystem dzieciństwem — wziął małą skrzyneczkę i wyciągnął z niej rulonik papieru, który mi włożył w rękę i uroczyście powiedział:

— Jest pan miłośnikiem sztuki, przyjmij ten dar, który powinien ci na zawsze stać się drogocennym.

To mówiąc, lekko popchnął mię w plecy i ucałował mię na progu. W istocie rzecz można — symbolicznie wyrzucił mię za drzwi. Gdy otwarłem rulonik papieru — znalazłem w nim ułomek kwinty na pół cala długości. Nad nutami napisane były te słowa: „Kawałki kwinty, którą znakomity Stamitz wykonał na skrzypcach, w czasie swego ostatniego koncertu“.

Po gwałtownej odpowiedzi, jaką mi dał, gdy wymawiał imię Antonii — sądziłem, że już nigdy dziewczyny tej nie ujrzę; ale inaczej się stało. Gdy odwiedziłem radcę poraz drugi — zastałem, w jego pokoju, Antonię, która składała rozłączone części skrzypiec. Na pierwszy widok Antonia nie robiła wielkiego wrażenia, ale wkrótce nie byłeś w stanie odwrócić spojrzenia od jej oczu błękitnych, od jej ust różowych, od jej twarzy łagodnej i tkliwej. Była bardzo blada, ale z chwilą, gdy rozmowa przybierała charakter dowcipny i ożywiony, policzki jej nabierały rumianej barwy — i czarowny uśmiech błędził po jej ustach.

Rozmawiałem z Antonią bez przymusu i nie zauważyłem wcale u Crespela tych argusowych oczu, o których mówił mi profesor. Radca zachował usposobienie zwykle i, rzekłbyś nawet podobała mu się moja rozmowa z młodą panną. Często go odwiedzałem — i między nami trojgiem rozwinęła się swoboda i rodzaj serdeczności, która nadawała niemały czar naszym zebraniom. Radca bawił mnie wielce swemi osobliwościami. Ale Antonia pociągała mię ku sobie w sposób nie-



odparty, i dzięki niej znosiłem wiele rzeczy, których w innem położeniu nie wytrzymałaby moja niecierpliwa natura. Rozmowa radcy była często nudna i w złym smaku, a co mię zwłaszcza rozżalało przeciw niemu, to ten fakt, że za każdym razem, gdy zaczynało się mówić o muzyce, Crespel zwracał ku mnie twarz wykrzywioną z niezadowolenia, przykro uśmiechniętą — i śpiewnym głosem wypowiadał kilka szczególnych słów, aby odwrócić rozmowę.

Ze smutku, jaki się w takich chwilach objawiał na twarzy Antonii, mogłem sądzić, że radca działał tak jedynie, aby przeszkodzić mi w życzeniu mojem słabo utajonem: słyszeć śpiew młodej panny. Nie zrzekłem się mimo to swego projektu: przeszkody, jakie radca stawiał moim pragnieniom, wzmacniały tylko moje postanowienie. Chciałem słyszeć śpiew Antonii, aby się nie zatracić w marzeniach sennych, jakie mi dawało niewyraźne pojęcie o tym śpiewie. Pewnego wieczoru Crespel był w humorze doskonałym. Rozebrał jedno ze skrzypiec z Cremony i odkrył, że tabela harmonii w tych skrzypcach była o pół linii bardziej nachylona

niż w innych. Co za cenne odkrycie dla praktyki! Udało mi się ożywić go jeszcze bardziej, wypowiadając zdanie o prawdziwych sposobach gry smyczkowej. Metoda wielkich śpiewaków, starych mistrzów, o których mówił Crespel — stała się dla mnie motywem krytyki nowej metody śpiewu: potępiałem ten śpiew nowoczesny, który się układa podług sztucznych efektów instrumentów muzycznych.

— Cóż za niedorzeczność — zawołałem, powstając nagle z krzesła i otwierając szybko fortepian, — cóż to za niedorzeczność rozwodzić po jednym dźwięku po ziemi!“ Zaśpiewałem kilka nowych kompozycji, wtrącając w nie złe akordy.

Crespel śmiał się do rozpuku, i wołał: „Ach, ach! zdaje mi się, że słyszę naszych Niemców zwłoszczonych lub naszych Włochów zniemczonych, śpiewających coś z Pucchitta lub Porto-Gallo albo kawałki jakiegoś maestro de capella“.

Teraz, sądziłem, nadszedł moment. — „Jestem przekonany, — rzekłem zwracając się do Antonii — że pani nie zna tej ohydnej metody.—I zacząłem śpiewać pełną wyrazu, cudowną melodyę starego Leonarda Leo.

Twarz Antonii pokryła się świetnym blaskiem; oczy jej zabłysły, żywo poskoczyła do fortepianu i otworzyła usta.

W tej samej chwili Crespel wziął mię za ramiona i rzekł mi głosem wstrząśnionym: Dziecko, dziecko!—poczem mówił dalej miarowo, kłaniając mi się z głębokim szacunkiem: — „Uchybiłbym niewątpliwie, mój wielce szanowny panie, wszelkim konwenansom i zwyczajom grzeczności, gdybym powiedział głośno, aby cię swymi ognistymi szponami dyabeł porwał natychmiast i uniósł na samo dno przepaści. Ale nie idąc tak daleko, przyznasz, mój najmilszy, że noc jest bardzo ciemna i że, ponieważ latarnie są niezapalone, jeżeli nawet nie wyrzucę cię przez okno, zechcesz swoje ciało i kości zdrowo sprowadzić na sam dół klatki schodowej. Weź zatem tę świeczkę, idź w spokoju do domu i pamiętaj o tem, że masz we mnie przyjaciela tkliwego i oddanego, choć już nigdy, rozumiesz, nigdy! nie zobaczysz mnie tu, w mojem mieszkaniu“.

To rzekłszy, ucałował mię i powoli skierował ku drzwiom, trzymając mię w ten sposób, że nie mogłem już ani razu zobaczyć spojrzenia Antonii.

Przyznacie, że na mojem miejscu trudno było zwymyślać radcę, choć miałem do tego wielką ochotę. Profesor śmiał się wielce z mej przygody i twierdził, że moje stosunki z radcą skończyły się na zawsze. Antonia była dla mnie istotą zbyt szlachetną i zbyt świętą, abym mógł odgrywać pod jej oknami tęsknotliwe amorosa. Opuściłem miasto H... z sercem rozżalonem i zrozpaczonem; obraz Antonii ukazywał mi się otoczony niby aureolą — a jej śpiew, którego nigdy nie słyszałem, brzmiał w mojem sercu, jak pocieszająca muzyka.

#### IV.

Od dwóch lat przebywałem w B..., gdy przedsięwziąłem podróż po Niemczech południowych. Pewnego wieczoru — w purpurze zachodzącego słońca — ujrzałem rysujące się wieże H... W miarę przybliżania czułem się opanowany jakimś niewypowiedzianym niepokojem. Miałem ni-  
by ciężar wielki na piersi, było mi duszno i zlazłem z powozu, aby oddychać swobodnie. Wkrótce owo przybicie moralne stało się cierpieniem fizycznym; zdawało mi się, że słyszał w powietrzu dźwięki

uroczystego śpiewu. Melodya stała się bardziej wyrazista, rozróżniałem głosy mężczyzn modulujących pieśń kościelną.

— Co się stało? co się stało? — zawołałem z bólem niewymownym.

— Czy pan nie widzi? — odparł pocztillion; kogoś chowają tam na cmentarzu.

W istocie, zbliżyliśmy się do cmentarza, i ujrzałem grupę ludzi, ubranych czarno i otaczających rów, który zasypywano. Łzy mi popłynęły z oczu, zdawało mi się, że oto chowają wszystkie me radości i szczęście mego życia. Zestąpiłem w dolinę wzgórza i nie mogłem już widzieć, co się dzieje na cmentarzu. Śpiew ustał i dostrzegłem na drodze ludzi w żałobie, wracających z pogrzebu. Profesor przeszedł koło mnie ze swą siostrzenicą, ale mnie oboje nie zauważyli. Siostrzenica trzymała chustkę przy oczach i łkała gorąco. Nie mogłem żadną miarą wejść do miasta. Posłałem do gospody swego służącego wraz z powozem i zacząłem krążyć po tych miejscach, które znałem tak dobrze, chcąc w ten sposób przyjść do siebie od wzruszenia, którego źródłem być może było znużenie podróży albo inna przyczyna. Szedłem teraz aleją, która

prowadziła do ogrodu publicznego — i tu byłem świadkiem szczególnego widowiska. Radcę Crespela prowadzili dwaj ludzie w żałobie, ten zaś skakał i wydzierał się im gwałtownie. Nosił jak zwykle swój szary kostyum, wykrajany w sposób szczególny; z trójkątnego kapelusza, marsowo pomieszczonego na głowie, spadała powiewna czarna krepa; na biodrach miał dokoła czarną szarfę — i zawiesił na niej zamiast szpady, smyczek skrzypcowy. Zimny lodowaty dreszcz przeszedł całe moje ciało. Jest obłąkany — mówiłem do siebie — i szedłem za nim powoli. Ci, co nad nim czuwali, odprowadzili go do domu, on zaś całował ich z wybuchami śmiechu. Gdy go pożegnali, Crespel zauważył moją osobę; utkwiał we mnie oczy i rzekł mi głosem głuchym: „Witaj mi, mości studencie! rozumiesz zapewne...

Przy tych słowach, ujął mię za ramię i wciągnął do swego mieszkania. Tu pokazał mi pokój, w którym rozwieszone były skrzypce; wszystkie były pokryte czarną zasłoną, ale zamiast pięknych skrzypiec z Cremony wisiał wieniec cyprysowy. Zgadłem co się stało. „Antonia, Antonia! — zawołałem z głęboką boleścią.



Radca stał przedemną nieruchomy, założywszy na krzyż ramiona. Wskazałem na wieniec cyprysowy. „Gdy umarła, rzekł mi uroczyście — smyczek tych skrzypiec pękł gwałtownie, a tabela harmonii, rozpadła się na kawałki. Ten wierny instrument mógł żyć tylko z nią i dla niej; leży w grobie wraz z nią pochowany.

Padłem na fotel w żywym wzruszeniu. Radca zaczął głosem zgrzytliwym śpiewać jakąś wesolą śpiewkę. Był to widok straszliwy, gdy starzec skakał na jednej nodze, a krepa, przypięta do jego kapelusza, uderzała o skrzypce rozwieszone na ścianie. Nie mogłem powstrzymać krzyku przerażenia, gdy, w szybkim ruchu panna radcy, krepa spadła na moją twarz; zdawało się, że mnie osnuje żałobnym welonem obłędu. Nagle Crespel się zatrzymał i mówi: „Dziecko, dziecko! Czemu tak krzyczysz? Czyś ujrzał anioła śmierci? Zawsze się go widzi przed pogrzebem.

Ruszył na środek pokoju, wziął smyczek skrzypcowy zawieszony u pasa, ujął go w obie ręce, położył na głowie i złamał na dwoje; poczem zawołał z wybuchem śmiechu:

— Teraz laseczka złamała się na mnie!

Czyż nie jestem wolny? Wolny! Chwała wolności! Już nie będę robił skrzypiec... brawo! już nie będę robił skrzypiec!..“ I na nowo zaczął śpiewać w sposób jeszcze okropniejszy jakąś figlarną melodyę, znowu biegając i skacząc na jednej nodze. Przerażony tą sceną chciałem uciec; zatrzymał mię silną ręką — i spokojnie mi powiedział: — „Zostań, panie studencie. Nie uważaj za szaleństwo tych wyskoków boleści, która mnie zabija. Wszystko to się stało dla tego, żem sobie ostatnio kazał zrobić szlafrok, nadający mi pozór Przeznaczenia lub Boga“.

Wezwałem jego starą gospodynię i byłem zadowolony, że nakoniec mogę wyjść. Nie wątpiłem, że Crespel ma pomieszanie zmysłów; profesor jednak był przeciwnego zdania.

— Są ludzie, — mówił — co to im natura lub jakieś szczególne zdarzenie zdarza zasłonę, pod którą my zazwyczaj popełniamy różne szaleństwa w sposób niepostrzeżony. Są oni, rzekłbyś, jak te owady, w skórze przezroczystej, poprzez którą dostrzec można grę ich mięśni. Wszystko, co u nas jest w stanie myśli, u Crespela wyraża się

czynem. Jego kurcze, jego dziwadlane tańce — malują gorzką ironię losu, który często igrał z nim na tym świecie; ale w tem jest jego zbawienie. Co pochodzi z ziemi, odda on ziemi. Co idzie z nieba, to potrafi zachować — i, mimo tego wstrząsającego obłąkania, nie utracił poczucia samego siebie. Nagła śmierć Antonii przygnębiła go niezmiernie. Jednakże pewien jestem, że od jutra wróci do swych nawyknień.

W istocie wszystko się stało mniej więcej tak, jak przewidywał profesor. Radca ukazał się znów nazajutrz takim, jakim był niegdyś. Oświadczył jedynie, że już nie będzie robił skrzypiec i nie będzie grał na tym instrumencie: jakoż istotnie dotrzymał słowa.

## V.

Słowa profesora dodały jeszcze mocy podejrzeniom, jakie miałem co do stosunku radcy do Antonii. Sądziłem nawet, że śmierć Antonii ciężać musi surowo na sumieniu Crespela. Nie chciałem opuścić H., zanim go nie złamię wyrzutami w sprawie zbrodni, jaką mojem zdaniem

popelnił. Chciałem nim do głębi serca wstrząsnąć i zmusić go, aby mi się przyznał do swego straszliwego postępku. Im bardziej o tej sprawie myślałem, tem oczywistszem było dla mnie, że Crespel był zbrodniarzem — i mowa, z którą miałem się zwrócić do niego, przybierała coraz bardziej koloryt gorący i gwałtowny. Ostatecznie, było to prawdziwe arcydzieło retoryki.

Tak przygotowawszy swą oracyę, którą mi rozpałała wyobraźnia, pobiegłem do Crespela: zastałem go w chwili, gdy z twarzą spokojną i uśmiechniętą, strugał różne zabawki dziecinne.

— Jakto? — zawołałem oburzony — jak może pan przez chwilę mieć duszę spokojną, gdy myśl ohydneho czynu powinna by pana dręczyć bez litości.

Spogląda na mnie z podziwem i składa na boku swe pilniki.

— Co chcesz powiedzieć, mój dobry przyjacielu? — zapytał — proszę cię, zechciej usiąść.

Zapalałem się coraz bardziej; oskarżyłem go, że spowodował śmierć Antonii i groziłem mu pomstą niebieską. Pełny jeszcze dumy ze świeżo uzyskanej godno-

ści jurysty, jałem go nawet zapewniać, że poruszę wszystkie sprężyny, aby odkryć ślady przestępstwa i oddać go w ręce sprawiedliwości.

Czułem się jednak szczególnie zakłopotany, gdy po ukończeniu mej pompatycznej oracyi, szanowny radca spoglądał na mnie bez najmniejszego niepokoju, jakby oczekując dalszego ciągu mego przemówienia. Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale wszystko com wyrażał, zdawało mi się niewłaściwe i mętne tak, że nie śmiałem już dalej mówić. Crespel bawił się mojem zakłopotaniem; ironiczny, złośliwy uśmiech błędził po jego twarzy. Wkrótce jednak przybrał minę poważną i rzekł mi imponująco:

— Młodzieńcze, możesz mnie uważać za waryata, za oryginała, przebaczam ci, gdyż obaj jesteśmy zamknięci w domu obłąkanych i gniewasz się na mnie za to, że ja sądzę się być Bogiem Ojcem, ty zaś uważasz się za Boga Syna. Ale jakże ośmielasz się przeniknąć w tajemnicze nici żywota, który powinien ci być obojętny? Antonina już nie żyje, tajemnica ustała...

Podniósł się, zaczął chodzić po pokoju wzdłuż i w szerz; utkwiał we mnie spojrze-

nie, wziął mię za rękę, poprowadził mię do okna, otwarłszy jego dwie połowice. Oparł się o kamień balkonu, oczy skierowawszy na ogród i opowiedział mi historię swego życia. Gdy skończył, pożegnałem go, wzruszony i zawstydzony.

Oto w kilku słowach historia Antonii.

Na jakie dwadzieścia lat przed okresem, o którym tu opowiadam, radca udał się do Włoch, pragnąc odnaleźć najlepsze skrzypce dawnych mistrzów. Nie zbudował jeszcze żadnego z tych instrumentów i nie myślał o ich rozbieraniu. W Wenecyi słyszał znakomitą śpiewaczkę Angełę, która była naówczas gwiazdą teatru San-Benedetto, jako primadonna, a widok jej obudził w nim niesłychany entuzjazm, wywołany nie tylko talentem, ale i anielską pięknnością signory. Starał się z nią zapoznać i, mimo pewną gburowatość swego zachowania, zdobył sobie łaskę młodej artystki — dzięki śmiałej i pełnej wyrazu swojej grze na skrzypcach. W parę tygodni potem zawarł z nią ślub, który musiał zostać tajemnicą, gdyż Angela nie chciała ani opuścić teatru, ani zrzec się swego sławnego imienia, by je zastąpić mało dźwięcznem nazwiskiem Crespel.



Radca z szaloną ironią opisał mi wszystkie męczarnie, jakie znosić musiał ze strony signory Angeli z chwilą, gdy ta została jego żoną. — „Wszystkie kaprysy, wszystkie szaleństwa wszystkich pierwszych śpiewaczek były złączone, zjednoczone w małym ciałku Angeli“. Jeżeli mu się kiedy zdarzało wyrazić swoją wolę, natychmiast Angela wypuszczała przeciw niemu całą gromadę opatów, maëstrów, akademików, którzy, nie znając jego praw małżeńskich, traktowali go jako nieznośnego i źle wychowanego amanta. Razu pewnego, po jednym z takich burzliwych dni, Crespel uciekł z miasta i schronił się w wiejskim domu Angeli, i dla zapomnienie swych cierpień, wygrywał różne fantazyje na swych skrzypcach z Cremony. W parę chwil potem signora wchodzi do domu. Miała ona w tym momencie kaprys czułości; całuje radcę, rzucając nań spojrzenia pełne tęsknoty, i głowę mu składa na ramieniu. Crespel uniesiony wirem swych akordów, dalej z zapalem ciągnie swą grę, i przypadkowo dotyka signorę końcem swego smyczka. Wówczas ona rzuca się ku niemu, wściekła. *Bestia tedesc!* — krzyczy, i wydzierając mu smy-

czek z rąk, łamie go na marmurowym stoliku.

Radca przez chwilę stał wobec niej skamieniały, wreszcie budząc się niby ze snu, silną ręką ujął signorę, wyrzucił ją przez okno, i nie zwracając uwagi na to, co się stanie, wyjechał do Niemiec. Dopiero w jakiś czas potem zaczął sobie zdawać sprawę ze swego gwałtownego czynu. Choć wiedział, że okno było nie wyższe nad pięć stóp od ziemi i choć był posłuszny niepokonanemu ruchowi, wyzwalał się w ten brutalny sposób od gniewu swojej żony, czuł jednak niepokój wewnętrzny, tem silniejszy, gdy przypominał sobie, że signora miała nadzieję zostać matką. Drżał z pragnienia, by zyskać wiadomości i niemało był zdumiony, gdy w osiem miesięcy po swym powrocie, otrzymał bardzo tkliwy list od Angeli. W liście nie było najmniejszej wzmianki o tem, co się stało w willi podmiejskiej, donosił tylko, że signora powiła czarującą córeczkę. Z tego powodu *marito amato*, *padre felicissimo* natarczywie był proszony, aby jaknajprędzej przybył do Wenecyi. Crespel, zanim przystał na tę prośbę, napisał do kilku ze swoich przyjaciół, aby

go dokładnie powiadomili, co się zdarzyło od chwili jego odjazdu, i dowiedział się, że signora, wyleciawszy przez okno, lekko jak ptaszek, upadła na trawnik i że ten upadek miał dla niej właśnie wyniki jak-najlepsze. Energiczny czyn Crespela całkowicie zmienił kapryśną naturę młodej kobiety. Od tego dnia nie dostrzegłbyś w niej żadnego z dawnych dziwactw jej charakteru. Maestro, który tego roku komponował sztuki karnawałowe, był najszczęśliwszym z ludzi, gdyż signora zgodziła się śpiewać, nie narzucając mu tyśiąca wariantów, czego niegdyś wymagała.

Radca, wzruszony tą zmianą, zamówił konie i siadł do dyliżansu. Nagle się zatrzymał: — „Być może, — powiedział sobie, — że sam mój widok obudzi na nowo w Angeli jej fantastyczne usposobienie, i może jeszcze raz będę ją musiał wyrzucić przez okno!“

Wrócił do siebie i napisał do żony list najczulszy w świecie, wyrażając radość, jakiej doznał na wiadomość, że jego córka ma — tak jak on — mały znaczek za uchem. Kłął się, że ją kocha z całego serca, ale że musi pozostać w Niemczech,

Korespondencya w tym tonie trwała dłuższy czas. Zapewnienia miłości, prośby, pragnienia, wyrazy żalu płynęły z Wenecyi do H... i z H... do Wenecyi.

Nakoniec Angela przybyła do Niemiec i w charakterze primadonny uzyskała wielkie powodzenie w teatrze miasta F...; nie była już młoda, ale jej śpiew miał czar nieprzeparty, gdyż głos jej nie utracił nic ze swej mocy. Antonia urosła, i matka jej nie mogła się powstrzymać, by nie napisać radcy, że jej córka będzie pierwszorzędną śpiewaczką.

Pewnego dnia przyjaciele Crespela zawiadomili go, że dwoje sławnych wirtuozów przybyło do F... i bardzo go prosili, aby się udał do tego miasta dla ich usłyszenia. Nie wiedział, jakie ściśle węzły łączyły go z tą parą. Radca bardzo pragnął zobaczyć swą córkę, ale gdy tylko pomyślał o żonie, natychmiast budziły się w nim bardzo smutne myśli i został u siebie w towarzystwie swych połamanych skrzypiec.

Młody, bardzo znany kompozytor, do szaleństwa zakochał się w Antonii, dziewczę odpowiedziało mu miłością. Angela nie mogła nic zarzucić ich połączeniu,

radca zaś przystał na nie tem skwapliwiej, że dzieła młodego artysty znalazły łaskę w oczach jego surowego sądu. Codziennie Crespel oczekiwał wiadomości, że małżeństwo było zawarte — lecz, zamiast tej radosnej nowiny, otrzymał list z czarną pieczęcią, pisany nieznajomą ręką. Doktor R... zawiadamiał radcę, że poprzedniego wieczoru, Angela, po wyjściu z teatru, przeżyła się silnie i umarła w przededniu ślubu Antonii. Angela zawiadomiła doktora, że jest żoną Crespela i że mu powierza los swojej córki.

Tegoż samego dnia, radca wyjechał do F... Nie jestem w stanie wypowiedzieć, w jak wzruszający sposób Crespel mówił mi o chwili, w której po raz pierwszy zobaczył swą córkę. Była nawet w dziwactwie jego wyrażen pewna siła, której nie mogę oddać słowem. Antonia miała wszystkie wdzięki swej matki bez żadnej z jej przywar. Gdy Crespel przybył, młody narzeczonny siedział koło niej, Antonia zaś, znając osobliwą naturę swego ojca, zaczęła śpiewać motyw starego mistrza Martiniego, który Angela niegdyś śpiewała radcy w okresie ich wielkiej miłości. Crespel rozrzewnił się wielce i wylewał



potoki łez; nigdy głos samej Angeli tak potężnie nie drgał mu w uchu. Śpiew Antonii był szczególnej natury, już to był podobny do westchnień arfy eolskiej, już to do tryłów słowicznych: rzekłbyś tony, wyśpiewywane przez nią nie mogły się zawierać w piersi ludzkiej. Antonia, przejęta do głębi miłością i radością, śpiewała swe najpiękniejsze melodye, gdy jej narzeczony pełny zachwytu, towarzyszył jej na fortepianie. Crespel był pogrążony niby w ekstazie: naraz stał się milczący, zamyślony i, zwracając się ku Antonii, przycisnął ją do serca i mówił do niej głosem przygłuszonym:

— Nie śpiewaj już, jeżeli mnie kochasz. Twój śpiew rozdziera mi duszę. Straszny niepokój mię ogarnia. Nie śpiewaj już, Antonio.

— Nie, — rzekł nazajutrz do doktora R... — gdym podczas jej śpiewu zauważył dwie czerwone plamy na jej policzkach, widziałem, że to już nie jest podobieństwo rodzinne, ale znak przerażający.

Doktór, którego twarz pociemniała na te słowa radcy, odparł:

— Być może w istocie, że skutkiem nadmiernego wysiłku lub skutkiem wady or-



ganicznej, Antonia ma jakąś chorobę piersiową, która właśnie głosowi jej nadaje tę siłę cudowną i te wibracje wdzięczne i nadprzyrodzone. Ten talent może być powodem jej śmierci, i jeżeliby dalej śpiewała, nie dać jej więcej nad sześć miesięcy życia“.

To wyznanie doktora, jak grot przeżywający, uderzyło w serce radcy. Zdawało mu się, że widzi płodne drzewo, po raz pierwszy okryte najpiękniejszymi owocami, a skazane, by już więcej nie zazielenieć, niezakwitnąć, lecz podciętem być w korzeniu. Postanowił natychmiast czynić, co należy. Wystawił wprost Antonii samej wszystkie swoje trwogi i pytał ją, czy woli iść za swoim narzeczonym, uleść czarom życia światowego i rychło umrzeć, czy też iść za ojcem w jego starości, dać mu odpoczynek i radość, jakiej ten nigdy nie zaznał, a zato żyć długo. Antonia ze łkaniem rzuciła mu się w objęcia. Zrozumiał wszystką boleść, jaką odczuwała dziewczyna. Następnie zwrócił się do narzeczonego i chociaż ten zaklinał się, że nigdy żaden śpiew nie wyjdzie z ust panny, radca jednak sądził, że młody muzyk nie zdoła się oprzeć pokusie,

by usłyszeć Antonię wykonywającą utwory, przez niego skomponowane. Radca zniknął z Antonią i udał się do H... Narzeczony, pełny rozpaczy z powodu tego nagłego odjazdu, ruszył ich śladem i przybył wraz z nimi do ich kryjówki.

— Ujrzeć go raz jeszcze, a potem umrzeć! — mówiła Antonia głosem pełnym jęku.

— Umrzeć, umrzeć! — krzyczał Crespel w szalonym gniewie; i lodowaty dreszcz przenikał go aż do szpiku. Widział swą córkę, tę istotę uroczą i jedyną w świecie, jedyną co mogłaby mu objawić nieznane szczęście, jedyną, co by go pogodziła z istnieniem: tę córkę widział, jak mu ją zabierają, odrywają od serca. Wówczas chciał uczynić najokropniejszą próbę. Narzeczony siadł do fortepianu, Antonia śpiewała, Crespel wesoło grał na skrzypcach aż do chwili, gdy ujrzał dwie czerwone plamy na jagodach panny. Wówczas przerwał koncert, a gdy muzyk pożegnał Antonię, ta z bolesnym krzykiem zemdlona padła na podłogę.

— Sądziłem, — rzekł mi Crespel, — że umarła, jak przewidywałem, że umarła naprawdę, a ponieważ byłem zrezygnowa-

ny na najsroższą katastrofę, byłem spokojny. Łagodnie wziąłem muzyka za ramiona i rzekłem:

— Ponieważ ci się podobało, mój czci-  
godny mistrzu fortepianu, zabić swoją na-  
rzeczoną,—możesz iść w spokoju dokąd  
zechcesz, chyba, że wolałbyś zostać tu-  
taj, póki ci nie wbiję w serce tego noża  
myśliwskiego, by twoją szlachetną krwią  
ubarwić bladą twarz mojej córki. Oddal  
się stąd co prędzej, bo nie odpowiadam  
za siebie.

Słowa moje musiały mieć w owej chwili  
ton przeraźliwy. Uciekł pośpiesznie i szyb-  
ko zeskoczył ze schodów.

Gdy był już daleko, Antonia, leżąc  
nieprzytomnie na podłodze, z trudem  
otworzyła oczy a śmierć, zdawało się, na-  
tychmiast zamknie je na nowo. Crespel  
wydał okrzyk rozpacz. Lekarz, którego  
sprowadziła stara gospodyni, powiedział,  
że stan Antonii jest bardzo groźny,  
lecz nie przedstawia niebezpieczeństwa  
i w istocie wyzdrowiała znacznie wcze-  
śniej, niż się tego spodziewał radca. Od  
tego dnia okazywała dla ojca niezmierną  
czułość; z oddaniem przyłączyła się do  
jego skłonności a nawet do jego wszyst-

kich dziwactw; pomagała mu rozbierać stare skrzypce—robić z nich nowe.

„Nie chcę już śpiewać — mówiła często—chcę żyć dla ciebie“—i opierała się wszystkim prośbom tych, co się do niej zwracali, by głos jej usłyszeć. Radca starał się, ile możliwości, by tych próśb jej oszczędzono. Z niechęcią prowadził ją w świat i starannie unikał wszystkich koncertów. Wiedział, co kosztowało Antonie wyrzec się sztuki, którą podniosła do tak wysokiego stopnia doskonałości.

Gdy kupił zadziwiające skrzypce, które pochował wraz z nią w jednym grobie, a które chciał zniszczyć tak, jak wszystkie inne, Antonia patrzyła na niego z miną bolesną i pytała:

— Jakto? i te skrzypce również?

Radca nie wiedział sam, jaka nieokreślona potęga przeszkadzała mu rozłożyć ten instrument i zmuszała, że na nim grywał. Zaledwie pierwsze uderzył akordy, Antonia zawołała z akcentem radości:

— Ach, poznaję siebie, śpiewam na nowo!

W istocie jasne, srebrzyste tony skrzypiec, zdawały się wychodzić z piersi ludzkiej. Crespel wzruszony do głębi duszy,

grał z jeszcze większą ekspresją niż zwykle, i gdy śmiało a mocno przebiegał wszystkie tony gammy, Antonia klaskała w ręce i wołała, jakby w zachwyceniu:

— Ach, jak dobrze śpiewam, jak dobrze śpiewam!

Od tego dnia na nowo stała się pogodna i wesola. Często mówiła do radcy:

— Ojczy, chciałabym jeszcze coś zaśpiewać.

Crespel zdejmował skrzypce ze ściany, grał ulubione melodye córki i wtedy serce jej rozpływało się w rozkoszy.

Na krótki czas przed moim powrotem do H..., pewnego razu zdawało się radcy, że pośrodku nocy usłyszał dźwięk fortepianu w sąsiedniej izbie. Natychmiast rozpoznał wyraźnie zwykle preludium młodego muzyka. Chciał się podnieść, ale był jakby przywiązany stalowymi łańcuchami i nie mógł uczynić najmniejszego poruszenia. W parę chwil później rozpoznał głos Antonii, który się naprzód rozlewał jak lekkie tchnienie, a potem rósł stopniowo aż do najdźwięczniejszego fortissimo; następnie usłyszał tony porywającej melodyi, którą narzeczony skomponował dla Antonii w stylu religijnym dawnych mi-

strzów. Crespel zapewniał, że był w tym momencie pełen przerażającego wzruszenia; odczuwał naraz najokropniejszą trwogę i rodzaj idealnej rozkoszy.

Naraz uderza go jasność oślepiająca; widzi muzyka i Antonię, którzy się całują i patrzą na siebie w zachwyceniu. Melodya brzmiała dalej, choć Antonia nie śpiewała i choć jej narzeczony nie dotykał fortepianu. Radca upadł zemdlony. Gdy wrócił do przytomności, na nowo się w nim obudziła straszliwa trwoga, jakiej doznawał, niby we śnie. Popędził do pokoju Antonii; ujrzał ją na kanapie, z oczami zamkniętymi, z wargą uśmiechniętą, ze złożonemi rękami: rzekłbyś spała, kołysana niebiańskimi marzeniami.

Umarła.

---



**KAWALER GLUCK**

## KAWALER GLUCK

Wspomnienie z roku 1809.

---

Schyłek jesieni w Berlinie ma zazwyczaj jeszcze kilka pięknych dni. Słońce przyjaźnie wypływa z obłoków i szybko w parę przetwarza wilgoć w półciepłym powietrzu, wiejącem przez ulice. Wtedy widzimy długi szereg pstro przemieszanych elegantów, mieszczan, duchownych, żydówek, referendarzów, gryzetek, profesorów, modniarek, tańcerzy, oficerów i t. d. w alei pod Lipami: wszyscy mniej więcej dążą do ogrodu zoologicznego. Wkrótce też wszystkie miejsca u Klause i Webera są zajęte; kawa z cykoryą paruje; eleganci kurzą swe *cigarros*, ludzie gadają, spory prowadzą o wojnę i pokój, o trzewiki panny Bethman, czy były szare czy zielone, rozważają sprawę protekcyjnej granicy handlu w państwie,

braku gotówki i t. d., aż w końcu wszystko się spływa w aryi z *Fanchon*, przy-  
czem rozstrojona harfa, nienastrojone  
skrzypce, suchotniczy flet i spazmatycz-  
ny fagot rozżalają się nad sobą i nad słu-  
chaczami. Tuż u parkanu, oddzielającego  
kawiarnię Webera od ul. Wojskowej, sto-  
ją liczne okrągłe stoliki i krzesła ogrodo-  
we; tu oddychasz świeżem powietrzem,  
tu obserwujesz, kto wchodzi i kto wycho-  
dzi, tu jesteś daleko od kakofonicznego ję-  
ku przekłętej orkiestry; tu ja siaduję za-  
wyczaj, oddając się swywoalnemu igrzy-  
sku swej fantazyi, co mi sprowadza obli-  
cza miłych ludzi, z którymi rozmawiam  
o nauce, o sztuce, o tem wszystkim co  
dla ludzi powinno być najdroższe. Coraz  
jaskrawiej toczy się przedemną tłum spa-  
cerujących, ale nic mię nie wytrąca z ró-  
wnowagi, nic nie rozpędzi mego fantasty-  
cznego towarzystwa. Tylko jakieś prze-  
klęte trio nikczemnego walca wydziera  
mnie z krainy marzeń: słyszę jedynie  
skrzeczący głos górny wiolinu i fletu  
i grzechotliwy bas fagotu; razem unoszą  
się i opadają, zatrzymując się na roz-  
grzytanych oktawach i mimowoli jak ktoś,  
opanowany gorącym bolem, wołam:

— Ach, co za straszna muzyka! Co za wstrętne oktawy!

Około siebie słyszę szept:

— Przeklęty los! znów jakiś pogromca oktaw!

Spoglądam i dopiero teraz widzę, że, niedostrzeżony przezemnie, przy tym samym stole zajął miejsce człowiek, który nieruchomym wzrokiem patrzy na mnie, i od którego oko moje teraz już się ode-  
rwać nie może.

Nigdy nie widziałem głowy, nigdy nie widziałem postaci, co by tak nagle uczyniła na mnie tak głębokie wrażenie. Łagodnie zgięty nos opierał się o szerokie, otwarte czoło, z wyraźnemi wypukłościami nad krzaczastą, półsiwą brwią; oczy jego błyszczały prawie dzikim, młodzieńczym ogniem (człowiek mógł mieć ponad pięćdziesiąt lat). Mięko sformowana broda była w osobliwym przeciwieństwie z zamkniętymi usty, a przelotny uśmiech, wywołany szczególną grą mięśni w zapadłych policzkach, zdawał się buntować przeciw głębokiej, melancholicznej powadze, spoczywającej na czole. Kilka jedynie siwych loków leżało z tyłu wielkich, odstających od głowy uszu. Wysoka

chuda postać nieznajomego obwinięta była szerokim nowoczesnym płaszczem. Gdy wzrok mój utkwilem w jego osobie, opuścił twarz i dalej spełniał swoją robotę, którą mu zapewne przerwał mój okrzyk. Mianowicie z wyraźną przyjemnością z różnych małych tutek przesypywał tabakę do wielkiej tabakiery i zwilżał ją czerwonym winem z ćwierci flaszki.

Muzyka zamilkła; czułem konieczność przemówienia do niego.

— Dobrze, że już muzyka grać przestała, — rzekłem; — nie można było wytrzymać.

Stary rzucił na mnie szybkie spojrzenie i przesypał ostatnią tutkę.

— Byłoby lepiej, gdyby tu wcale nie grano — powiedziałem raz jeszcze. Czy nie jest pan tego mniemania?

— Nie mam żadnego mniemania — rzekł. — Pan jest muzyk i zna swoją sztukę...

— Myli się pan; nie jestem ani tem ani owem. Uczyłem się niegdyś gry na fortepianie i jenerałbasie, jako rzeczy, należącej do dobrego wychowania, a ponieważ między innemi mówiono mi, że nic tak złego nie daje efektu, jak kiedy bas z głosem

górnym idzie naprzód w oktawy: przyjąłem tę opinię niegdyś ze słów powag i nieraz później stwierdziłem jej prawdę.

— Istotnie? — powiedział mi, poczem wstał i powoli w zamyśleniu ruszył do muzykantów, często podnosząc wzrok ku górze i uderzając się w czoło dłonią, niby ktoś, co chciałby sobie w myśli obudzić pewne przypomnienie. Widziałem, jak rozmawiał z muzykantami, traktując ich rzekłbyś z rozkazodawczą godnością. Powrócił — i zaledwie usiadł, zaczęto grać uwerturę z *Ifigenii w Aulidzie* Glucka.

Oczy przymrużył, ręce złożywszy na krzyż, oparł je o stół — i słuchał *andante*; lewą nogę lekko poruszając, oznaczał zmiany głosów; teraz podniósł głowę — szybko potoczył wzrokiem dokoła — lewa ręka, której palce rozstawił szeroko, spoczywała na stole, jakby chwytając akord w locie; prawą — podniósł do góry; był to jakby kapelmistrz, który orkiestrze wskazuje moment innego tempa — prawa ręka opada i zaczyna się *allegro*. Płomiennie czerwone stały się jego blade policzki; brwi schodzą się razem na pomarszczonem czole, wewnętrzny gniew



rozpala dzikie spojrzenie ogniem, którym coraz bardziej rozprasza się uśmieszek, co jeszcze się unosi na półotwartych ustach. Teraz przechyla się w tył, brwi idą do góry, gra mięśni na policzku powraca, oczy błyskają, głęboki, wewnętrzny ból rozplywa się w rozkosz, co wszystkie fibry porywa i kurczowo niemi wstrząsa — głęboko z piersi oddycha, krople mu występują na czole; zaznacza wyjście *tutti* i inne główne miejsca; prawa ręka nieustannie takt wybija, lewą wydobywa chustkę i twarz sobie przeciera. Tak ciałem i barwą ożywił szkielet, jaki dawała z uwertury owa para skrzypiec. Słyszałem łagodną, rozrzewniającą skargę, która się wzbija z fletem, kiedy przegrzmiała burza skrzypiec i basów i zamilkł grom bębnów; słyszałem lekko uderzające tony wiolonczeli, fagotów, które przepelniają serce bezimienną tęsknotą; powraca *tutti*, jak olbrzym wielkie występuje unisono, głucha skarga zamiera pod jego miążdżącym krokiem.

Uwertura się skończyła. Nieznajomy opuścił ręce i siedział z zamkniętymi oczami, niby ktoś, co omdlał z nadmiernego wysiłku. Butelka jego była próżna; na-

pełniłem mu szklanę burgundem, który tymczasem kazałem przynieść. Głęboko wzdychał, rzekłbyś ze snu się budzi. Zmusiłem go do picia; uczynił to bez ceremonii i jednym łykiem wypiwszy całą szklanę, zawołał:—Jestem zadowolony z wykonania! Orkiestra trzymała się dzielnie.

— A jednak — powiedziałem — był to tylko słaby zarys arcydzieła wykonanego żywymi farbami. Czyż nie sądzę słusznie?

— Pan nie jest Berlińczykiem.

— Istotnie. Tylko dla odmiany się tu zatrzymałem.

— Burgund jest dobry. Ale zaczyna być zimno.

— Więc chodźmy do izby i tam wychylmy flaszkę wina.

— Dobry projekt. — Nie znam pana, ale też i pan mnie nie zna. Możemy się nie pytać o nazwiska; nazwisko często jest ciężarem. Piję wino burgundzkie; nic mię to nie kosztuje, czujemy się ze sobą przyjemnie i to jest dobrze.

Mówił to wszystko z dobrotliwą serdecznością. Weszliśmy do salonu kawiarni; usiadłszy, rozpiął płaszcz i ze zdziwieniem zauważyłem, że pod płaszczem

miał na sobie haftowany surdut o długich połach, czarne aksamitne rajtuzy i małą srebrną szpadkę. Starannie znów zapiał płaszcz.

— Czemuż to pan mię pytał, czy jestem Berlińczykiem?

— Bo w takim razie musiałbym pana w tej chwili opuścić.

— To brzmi zagadkowo.

— Bynajmniej, skoro tylko panu powiem, że ja — no, że ja jestem kompozytorem.

— Wciąż jeszcze nie odgaduję znaczenia słów pańskich.

— A więc proszę mi wybaczyć mój poprzedni okrzyk. Widzę, że się pan nic nie rozumie na Berlinie i Berlińczykach.

Powstał i kilkakrotnie żywo przeszedł się po pokoju tam i z powrotem; poczem się przybliżył do okna i ledwie dosłyszalnie zaczął śpiewać chór kapłanek z Ifigenii w Taurydzie, przyczem uderzał w szybę przy wyjściu *tutti*. W zdumieniu uważałem, że w pewien zgoła swoisty sposób oddawał niektóre melodye, co mię uderzały tu siłą i nowością. Nie przeszkadzałem mu wcale; skończył i wrócił na swoje krzesło. Opanowany szczegól-

nem zachowaniem się tego człowieka i fantastycznością objawów zewnętrznych nadzwyczajnego talentu muzycznego, milczałem. Po chwili zapytał mnie:

— Czy pan nigdy nie komponował?

— Owszem, próbowałem tej sztuki, ale wszystko, co napisałem, jak mi się roilo chwilowo, w natchnieniu, zdało mi się potem próżne i jałowe; przeto zarzuciłem te próby.

— Zrobił pan niesłusznie. Bo już to, że pan próbował, jest niezgorszem świadectwem pewnego talentu. Uczymy się muzyki w latach chłopięcych, bo tak życzy sobie papa i mama; przeto brząka się i gędzi, a niedostrzeżony bywa zmysł głębszego przejęcia się melodyą. Może to jakiś półzapomniany motyw piosenki, którą inaczej śpiewano, pierwsza własna myśl, a ten embryon, z trudem ożywiany siłą cudzą, dorósł do miary olbrzyma, który wszystko dokoła siebie pochłoniął i przemienił w swój szpik i swoją krew. Ha, jakże to możliwe wyjaśnić tysiączne formy, przy pomocy których dochodzi się do kompozycji! Jest to szeroka ulica Wojskowa, tu gromadzą się wszyscy, krzyczą, wołają: my jesteśmy poświęce-

ni! jesteśmy u celu! Poprzez wrota z Kości Słoniowej przechodzi się do krainy Marzeń: niewielu dostrzega te wrota raz jeden, jeszcze mniej przestąpić je zdoła. Wszystko tu wydaje się awanturniczem. Szalone postaci unoszą się tu i owdzie, ale wszystkie mają własny charakter — jedno mniej, drugie więcej. Nie widać ich na ulicy Wojskowej: tylko poza wrotami z Kości Słoniowej je znajdziesz. Trudno jest z naszych nizin wejść do tego królestwa: niby przed twierdzą Alcyny potwory przecinają drogę, kłębi się tam, wiruje; niejeden przemarzy marzenie w krainie marzenia, rozpływa się w marzeniu, już tam cienia swego niejeden nie rzuca, bo gdyby nawet znalazł się w cieniu, to zawsze krąży w światłości, co przenika to królestwo; ale jeno bardzo nieliczni, z marzeń przebudzeni, unoszą się wzwyż i przepłynąwszy królestwo Marzeń, dochodzą do Prawdy; jest to moment najwyższy: zetknięcie z tem, co Wieczyste, co Niewypowiedziane. Spójrz na słońce — to Trójdźwięk, z którego, niby gwiazdy, płyną akordy, by cię oprząść ognistemi nićmi. Niby poczwarka leżysz w ogniu, aż Psyche się uniesie ku słońcu.

Przy ostatnich słowach podskoczył, wzrok podniósł do góry, rękę ku niebu wyteżył. Poczem siadł znowu i szybko wypróżnił ofiarowaną sobie szklanę. Nastąpiła cisza, której nie śmiałem przerwać, aby nie wytrącić z linii tego niezwykłego człowieka. W końcu spokojniej zaczął mówić dalej.

— Kiedy byłem w królestwie Marzenia, dręczyły mnie tysiączne bole i trwogi. Była noc i przerażały mnie szczerzące zęby larwy potworów, które waliły się na mnie i już to mnie strącały w otchłań morza, już to unosiły wysoko w powietrze. Oto szły promienie światła po przez noc, a te promienie były to dźwięki, które mnie ośpiewywały miłą jasnością. Przebudziłem się z bólu i ujrzałem wielkie, jasne Oko, które spoglądało w organy—a pod jego spojrzeniem z organów wydobywały się tony i migały i obejmowały się w uroczystych akordach, jakich nigdy nie przeczuwałem. Melodye lały się strumieniem w górę i na dół, a ja płynąłem w tym strumieniu i o mało co nie utonąłem; wówczas spojrzało na mnie Oko i utrzymało mnie na powierzchni, nad spienionymi falami. — Znowu nastąpiła noc — i oto wyszły ku



mnie dwa kolosy w śmiertelnych pancerzach: Ton główny i Kwinta. Porwały mnie, ale Oko się uśmiechało: wiem, co przepelnia tęsknotą twe piersi; łagodny, słodki młodzian, Tercya, pod kolosami wyjdzie ku tobie; usłyszysz jego słodki głos, ujrzysz mię znowu, a moje melodye będą twojemi.

Zatrzymał się.

— I znów widziałeś to Oko?

— Widziałem, widziałem znowu! — Długie lata wzdychałem w krainie marzeń — tam — tam! Przebywałem w czarownej dolinie, i przysłuchiwałem się, jak śpiewały między sobą kwiaty. Tylko słonecznik milczał i chylił zamknięty kielich ku ziemi. Niewidzialne węzły ciągnęły mię ku niemu — podniósł głowę — kielich rozwarł — i z niego błysło mi Oko. Teraz, niby promienie, potoczyły się tony z głowy mej ku kwiatom, które chciwie je sączyły. Coraz większe stawały się liście słonecznika — promienie tryskały z jego wnętrza — otoczyły mnie dokoła — Oko, a z niem i ja — zniknęliśmy w kielichu.

Przy ostatnich słowach podskoczył i szybkim, młodzieńczym krokiem pośpiesznie wybiegł z pokoju. Napróżno czeka-

łem na jego powrót: postanowiłem tedy wrócić do miasta.

Byłem już w pobliżu bramy Brandenburskiej, gdy ujrzałem nadchodzącą w mroku długą postać — i wnet rozpoznałem swego dziwaka.

— Czemuż to mię pan tak nagle opuścił?

— Było zbyt gorąco — i już dzwonił Eufon.

— Nie rozumiem pana.

— Tem lepiej.

— Tem gorzej, gdyż chciałbym wielce rozumieć pana w całości.

— Czy pan nic nie słyszy?

— Nic.

— To już przeszło. — Idźmy dalej. W gruncie nie zbyt lubię towarzystwo. Ale — pan nie jest kompozytorem — pan nie jest Berlińczykiem.

— Nie mogę zrozumieć, co pan czuje przeciw Berlińczykom. Tu, gdzie sztuka takiej czci doznaje i w tak wysokiej mierze jest uprawiana, dobrze czuć by się powinien człowiek pańskiego ducha artystycznego.

— Myli się pan. Ku udręce swej skaza-

ny tu jestem, jako duch wyosobniony, błądzić w próżni!

— W próżni — tu — w Berlinie?

— Tak, czuję się tu jak w próżni, gdyż żaden duch pokrewny nie wyjdzie tu na moje spotkanie. Jestem sam.

— Ależ artyści — kompozytorzy?

— Precz z nimi! Ci krytykują, krytykują i rozcieńczają wszystko do najbardziej rozcieńczonej miary; ryją wszystko nawskroś, aby tylko jaką ubożuchną myśl znaleźć; wciąż gładząc niedorzeczności o sztuce, o zmyśle artystycznym i Bóg wie o czym — nie są zdolni nic stworzyć, i gdy im coś tak zjawi się w duchu, jakby kilka idej miało im zaświtać, wtedy z okropnej ich lodowatości poznasz, jak są dalecy od słońca: to lapońska robota.

— Sąd pański wydaje mi się zbyt surowy. W każdym razie muszą pana zadowalać wspaniałe przedstawienia w teatrze.

— Raz się przemogłem, aby znów pójść do teatru, i usłyszeć operę mego młodego przyjaciela, jakże się ona zowie? — Ach, cały świat jest w tej operze! Poprzez pstry zgiełk barwnie przybranych ludzi

ciągną duchy Orkusowe, wszystko ma tu głos i wszechmocny dźwięk — do licha! — myślę o Don Juanie. Ale nie mogłem wytrzymać nawet uwertury, co była wykonana *prestissimo*, bez sensu i zrozumienia; a przecież przygotowałem się do tej sprawy modlitwą i postem, gdyż wiem, że Eufon zanadto jest od tych mas poruszany i staje się nieczysty.

— Gdybym nawet i ja przystał, że arcydzieła Mozarta bywają tu wykonywane w sposób bardzo niedbały, to jednak opery Glucka cieszyć się mogą wcale godnem wystawieniem.

— Tak pan sądzi? — Chciałem raz słyszeć *Ifigenię* w Taurydzie. Wchodząc do teatru słyszę, że grają uwerturę *Ifigenii* w Aulidzie. Hm — sądzę, to omyłka; więc dają tę *Ifigenię*! Dziwię się bardzo, gdy oto brzmi *andante*, którem się rozpoczyna *Ifigenia* w Taurydzie, poczem następuje burza. Dwadzieścia lat dzieli jedno od drugiego. Całe wrażenie, cała gorliwie obmyślana ekspozycja tragedyi przepadła! Ciche morze — burza — grecy na ląd wyrzuceni — opera skończona. Jakto? Czy kompozytor dla igraszki napisał uwerturę, że ją, niby sztukę na trąby

można pakować, gdzie i jak się komu podoba?

— Przyznaję, że to nieporozumienie. Jednak — czyni się przecież wszystko, by posiadać dzieła Glucka.

— Ej-że! — powiedział krótko i uśmiechał się gorzko i coraz bardziej gorzko. Nagle odszedł i nie mogłem go zatrzymać. W jednej chwili jakby zniknął i przez parę dni kolejno szukałem go w Parku Zoologicznym napróżno.

\* \* \*

Minęło parę miesięcy, gdy w pewien dżdżysty, zimny wieczór — zapóźniony szedłem w oddalonej części miasta i śpieszyłem do swego domu na Friedrichstrasse. Musiałem przechodzić koło teatru; huczna muzyka, trąby i kotły przypominały mi, że właśnie grano *Armide* Glucka i nawet chciałem wejść na przedstawienie, gdy naraz pobudził moją uwagę szczególny monolog tuż pod oknem, gdzie słychać prawie każdy ton orkiestry.

— Teraz wychodzi król — grają marsza — bębnić, jeno bębnić — jest właśnie rzeźki — jedenaście razy musicie to dziś

robić — pochód nie jest dość pochodo-  
wy — Ha, ha! — maëstoso — wleczcie  
się, dzieci! — Patrzcie, tam figurant ma  
rozplecione sznurowadło — Dobrze, po-  
raz dwunasty — i zawsze uderzać na do-  
minantę — O wszechmocne bogi, to się  
nigdy nie skończy — Teraz wyśpiewuje  
on swój komplement — Armida dziękuje  
z pokorą — Jeszcze raz? Oczywiście,  
brak jeszcze dwóch żołnierzy. — Teraz  
łomocze się recitativo. — Jakiż zły duch  
mnie tu przypędził!

— Kłątwa jest rozwiązana — krzykną-  
łem. — Pójdź.

Ująłem silnie pod rękę mego dziwaka  
z Thiergartenu — gdyż on to był, co ga-  
dał sam do siebie — i pociągnąłem go  
z sobą. Zdawał się oszołomiony i, milcząc,  
szedł ze mną. Byliśmy już na Friedrich-  
strasse, gdy naraz się zatrzymał.

— Znam cię — powiedział. — Byłeś  
w Thiergartenie — rozmawialiśmy dużo,  
piłem wino, rozgrzałem się, potem przez  
dwa dni całe dźwięczał Eufon — wiele  
wycierpiałem — ale to już minęło.

— Cieszy mię, że przypadek znów mię  
z panem zetknął. Pozwól pan, że się bli-



żej zapoznamy. Mieszkam tu niedaleko. Gdyby pan...

— Nie mogę i nie powinienem odwiedzać nikogo.

— Nie, już mi pan nie ujdzie; idę z panem.

— A więc przejdziemy się jeszcze paręset kroków. Ale pan chciał iść do teatru.

— Chciałem usłyszeć Armidę, ale teraz...

— Teraz usłyszysz Armidę! Pójdź ze mną...

Milcząc ruszyliśmy w górę ulicy Frydrychowskiej; gwałtownie skręcił w ulicę Poprzeczną (*Querstr.*) — a biegł tak szybko ulicą, że zaledwie byłem w stanie iść za nim: aż nakoniec zatrzymał się przed jakimś niepozornym domkiem. Dość długo pukał, aż mu wreszcie otworzono. Po omacku stąpając, dostaliśmy się na górne piętro do izby, której drzwi mój przewodnik zamknął bardzo starannie. Słyszałem, jak się otwarły jeszcze jedne drzwi; wkrótce wszedł do drugiego pokoju z zapalonem światłem, i widok osobliwie wysztafirowanego mieszkania zdziwił mię nie mało. Staromodne, bogato przyozdobione krzesła; zegar ścienny

w złoconej szafie, i szerokie ciężkie zwierciadło nadawały wszystkiemu posępny wygląd zamierzhłego zbytku. W pośrodku stał mały fortepian, na nim wielki porcelanowy kałamarz, tuż zaś, obok kilka arkuszy papieru liniowanego do pisania nut. Bliższe wejrzenie na te narzędzia kompozytorskie przekonało mię jednak, że od dłuższego już czasu chyba nic tu nie pisano; papier był zupełnie pożółkły — a gęsta pajęczyna osnuła kałamarz. Nieznajomy podszedł do szafy w kącie pokoju, której dotąd nie zauważyłem, a gdy odchylił zasłonę, ujrzałem szereg pięknie oprawionych ksiąg ze złotymi napisami: Orfeo, Armida, Alcesta, Ifigenia i t. d., słowem wszystkie arcydzieła Glucka.

— Pan posiada wszystkie utwory Glucka? — zawołałem.

Nie odpowiedział nic, ale usta jego skurczyły się w spazmatyczny uśmiech a gramięśni w zapadłych policzkach w jednej chwili przeżarła twarz w okropną larwę. Odrętwiały skierował na mnie posępne wejrzenie, ujął jeden z tomów — była to Armida — i uroczyście ruszył w stronę klawikordu. Szybko to otworzyłem i roz-

winałem spleciony pulpit; z przyjemnością patrzył na moją gorliwość. Otworzył księgę i, któż wyrazi moje zdumienie! ujrzałem poliniowane stronice, ale nie zapisane ani jedną nutą.

Zaczął:

— Teraz zagram uwerturę. Odwracaj stronice, jeno w czasie właściwym.

Zapowiedziałem, że to zrobię — i oto nieznajomy grać zaczął wspaniale i po mistrzowsku, w pełnych akordach, majestatyczne *tempo di marcia*, którem się zaczyna uwertura, prawie zupełnie zgodnie z oryginałem; ale znów Allegro było tylko przeplecione głównymi pomysłami Glucka. Tyle nowych genialnych odmianek tu wtrącił, że moje zdumienie rosło nieustannie. Uderzające były zwłaszcza jego modulacye, niezbyt przytem jaskrawe — i umiał prostą myśl główną przybrać w szereg tak melodyjnych melizmów, że te w coraz nowszym, odmłodzonym powracały kształcie. Twarz mu promieniała; już to ściągały mu się brwi i długo powstrzymywany gniew rzekłbyś pragnął gwałtownie wybuchnąć; już to oko mu się rozpływało we łzach tęsknoty. Chwilami, gdy ręce wykonywały kunszto-

wne melizmy, nucił temat przyjemnym głosem tenorowym; to znowu w zupełnie osobliwy sposób umiał naśladować głosem głuchy ton uderzeń bębna. Gorliwie odwracałem stronicę, śledząc wskazania jego spojrzeń. Uwertura była skończona i, znużony, z zamkniętem okiem, padł znowu na fotel. Wkrótce jednak porwał się znów przebudzony i żywo odwróciwszy liczne puste arkusze księgi, rzekł posępnym głosem:

— Wszystko to, mój panie, napisałem, gdym wyszedł z krainy marzeń. Ale zdradziłem rzeczy święte nieświętym — i lodowata ręka przeniknęła w to gorejące serce. Serce mimo to nie pękło i byłem skazany błądzić wśród nieświętych, jako duch umarły, bezkształtny, aby mię nikt nie rozpoznał, aż mię w końcu słońceznik znów ku Wiekuistemu uniesie! Ha, teraz zagrajmy scenę Armidy.

Teraz zagrał scenę ostatnią Armidy z wyrazem, co mię przeniknął do rdzenia. I tu wyraźnie odchylił się od właściwego oryginału: ale ta waryacya muzyczna była to tażsama scena Glucka niby podniesiona do najwyższej potęgi. Wszystko co nienawiść, miłość, zwątpienie, szal może

wyrazić w najsilniejszych rysach, z mocą wielką ujął w tony. Głos jego zdawał się głosem młodzieńca, który z głębokiej smętnicy wydobył się do wyżyn przenikającej mocy. Wszystkie moje fibry drżały, utraciłem władzę nad sobą. Gdy skończył, rzuciłem mu się w ramiona i głosem ściśnionym pytam:

— Co to? kto ty jesteś?

Powstał i mierzył we mnie poważnym, przenikającym wzrokiem; gdy jednak znów go chciałem pytać, nagle wraz ze światłem umknął przeze drzwi i pozostawił mię w mroku. Trwało to jakiś kwadrans; zwątpiłem, czy go jeszcze raz zobaczę i, oryentując się podług położenia klawikordu, chciałem drzwi otworzyć, gdy naraz wszedł w starodawnym ubraniu galowem, w bogatej kamizelce, ze szpadą u boku, ze światłem w ręku.

Oślupiałem. Uroczyście zbliżył się ku mnie, łagodnie ujął mię za rękę i ze szczególnym uśmiechem tak mi powiada:

— Jestem kawaler Gluck.

# DON JUAN



## DON JUAN

(Z DZIENNIKA PODRÓŻUJĄCEGO ENTUZYASTY).

Dźwięczny a mocny głos wołający: widowisko się zaczyna! zbudził mię ze słodkiego snu, w jakim byłem pogrążony. Basy brzęczą, jedno przez drugie — uderzenie bębna — huk trąby — jasne A wydobyte z obojów — preludyum skrzypcowe: oczy sobie przecieram, czy dyabeł drwi sobie zemnie?... Nie, jestem w pokoju hotelu dokąd przybyłem pod wieczór, zmęczony i zmęczony. W pobliżu mam sznuerek dzwonka, ciągnę, zjawia się posługacz.

— W imię Boga, cóż to za pomieszana muzyka, co tu dzwoni koło mnie? Czy tu koncert odbywa się w domu?

— Ekscelencya (piłem przy objedzie szampana) nie wie być może, że ten hotel styka się z teatrem. Te drzwi tapetą osłonięte otwierają się na kurytarzyk pro-

wadzący do numeru 23, łoży cudzoziemców.

— Jakto? teatr! łoża cudzoziemców!

— Tak jest, mała łoża na dwie lub trzy osoby najwyżej, to dla gości bardzo dostojnych. Ma okno ze sztachetą, obicie zielone i mieści się w pobliżu sceny. Czy wasza Ekscelencya nie raczyłaby? Dają dziś *Don Juana*, sławnego Mozarta. Miejsce kosztuje półtora skuda; umieścimy w rachunku.

Ostatnie słowa mówił, otwierając drzwi łoży; gdyż, usłyszawszy to imię *Don Juan* — szybko rzuciłem się w kurytarz.

Sala była obszerna, ozdobiona ze smakiem i dobrze oświetlona; łoża i parter pełne słuchaczy. Pierwsze akordy orkiestry dały mi wyborne pojęcie o orkiestrze i jeżeli śpiewacy jej dorównają, to będę się rozkoszował należycie arcydziełem wielkiego mistrza. W andante zgroza straszliwego podziemnego *regno al panto* — przepełniła mi ducha dreszczem przerażenia. Radosna fanfara siódmego taktu allegra zabrzmiała jak oszołamiający wykrzyknik zbrodni; zdawało mi się, że wychodzą z mroku duchy ogniste o płomiennych szponach; potem ludzie, co tań-

czą jak opętani nad brzegiem przepaści. Walka natury ludzkiej z nieznanemi potęgami, co dążą ku jej unicestwieniu, ukazała się memu duchowi. Nakoniec burza cichnie, zasłona się podnosi.

Drżąc z zimna w swoim płaszczu, ze smutną twarzą, zbliża się Leporello, pośrodku nocy, przed pawilonem i szepce: *Notte e giorno fatigar.* — A, więc po włosku— tu, w Niemczech po włosku: *ach, che piacere!* Usłyszę więc wszystkie recytatywy, jak je wielki mistrz zrozumiał i nam pozostawił.

Don Juan wchodzi na scenę, a zanim dona Anna, trzymając winowajcę za płaszcz. Co za widok! Mogłaby być większą, smuklejszą, bardziej majestatyczną w ruchu; ale co za głowa! oczy, z których wybłyska niby snop iskier elektrycznych, niby ogień grecki, którego nic nie zdoła ugasić, gniew, miłość, nienawiść, rozpacz; warkocze włosów czarnych snują się po szyi. Biała suknia, osłania i zdradza jednocześnie wdzięki, których nigdy się nie ogląda bez niebezpieczeństwa. Serce jej, poruszone działaniem okrutnem, uderza gwałtownie. A teraz co za głos! *Non sperar se non m'uccidi!*

Śród wrzawy instrumentów głos jej wybucha jak błyskawica. Napróżno Don Juan chce się wyzwolić. Czyli rzeczywiście chce? Czemuż nie odpycha tej słabej kobiety swoją mocną ręką. Czemu nie uchodzi? Czyż zbrodnia odebrała mu siłę, albo może walka miłości i nienawiści pozbawiła go mocy postanowienia?

Stary ojciec życiem zapłacił swe szaleństwo, że chciał po ciemku walczyć z tym strasznym nieprzyjacielem. Don Juan i Leporello występują naprzód i tu na pierwszym planie sceny rozmawiają. Don Juan odrzuca płaszcz i ukazuje się we wspaniałym kostyumie z aksamitu haftowanego srebrem, szlachetną ma postawę, męskie oblicze, oczy przenikające, wargi miękko zarysowane. Ruch brwi nadaje chwilami jego fizyonomii wyraz dyabelski, budzący mimowolną trwogę, choć nie narusza piękności jego rysów. Rzekłbyś wywierać musi czarodziejskie złowrogie zachwycenie, tak, że kobiety na które patrzy, nie mogą się od niego oddalić i muszą ulec tej sile tajemniczej, co je prowadzi ku przepaści.

Długi i chudy, przybrany suknią w pasy białe i czerwone i małym płaszczem

czerwonym, w kapeluszu białym z czerwonym piórem na głowie. Leporello krąży dokoła swego pana. W twarzy jego widać osobliwą mieszaninę pocziwości, podstęp, ironii i zuchwalstwa. Znać, że ten stary łotr godzien być usłużnym pokojowcem Don Juana. Szczęśliwie uszli, przeskoczywszy mury... Pochodnie... Ukazuje się Dona Anna i Don Octavio; ten ostatni mały człowieczek, wystrojony, wycackany, lalkowaty, najwyżej dwadzieścia i jeden lat liczący. I jako narzeczony Anny, mieszkał zapewne w jej domu, aby snadź mógł być tak szybko wezwany. Na pierwszą usłyszaną wrzawę mógł był pośpieszyć i może ojca uratować; ale musiał przedtem przystroić się i w odpowiedniej wystąpić tualecie, a zresztą nie lubi zapędzać się w ciemności: *ma qual mai s'offre, o Dei, spetta colo funesto agli occhi miei!* W rozdzierających tonach tego okropnego duetu i recytatywu — jest więcej niż rozpacz. Nietylko zamach Don Juana, nietylko śmierć starca — mogą wywołać takie akcenty: raczej jakaś walka wewnętrzna, walka przerażająca.

Wysoka i szczupła Dona Elwira, która jeszcze ma na twarzy ślady nadzwyczaj-

nej piękności, ale piękności powiedlej — skarży się na przewrotnego Don Juana, a złośliwy Leporello bardzo słusznie zaznacza, że ona mówi jakby z książki: *Parla come nu libro stampato*.

W tej chwili zdawało mi się, że usłyszałem kogoś poza sobą. Z łatwością można było otworzyć drzwi w głębi i wślizgnąć się do łoży. Było to dla mnie przykre odkrycie. Czułem się tak szczęśliwy, będąc w łoży sam jeden, rozkoszując się bez podziału arcy-operą Mozarta, oddając się w całości swoim wrażeniom: jedno słowo, wulgarne słowo rozproszyłoby boleśnie cały mój entuzjazm poetyczny i muzyczny, jakiego doznawałem. Postanowiłem nie zwracać najmniejszej uwagi na mego sąsiada, unikać wszelkiego słowa, wszelkiego spojrzenia i pograżyć się w czarach tego przedstawienia. Wsparłszy głowę na dłoni, tyłem odwrócony do przybyśsza, spoglądałem dalej: sztuka się rozwijała w pełnym *ensemble'u*. Mała Zerlina, figlarna i rozkochana, pocieszała czarownemi pieśniami biednego, naiwnego Mazetto. Don Juan wypowiedział pomieszanie swej duszy, oraz pogardę, jaką czuł dla bliźnich, którzy byli dla niego jedynie



przedmiotem jego przyjemności, i żywo akcentował tę dziką melodyę: *Fin ch'han dal vino*. Gra mięśni była żwawsza. Ukazały się maski. Ich *trio* była to modlitwa, w akordach unosząca się ku niebu. Poczem oto głąb teatru się otwiera, radość rozbrzmiewa, kielichy dzwonią jedno o drugie; wieśniacy i zamaskowani różnego rodzaju krążą wesoło, ściągnięci festynem Don Juana; poczem trzech zamaskowani, którzy zaprzysięgli zemstę, zbliżają się powoli. Wszystko przybiera charakter uroczysty, aż zaczynają się tańce. Zerlina jest ocalona, a Don Juan idzie śmiało, z mieczem obnażonym, przeciw wrogom. Wytrąca miecz z ręki swego rywala i przebija sobie drogę poprzez tłum przerażony i bezładny.

Kilkakrotnie już czułem poza sobą czysty i gorący oddech; słyszałem, zda się, szelest sukni jedwabnej. Sądziłem, że jest tu jakaś kobieta; ale cały pograżony w świecie poetyckim, niechciałem żadnych roztargnień. Gdy zasłona opadła, obróciłem się ku mojej sąsiadce...

Nie, żadne słowo nie wypowie mego zdumienia: ujrzałem Donę Annę, odzianą tak, jak właśnie widziałem ją na scenie.

Spoglądała na mnie wzrokiem płomiennym i pełnym wyrazu. Oniemiałem, patrząc na nią — a na twarzy jej błdził lekki, ironiczny uśmiech, w którym rzekłbyś odbijała się moja głupia fizyonomia. Czułem konieczność przemówienia paru słów, ale zdziwienie albo, lepiej mówiąc, przestach paraliżował mi język. Wreszcie, niejako mimowoli, szepnąłem:

— Pani tu? czy to podobieństwo?

Odpowiedziała mi najczystszy językiem tokańskim tak, że gdybym nie mówił po włosku, to nie mogłaby rozmawiać ze mną, gdyż jedynie ten język rozumiała. Słowa jej brzmiały jak śpiew harmonijny, spojrzenia jej były coraz wymowniejsze, a błyskawica lśniąca z poza jej długich rzęs, zapaliła w mem sercu nagły ogień i wywołała żywsze bicie wszystkich moich żył. Była to — niewątpliwie — Dona Anna we własnej osobie. Nie uderzała mnie zupełnie kwestya, jakim sposobem mogła ona być jednocześnie na scenie i w mojej łóży. Podobnie jak szczęśliwe marzenie łączy największe niemożliwości, i jak gorąca wiara unosi się do krajin nadprzyrodzonych i panuje nad codziennymi zdarzeniami życia: tak właśnie

wobec tej kobiety znajdowałem się w stanie półlunatyizmu, iż gdybym ją w tej samej chwili zobaczył na scenie, nie byłbym tem wcale zdziwiony. Jakże opowiedzieć moją rozmowę z Doną Anną? Gdybym chciał ją wyłożyć, to każde słowo zdawałoby mi się bladym i zimnym, a każde zdanie zbyt brutalnem dla wyrażenia wdzięku i lekkości narzecza tokańskiego.

Gdy mówiła mi o swej roli i o Don Juanie, zdawało mi się, że genialność tego arcydzieła objawiła mi się poraz pierwszy i że poraz pierwszy przeniknąłem do cudownych dziedzin jakiegoś obcego świata. Mówiła mi, że muzyka jest całym jej życiem, i że nieraz śpiewając czuła w sobie przebudzenie jakichś wzruszeń nieznanых, których żadne słowo nie byłoby w stanie odmalować.

— Tak, — zawołała głosem pełnym entuzjazmu i z okiem pełnem błyskawic, — rozumiem wtedy wszystko; ale wszystko jest zimne i bezduszne dokoła mnie, i gdy mi biją oklaski za jakąś trudną ruladę, zdaje mi się, że ręce żelazne ścisną mi gorejące serce. Ale ty, ty mię rozumiesz, bo ja wiem, że przed tobą otwarte

jest owo królestwo cudowne, ów świat romantyczny, gdzie dzwonią czarodziejskie harmonie.

— Jakto, zachwycająca kobieto, ty mnie znasz?

Zaczęła mówić o jednej z moich oper i powiedziała moje nazwisko. Dał się słyszeć dzwonek teatralny. Bładość nagle pokryła twarz Dony Anny. Położyła rękę na sercu, jakby odczuła ból niespodziany i osłabionym głosem szeptała:

— Nieszczęsna Anno, oto chwila najokropniejsza! — Rzekłszy te słowa, zniknęła.

Pierwszy akt mię zachwycił; ale po tem dziwnem zjawieniu, muzyka wywarła na mnie wpływ niewypowiedziany. Było to niby długo oczekiwane urzeczywistnienie moich najpiękniejszych marzeń, jakby wszystkie przeczucia mojej duszy otworzyły się w harmonijnych akordach. W scenie Dony Anny czułem się niemal uniesiony w gorącą atmosferę rozkoszy; oczy zamknąłem mimo woli i czułem na ustach wrażenie płomiennego pocałunku; ale pocałunek był szybki i leciuchny jak dźwięk melodyjny.

Słyszę, jak brzmi wesoło bezładny fi-

nał: *Già la mensa è preparata!* Don Juan, siedząc pomiędzy dwojgiem dziewcząt, zaleca się już do jednej, już do drugiej i żywo wyciąga pękające korki z butelek, by wyzwolić duchy ogniste, zamknięte w kryształach. Było to w ciasnym pokoju, w którego głębi, poprzez wielkie okno gotyckie, dostrzegałeś cienie nocy. Gdy Elwira przypominała niewiernemu wszystkie jego przysięgi,—naraż zaśniła krwawa błyskawica i słychać było głuche ryczenie, zapowiadające burzę, co lada chwila ma wybuchnąć. Wreszcie, pukają do drzwi gwałtownie; Elwira i dziewczęta uciekają i, wśród przeraźliwej symfonii duchów podziemnych, kolos marmurowy zbliża się i staje oko w oko z Don Juanem, który przy nim wygląda wprost niby karzeł. Ziemia drży pod stopami olbrzymia.

Śród huku burzy, śród błysku piorunów i krzyku demonów, Don Juan wymawia swe straszliwe imię. Godzina fatalna uderzyła; posąg znika; gęsta para zalewa salę; z tej pary wychodzą straszliwe postaci. Widać tylko od czasu do czasu, jak Don Juan walczy z szatanami.

Naraz słychać huk wybuchu; Don Juan oraz duchy piekielne znikły niewiadomo

jak; Leporello bez przytomności leży w kącie sali. Jakże miło wówczas widzieć inne osoby, szukające napróżno Don Juana! Zdaje się, że ci ludzie ocaleli od pościgu straszliwej sfory demonów. Dona Anna znów się ukazała; ale jakże zmieniona! Śmiertelna bladość pokrywa jej twarz, oczy zagasły, głos jej drży, nierówny z trwogi i wzruszenia; ale tem bardziej zachwycający był efekt jej małego duetu z miłym narzeczonym, który chce natychmiast odprawić gody weselne, szczęśliwy, że został wyzwolony od groźnego obowiązku zemsty.

Chór doskonale zakończył dzieło. Pobiegłem, by ukryć w swym pokoju zachwyty i uniesienie, wywołane sztuką. Służący wezwał mnie na kolację; poszedłem za nim machinalnie. Towarzystwo było liczne, a przedstawienie Don Juana zajmowało wszystkich. Wszyscy jednogłośnie chwalili śpiew Włochów oraz ich umiejętność gry. Ale kilka drobnych uwag, rzuconych tu i owdzie ze złośliwą miną, dowiodły mi, że nikt nie zrozumiał i nie podejrzewał głębokiej treści tego arcydzieła operowego. Don Octavio podobał się bardzo, Dona Anna zdawała się nieco zbyt



namiętną. „Należało — mówił jeden z gości — umieć się miarkować na scenie i nie wyrażać wzruszeń zbyt gwałtownie“. Czyniąc tę uwagę, krytyk wciągnął w nos niuch tabaki i z miną inteligentną i zadowoloną spojrzał na swego sąsiada, który oświadczył, że zresztą włoszka była śliczną kobietą, tylko bardzo niedbałą co do toalety, gdyż w czasie najważniejszej sceny, pukiel włosów osunął się jej na twarz. Inny zaczął po cichu nucić *Fin ch'han dal vino*, a pewna dama twierdziła, że Don Juan sam nie był zadowolający; zdawał się jej zbyt ponury i nie umiał nadać sobie miny lekkiej i filuternejszej. Zresztą chwalono bardzo wybuch ostateczny.

Znużony tą gadaniną, uciekłem do swego pokoju.

## W ŁOŻY CUDZOZIEMCÓW Nr. 23.

Ciasno mi tu było i niesłychanie gorąco. O północy zdało mi się, jakby ktoś poza dzwiczkami z obiciem, wymawiał moje imię. „Któż mi przeszkadza — mówiłem — raz jeszcze odwiedzić miejsce, w którem mi się zdarzyła ta szczególna przygoda?

Może zobaczę raz jeszcze tę, co zajmuje moje myśli. Łatwo mi zanieść tam stolik, dwa świeczniki, przyrząd do pisania. — Posługacz przyniósł mi zażądany przeze mnie poncz. Znajduję pokój pusty, drzwi tajne otwarte; idzie za mną do łoży i rzuca na mnie dwuznaczne wejrzenie. Milcząco daję mu znak, chłopiec stawia poncz na stole i oddala się, patrząc jeszcze na mnie, z zapytaniem na ustach. Opieram się o brzeg łoży i oglądam tę pustą salę, której architektura, oświetlona bardzo słabo światłem moich dwóch pochodni, odbija się w dziwacznych refleksach i fantastycznych cieniach. Wiatr porusza zasłonę na scenie. O, gdyby się podniosła — mówię do siebie — gdyby mi Dona Anna ukazała się raz jeszcze w straszliwym wzburzeniu! Dono Anno!... Krzyk mój przepada w zagłębiach sali; ale budzi instrumenty w orkiestrze; niewyraźny dźwięk z nich wybiega; zdaje mi się, że słyszę to drogie imię wyszeptane w mroku. Nie mogę się obronić jakiejś tajemniczej trwody; ale wywiera ona na mnie bardzo miłe wrażenie.

Opanowuję się w końcu, i oto, drogi Teodorze, skłonny jestem wykazać ci

przynajmniej to, co przypuszczam, że ujmuję w arcydziele mistrza i jego głębokiej koncepcyi. Tylko poeta rozumie poetę; tylko dusza idealna przenika idealną naturę; duch poetycki, który poświęcony został w świątyni, sam tylko zrozumie ton entuzjizmu. Jeżeli rozważać będziemy poemat o Don Juanie, nie szukając w nim głębszego znaczenia; jeżeli baczymy tylko na romans, będący jego motywem: to zaledwie można pojąć, jak Mozart mógł wymarzyć i skomponować podobną muzykę.

Hulaka, który nadmiernie lubi wino i dziewczęta, który z umysłu zaprasza do swego stołu kamienny posąg starca, zabitego przez siebie w obronie własnego życia: istotnie, niema w tem nic bardzo poetycznego, i szczerze mówiąc, taki człowiek wcale nie zasługuje na to, żeby potęgi piekielne trudziły się i szukały go w czasie pijaństwa; nie zasługuje na to, aby posąg kamienny nabrał życia i ruchu, aby zeszedł z konia i wzywał grzesznika do pokuty i aby dyabeł spędzał swoje najlepsze sługi dla przeniesienia go na tamten świat.

Możesz mi wierzyć, Teodorze, natura

traktowała Don Juana, jako jedno ze swych dzieci uprzywilejowanych; dała mu wszystko, co podnosi człowieka ponad tłum, ponad trudy, ponad bezmyślne obliczenia i postawiła go w pobliżu esencji bożej; przeznaczyła go do zwycięstw i panowania; dała mu postawę silną i majestatyczną, twarz ożywiła mu iskrą niebieskiego ognia, dała mu duszę głęboką, inteligencyę żywą i sprężystą. Ale jest to jeden z wyników grzechu pierworodnego, że szatan zachowuje moc łudzenia człowieka za pomocą wysiłków, jakie ten czyni, by osiągnąć nieskończoność; by mu zastawić fatalne zasadzki w samym jego poczuciu swej natury boskiej. Ta walka pierwiastku niebieskiego i pierwiastku boskiego budzi namiętność ziemską, i właśnie zwycięstwo w tej walce prowadzi do życia nadprzyrodzonego. Organizacya fizyczna i moralna Don Juana rozpałała jego ambicyę, a żądza nienasycona, wywołana żarem jego krwi, popchnęła go ku poszukiwaniu wszelkich rozkoszy przemijających, w których napróżno oczekiwał całkowitego zaspokojenia.

Nic na świecie nie doprowadza człowieka do takiej egzaltacyi, jak miłość. Mi-

łość to — przez tajemniczy a potężny wpływ — oświeca i wzburza pierwiastki naszej natury. Możeż to dziwić, że Don Juan roił sobie, że mógłby za pomocą miłości zaspokoić poruszające nim pożądania i że dyabeł użył tego środka, by go pociągnąć w swe sieci? On to Don Juano wi podsunął myśl, że przez miłość, przez rozkosz pocałunków kobiecych, znajdzie człowiek tu na ziemi urzeczywistnienie obietnic niebieskich, jakie nosimy w swej duszy i osiągnie cel tej tęsknoty nieskończonej, co łączy nas bezpośrednio z krajinami wyższemi. Nieustannie przelatując od piękności do piękności, rozkoszując się ich czarem aż do upojenia i do przesytu; sądząc się zawsze omylonym w swym wyborze i zawsze spodziewając się, że dosięgnie ideału szczęścia — Don Juan w końcu musiał się czuć znużony życiem rzeczywistym, a ponieważ gardził ludźmi, rozgniewał się wreszcie przeciw wszystkim tym widziadłom, które wywoływał, a których stał się w końcu pustą igraszką. Każda kobieta, jaką posiadał, nie była już dla niego przedmiotem rozkoszy zmysłowej, ale bezwzględna obelga dla natury ludzkiej i dla jej stwórcy. Gorz-

ka pogarda zwyczajnych sposobów rozumienia życia, ponad które czuł się wyniesiony, szyderstwo jakie budziło w nim szczęście w pojmowaniu mieszczańskim, doprowadziły go do tego, że stworzył sobie okrutną zabawę kosztem słodkich a łzawych stworzeń i że zabierał sobie bez litości wszystko, z czego szydził. Za każdym razem, gdy łamał przemocą szczęście dwojga kochanków, odnosił wielki tryumf nad tą potęgą nieprzyjazną, co go unosiła poza ciasne granice życia zwykłego, nad naturą i jej stwórcy. Chciał dalej jeszcze się przedrzeć poza te granice i tym razem musiał runąć w otchłań. Porwanie Dony Anny, w okolicznościach, które się z niem wiązały, było najwyższą próbą, jaką podjął.

Dona Anna, dzięki najświetniejszym darom swej natury, stoi jako przeciwieństwo wobec Don Juana. Jak Don Juan jest pierwotnie człowiekiem piękności i siły cudownej, tak Dona Anna jest kobietą boską, której czysta dusza wymyka się z pod potęgi dyabła. Demony mogły dotknąć jedynie jego życia ziemskiego i gdy jego zagłada jest już dokonana, zemsta niebios ma się dopełnić.



Don Juan szyderczo wzywa na swą wesolą ucztę starca, którego zamordował, i starzec nie gardzi wezwaniem, przybywa do niego z za świata, przypominając mu obowiązek pokuty. Ale już serce Don Juana jest tak zatraczone, że błogosławieństwo niebios nie może mu dać promienia nadziei, ani uczucia lepszego żywota.

Jak ci już mówiłem, Dona Anna postawiona jest, jako przeciwieństwo wobec Don Juana. Przeznaczeniem jej było otworzyć oczy Don Juana, aby poznał potęgę natury boskiej i wyrwać go z rozpaczyny bezpłodnych wysiłków. Ujrzał ją zapóźno, ujrzał ją w godzinie zbrodni, i ma tylko jedną wobec niej dyabelską myśl jej zguby. Lecz i ona się załamuje. Kiedy on się zjawil, zbrodnia zostaje dokonana; Anna odczuła w sercu ogień zmysłowości, żary piekła i wszelki opór był dla niej niepodobny. Don Juan sam mógł w niej obudzić ten szal rozkoszy, z jakim ona rzuca się w jego objęcia i ulega zasadzkom demonów. Gdy zaś on odchodzi, ona odczuwa wszystkie zgryzoty swego upadku. Śmierć ojca zabitego przez Don Juana; związek jej z zimnym i pospolitym

Don Octaviem, którego sądziła, że kocha; ogień namiętności co ją pożera, potem wybuch gwałtowny nienawiści: wszystko to się łączy ku jej udręczeniu. Rozumie ona, że tylko strata Don Juana, może jej dać jakiś spokój; ale dla niej, ten spokój, to będzie śmierć. Pobudza wciąż swego bezdarnego narzeczonego do zemsty; sama ściga niewiernego, a gdy widzi, że go uniosły moce piekielne, nabiera nieco spokoju; nie może tylko ustąpić niecierpliwemu pożądaniu swego małżonka; mówi mu: *Lascia, o caro, un anno ancora, allo sfogo del cor mio!* Nie przeżyje tego roku. Nigdy Don Octavio nie przycisnie do łona tej, którą pobożna myśl wybawiła ze szponów szatana.

Ach, jak żywo czułem w głębi duszy wszystkie wzruszenia, płynące z rozdzierających akordów pierwszego recytatywa i z opowieści o nocnej napaści. Nawet scena Dony Anny w drugim akcie: *Cru dele*, która powierzchownie sądząc dotyczy jeno Octavia, przedstawia w tajemniczych akordach, w cudownych wybuchach całe wstrząśnienie jej duszy. Co za myśl porywająca w tych słowach, które

napisał poeta, może sam nierozumiejąc ich wagi:

*forse un giorno ancora sentirà pietà di me!*

Bije godzina druga po północy, jakiś podmuch elektryczny ślizga się po mnie; czuję zapach perfum włoskich, które mi wczoraj kazały rozpoznać obecność mojej sąsiadki. Doznaję uczucia szczęśliwości, którą mógłbym wyrazić tylko zapomocą dźwięków harmonijnych. Wiatr mocniej szumi w sali, struny fortepianu w orkiestrze szemrzą. Boże, zdaje mi się, że słyszę głos Anny, unoszony na skrzydłach jakiejś orkiestry powietrznej. Zdaje mi się, że słyszę: *Non mi dir', bell' idol mio!* Otwórz się, kraino daleka i nieznana, królestwo dusz, raju świetlany, gdzie boleść niebiańska a niewymowna, niby radość nieskończona, spełnia oczarowanym sercom wszystkie obietnice tego świata! Pozwól mi wejść w kolisko twoich podniosłych zjawień! Oby sny, które człowiekowi posyłasz, już to jako przedmioty zgromy, już to jako gońców pokoju, obyż te sny poprowadziły mego ducha ku regionom eterycznym, gdy sen ciało me trzyma na uwięzi łańcuchów z ołowiu.

## NAZAJUTRZ ROZMOWA PRZY STOLE.

Człowiek rozsądny, *uderzając w wieko swej tabakiery*. Szkoda jednak, że teraz już długo nie usłyszymy opery dobrze wykonanej. Płynie to z tej fatalnej przesady.

Człowiek o twarzy mulata. Tak, tak, mówiłem to nieraz. Rola Dony Anny zbyt żywo ją wczoraj przejmowała; była niby opętana. Przez cały antrakt leżała bez przytomności, a w scenie drugiego aktu, miała atak nerwowy.

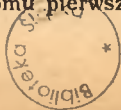
Jego mość bez znaczenia. Ach, co pan mówi!

Człowiek o twarzy mulata. Ależ tak! atak nerwowy — i nie można jej było wynieść z teatru.

Ja. Na łaskę Nieba! Sądzę, że te ataki nie są niebezpieczne. Toć usłyszymy znów Signorę?

Człowiek rozsądny, *zażywając tabakę*. Trudno to będzie, gdyż Signora umarła tej nocy, ściśle o godzinie drugiej.

Koniec tomu pierwszego.



১৮৮৮

১৮

১৮৮৮

১৮



Biblioteka Śląska w Katowicach

ID: 0030001111626



I 715611